

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/270

1970



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

W. Z. : **POLSKA RZECZYWISTOŚĆ - INACZEJ**

A. WOŹNICKI :

KOŚCIELNE ZAGROŻENIE MIGRACJI

S. KWARC :

HONOR. - PRZENIESIENIE

SPIS RZECZY

W. Z.:	Rzeczywistość polska — inaczej . . .	3
Leopold Tyrmand:	Dotecip	18
Seweryn Kware:	Honor	27
Seweryn Kware:	Przeniesienia	30

W I E R S Z E

Filip Istner:	W Nazarecie	33
Filip Istner:	Dłaczego	33
Irena Danuta Bieńkowska:	W dwóch słowach	35
St. Jerzy Lec:	Ci, którzy jedli...	37

OBSERWATORIUM

Redakcja:	Proces 5-ciu intelektualistów	38
Zygmunt Bauman:	List do Redakcji	40
Gustaw Herling-Grudziński:	Maszyna na złom	40

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	Dyskusje z Czytelnikami (I)	47
Londyńczyk:	Kronika angielska	55

S A S I E D Z I

Adam Kruczek:	„Samizdat”	62
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	65

WOLNA TRYBUNA

Zbigniew Brzeziński:	Dylematy sowieckiej współczesności . .	72
----------------------	--	----

SPRAWY I TROSKI

Anna Sabbatówna:	„POLKA” w Leeds	90
Danuta Mostwin:	Prawda o Polakach	94
Andrzej Chełuk:	Latarnicy	96

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Andrzej Woźniaki:	Kościelne zagrożenie migracji	97
-------------------	---	----

K S I Ą Ż K I

Józef Czapski:	Naufragio ereptis	110
Zbigniew Byrski:	Uwagi o książce Pauliny Preiss „Biuro- kracja totalna”	116
Adam Sutkowski:	Europa Wschodnia w IX stuleciu . . .	119
—	Nadesłane nowości wydawnicze	123

KRONIKA KULTURALNA

—	Nagrody Fundacji im. A. Jurzykow- skiego	124
—	Nagrody Fundacji im. Kościelskich . .	124
—	Wyróżnienia literackie w Kraju	125
—	Plastycy w Kongresie Kultury	125
—	Wyróżnienie prof. W. S. Sworakow- skiego	125
—	Uniwersytety USA a nowa emigracja . .	126
Redakcja:	Grandeurs et misères...	127

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Czesław Miłosz:	Mieczysław Grydzewski	130
E. Zaleski:	Wiktor Żółtowski	130
Jerzy Pietrkiewicz:	List o St. Czerniku	134

HUMOR KRAJOWY

Alojzy Gęgorek:	Przegląd prasy polskiej — czerwiec 1972	136
—	Wydarzenia miesiąca	141
—	Czarna lista	149

A. Chciuk, R. Krygier, A. Gro- nowicz, L. Mitkiewicz, P. Mo- hortyński, St. Rogalski, ks. W. Sojka, I. Solarz, I. Sze- feld, Wł. P. Szaława, J. Zbro- żek:	Listy do Redakcji	150
---	-----------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec-Mars

1970

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

E. Baczyński, Reading, Berks (W. Bryt.), po raz dziewiąty ..	F. 46,00
Edward Baumiller, Daytona Beach, Fla (USA), po raz siódmy ..	F. 71,50
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty ..	F. 38,00
Józef Blondowski, Hamilton, Ont. (Kanada) ..	F. 5,00
Helena Bobotek, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci ..	F. 44,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz szósty ..	F. 55,00
Zbigniew Brzeziński, New York (USA), po raz piąty ..	F. 357,00
Czytelnik z Polski, po raz dziewiąty i dziesiąty razem ..	F. 55,00
Stanisław Derwiński, Chicago (USA) ..	F. 27,50
Wacław J. Fedorowicz, Rio de Janeiro, po raz trzeci ..	F. 72,00
C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy ..	F. 10,00
Jerzy Ginter, Caracas (Wenezuela), po raz dziesiąty ..	F. 71,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz szósty ..	F. 40,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz ósmy ..	F. 38,00
K. Jagodziński, Irvington, N.J. (USA) ..	F. 16,50
Mr. Jan, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty ..	F. 112,00
Jan E. Kierzkowski, Orlando, Fla (USA) ..	F. 550,00
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada) ..	F. 5,00
Szymon Laks, Paryż ..	F. 200,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz trzeci ..	F. 100,00
Janusz Laskowski, Paryż, po raz piętnasty ..	F. 30,00
A. Lindner, Yarraville, Vic. (Australia), po raz drugi ..	F. 27,00
Stefania Miłoszewska, Chicago, Ill. (USA) ..	F. 16,50
A. Najda, E. Orange, N.J. (USA), po raz drugi ..	F. 11,00
C. M. Nowak, Cambridge, Mass. (USA) ..	F. 55,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), po raz drugi ..	F. 66,00
Tomasz Płodowski, Upper Mont Clair, N.J. (USA), po raz drugi ..	F. 55,00
Dr August Polaczy, Monachium, po raz drugi ..	F. 33,30
François Prause, Monrovia, Liberia, po raz trzeci ..	F. 82,50
Witold Raginia, Chicago (USA) ..	F. 27,50
Władysław Romanowski, Adelaida, S.A. (Australia) ..	F. 27,50
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi ..	F. 127,50
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz piąty ..	F. 44,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Willowdale, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty ..	F. 52,00
Alojzy Sztupak, New Britain, Conn., po raz trzeci ..	F. 55,00
Bożena Teisler, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi ..	F. 51,00
Tymon Terlecki, Chicago, Ill. (USA), na Fundusz Jerzego Stempowskiego ..	F. 100,00
Wanda Trzos, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty ..	F. 10,00
Bogusław Wądołkowski, Lynhurst, N.J. (USA), po raz dziesiąty ..	F. 44,00
Łucja Zaleska, Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty ..	F. 16,50
Prof. Janusz K. Zawodny, Philadelphia, Pa., po raz czwarty ..	F. 66,00
Kazimierz Zdziarski, Caracas (Wenezuela), po raz jedenasty ..	F. 38,50
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz trzynasty ..	F. 100,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz czwarty ..	F. 30,00
Lech W. S. Zychliński, New Canaan, Conn. (USA), po raz czwarty ..	F. 137,50
Anonimowo, Rzym ..	F. 87,00
Bezimiennie, California ..	F. 110,00
Bezimiennie z Milwaukee, Wis. (USA), po raz siódmy ..	F. 44,00
Bezimiennie z Paryża, po raz siódmy ..	F. 200,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci ..	F. 510,00

Dalszy ciąg wpłat na str. 160.

Imprimé en France.

Rzeczywistość polska - inaczej

Dwuletni dystans stwarza okazję spokojnego rozważenia spraw, które do historii PRL przejdą pod nazwą wydarzeń marcowych. Ich echa w kraju już przebrzmiały. Wobec aktualnych trudności ekonomicznych, problemy budzące w 1968 r. gorycze i namietność uległy przedawnieniu. Czy warto więc powracać do tematu?

Warto! Inaczej, marzec obrośnie w legendę, uniemożliwiająca rzetelną analizę. Scena narodowa pozostanie nadal w cieniu dla opinii światowej i, co gorsza, dla głównego jej bohatera — społeczeństwa polskiego.

Autor artykułu od 25 lat jest członkiem partii, zajmuje wysokie stanowisko publiczne, utrzymuje towarzyskie i zawodowe stosunki z przedstawicielami elity władzy. Zebrał, wydaje się, dane do rekonstrukcji wypadków. Uważa za swój obowiązek dokonać próby skorygowania obiegowych poglądów na temat wydarzeń sprzed dwóch lat, w przekonaniu, że skuteczność walki z wynaturzeniami systemu zależy w dużej mierze od wszechstronnego ich poznania, od zaznajomienia się z warunkami w jakich powstają.

Jeżeli głos ten zostanie przyjęty przez Czytelników nie tylko jako jednostkowe wystąpienie a jako prezentacja opinii znacznej liczby ludzi myślących — choć z różnych względów milczących, jeżeli stanie się zachętą do wnikliwszej dyskusji na temat sytuacji w kraju — autor uzna ryzyko wystąpienia w piśmie emigracyjnym za rozsądne.

Dla nikogo nie może chyba ulegać wątpliwości „wiodąca” rola policyjnej prowokacji w wypadkach marcowych. Nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę z jej istoty i zasięgu.

Trudności gospodarcze i bezceremonialne formy rządzenia zaostriżyły konflikty wewnętrzne w stopniu budzącym obawy Gomułki. Ich wyrazem było powołanie w sierpniu 1967 roku, w głę-

bokiej tajemnicy przed członkami a nawet kierownikami wydziałów KC, zespołu do spraw „przeglądu kadr kierowniczych”. Na jego czele stanęli Strzelecki i Witaszewski — ten ostatni jako odpowiedzialny za przegląd kadr przemysłowych. Ludzie proskrybowani przez ów zespół w 8 miesięcy później znaleźli się poza partią i dotychczasowymi miejscami pracy. Część z nich — głównie działacze gospodarczych — przedstawiono opinii publicznej jako ludzi niebezpiecznych dla sprawnego funkcjonowania życia publicznego w Polsce; resztę — głównie pracowników nauki — usunięto bez szerszego rozgłosu.

W znakomitej większości wypadków brakło przekonywających zarzutów. Realizatorzy czystki szarżowali więc „argumentami” natury etycznej lub szowinistycznymi. Zarzutem „rewizjonizmu” posługiwano się rzadko i oględnie, choć dla zorientowanych antyrewizjonistyczny charakter akcji był oczywisty.

W polskich kręgach władzy przez „rewizjonizm” rozumie się od lat kilku wszelkie próby zmiany stosunków, nie sankcjonowane uprzednio czy nie firmowane przez aparat partyjny. W myśl starej, dogmatycznej zasady: kto nie z nami ten przeciw nam. Rugi dowiodły, że tak pojmowany rewizjonizm opanował głównie wysokie szczeble drabiny społecznej. Tym razem czystka była wyłączanie rodzajem kapturowej „dintojry” a nie próbą konfrontacji ideologicznej czy politycznej ani też próbą zaszczepienia partii i społeczeństwu jakiś zunifikowanych poglądów.

Już nawet „Wolna Europa” dowiedziała się o odprawie prowadzonej jesienią 1967 roku przez Szlachcica Franciszka, magistrą, generała i podsekretarza stanu w MSW, na której omawiano plan przymusowego przesiedlenia na głuchą prowincję „rewizjonistów, pasożytów, mącieli”. Żaden watażka z MSW nie odważyłby się na przedstawienie tak drastycznego problemu osobom niepodporządkowanym temu ministerstwu bez uprzedniej sankcji kierownictwa partyjnego. Wiadomość o podobnym wydarzeniu natychmiast trafiłaby do Gomułki, mimo „obstawy” Namiotkiewicza i reszty straży pałacowej.

Zestawienie tych i wielu innych faktów z przebiegiem spraw zapoczątkowanych w marcu 1968 r. prowadzi do konkluzji, że w grę nie wchodził żaden zamach stanu skierowany przeciw Gomułce. Z partii odeszli wówczas ludzie rzeczywiście niechętni czy wrodoży Moczarowi i „partyzantom”, lecz pod wyrokami banicji widniał podpis Gomułki. MSW i jego agentura wykonywała wolę I sekretarza KC a nie jakiejś frankcji. W istocie Moczar i jego aparat przeprowadził niebezpieczną, bo stwarzającą możliwość „rozdyktowania” biernej, milczącej partii — i to z odwrotnymi od zamierzonych skutkami, operację izolacji „niespokojnych duchów”.

Warto wspomnieć, że udział MSW w tępieniu opozycji partyjnej nie był nową „ideą” szefa partii; w roku 1965 projekt powołania w MSW pionu o kompetencjach bardzo zbliżonych do zakresu działania osławionego X departamentu MBP upadł tylko dzięki drastycznemu sprzeciwowi Gierka.

O terminie przygotowanej czystki i jej policyjno-prowokacyjnej „oprawie” zdecydował element nieprzewidziany — mianowicie zmiany styczniowe w Czechosłowacji. Potwierdzały niezawodność instynktu Gomułki; on także któregoś dnia mógłby znaleźć się wobec zablokowanej opozycji większości swego najbliższego personelu. Jeszcze bardziej groźne wydawało się w Warszawie lawinowe narastanie czeskiej fali rewolucyjnej, zmiatającej skompromitowanych bonzów partyjnych i osadzającej na ich miejscach partyjnych liberałów. Sytuacja w Polsce raczej wykluczała możliwość podobnego rozwoju wypadków, lecz niepewność kierownictwa partyjnego i nieznanie rzeczywistych nastrojów w społeczeństwie skłoniła do szybkiego przeciwdziałania.

Założenie było proste: niespodziewane natarcie na środowiska, w których ferment był najsilniejszy; rozbicie i ujawnienie ich słabości. Słabość bowiem nie zachęca szerszych rzesz, z natury politycznie biernych i niezorientowanych, do aktywnego wystąpienia.

Pretekst: oskarżenie o tendencyjne działanie sił antypolskich i antysocjalistycznych i wykorzystanie nastrojów nacjonalistycznych.

Taktyczny punkt natarcia: wyższe uczelnie. Do awantur studenckich dochodzi na Zachodzie niemal co dzień. Inflacja starc z przedstawicielami porządku publicznego sprzyjać mogła zmniejszonemu oddźwiękowi opinii światowej. Formalne rozpoczęcie rozgrywki na terenie akademickim pozwalało na zbagatelizowanie wypadków. Planowano bowiem, jak to określali w swoim slangu „fachowcy” z MSW, „wielki wycisk”, odbierający komukolwiek ochotę do „podskakiwania”.

Przebieg wypadków na Uniwersytecie Warszawskim i Jagiellońskim jest powszechnie znany. Wydarzenia w innych ośrodkach akademickich i przemysłowych jeszcze bardziej obnażają zasięg i cel prowokacji.

Na Uniwersytecie Poznańskim ujawniło je drastyczne pomyślenie języków partyjnych. Docent Łopatko, członek partii z dobrą opinią w KW i KC, okazał się słabym „politykiem”, bowiem nie zrozumiał intencji władz: po kilkugodzinnej dyskusji uspokoił młodzież wiecującą w Collegium Maximum. A że gmach był szczelnie obstawiony przez MO, rozwiązał wiec dopiero po uzyskaniu zapewnienia ówczesnego sekretarza KW — Szydłaka, że oddziały „obstawy” zostaną wycofane. Przyrzeczenia

obecnego zastępcy członka Biura Politycznego i sekretarza KC okazały się kłamliwe. Bojówki poturbowały spokojnych studentów opodal Uniwersytetu i... KW PZPR.

Brak „zrewoltowanej” wyższej uczelni w Katowicach skompensowano w marcu niespodziewanym natarciem z działek wodnych na przypadkową grupkę młodzieży w najruchliwszym punkcie miasta. Poszkodowanych okazało się wielu — nie studentów a przypadkowych przechodniów.

W Tarnowie i Legnicy chłopskiej i małomiasteczkowej większości słuchaczy miejscowych szkół nauczycielskich w głowie nie zaświtało organizowanie wystąpień publicznych. Uchwalili jedynie młdawe rezolucje w odpowiedzi na brutalne rozprawy z krakowskimi i wrocławskimi studentami. Dopiero zamiejscowe ekipy MO i ORMO spowodowały wypadki uliczne.

Nie chodziło bowiem tylko o uśmierzenie środowisk młodzieżowych. Wypadki zaprogramowano przede wszystkim jako popis siły dla robotników. Niechże sobie popatrzą na umiejętności, techniczną sprawność i zdecydowanie aparatu represji. Niechże w ich świadomości zakiełkuje niewiara w możliwość publicznego „nieprawomyślnego” demonstrowania własnego niezadowolenia!

Dla uzupełnienia obrazu prowokacji warto cofnąć się do aktu poprzedzającego wypadki akademickie, do nadzwyczajnego warszawskiego zjazdu ZLP. Egzekutywa Komitetu Warszawskiego PZPR w „poufnym” liście do stołecznych organizacji partyjnych uznała za konieczne wytłumaczenie faktu, że w ogóle dopuszczono do tak niebywałego, jak na stosunki polskie, wydarzenia. Z wykrętnych sformułowań wynikało, że władze chciały stworzyć „zdrowej” większości pisarzy polskich możliwość rozprawienia się z niebezpieczną grupką „rozrabiaczy i wrogów”. Jakby to w KC i KW nie znano rzeczywistego układu sił w warszawskim oddziale ZLP a z podpisów pod żądaniem nadzwyczajnego zjazdu nie można było wnioskować jego przebiegu i rezultatów. Jakby zupełnie przypadkowo wokół gmachu gdzie obradowali literaci znalazły się hydromonitory i spore grupy ludzi w przebraniach robotników, czekające na niewiadomego Godota... Było to przecież zebranie — podobnie jak wiece i manifestacje młodzieży — przewidziane w policyjnym planie akcji.

Naiwność polskich literatów, ich nieznajomość zasad gry politycznej w kraju socjalistyczno-sowieckiej dyktatury posłużyła znakomicie do rozpętania burzy policyjnej prowokacji. Znamienne, że wśród naiwnych znaleźli się po społu ludzie uczciwi, o wyjątkowym harcie ducha i odwadze cywilnej i ich główny antagonista, programowy cynik, członek KC i partyjny nadzorca literatury — Jerzy Putrament. Może on spokojnie podać rękę obec-

nemu profesorowi Łopatce, rektorowi Klimaszewskiemu i działaczom innych osób, którym wydaje się, że robią politykę, a są jedynie marionetkami.

Zasięg prowokacji w 1968 roku był wyjątkowo wielki. Zerwanie aparatu „prawdziwej” władzy na naiwności „swoich” i „nie swoich” — krańcowo cyniczne. Przygotowanie — wręcz doskonałe, wykonanie planu — także. Żadnej poprzedniej akcji policji nie cechowała taka precyzja i wszechstronność. Nie oznacza to jednak wszechmocy i wszechwiedzy aparatu bezpieczeństwa.

Gorączkowe, prymitywne, masowe próby werbunku informatorów wśród zatrzymanych studentów i obserwatorów zajęć ulicznych wskazują jak niewielka i powierzchowna jest siła służby bezpieczeństwa. Opiera się ona głównie na podsłuchu telefonicznym oraz kontroli krajowej i zagranicznej korespondencji. Sprawnie zorganizowana, dobrze wyposażona technicznie, coraz lepiej karmiona — a więc droga — policja, nie znajduje oparcia i poparcia w społeczeństwie, nie potrafi osadzić informatorów w środowiskach i grupach opozycyjnych.

Słabości tej nie zdołały zamaskować pozornie efektowne i rozreklamowane procesy pomarcowe. Mimo tysięcy bezprawnych zatrzymań, rewizji domowych, płańdrowania domów akademickich, różnorodnych prowokacji w gabinetach i celach policyjnych — „dowody” winy oskarżonych były wątłe, zdradzały ignorancję i brak wyobraźni urzędników śledczych. Obawa przed publicznym ujawnieniem słabości prowokuje MSW do zamykania sal sądowych i rezygnacji z „wychowawczego” oddziaływania procesów na morale społeczeństwa a nawet większego grona sprawozdawców prasowych.

Kluczem do zrozumienia sytuacji w Polsce lat sześćdziesiątych jest wiedza o integracyjnej roli i charakterze uzależnienia kraju od ZSSR.

W 1956 roku ogromnej większości obywateli PRL wydawało się możliwe stopniowe wyzwolenie spod nękaćcego jarzma sowieckiego. Prawda o niemożności prowadzenia polityki, odpowiadającej interesom Polski, stała się dla ludzi zorientowanych w sytuacji gospodarczej oczywista już w rok-dwa lata po październikowym przełomie. Brak oczekiwanej pomocy inwestycyjnej z Zachodu, fatalna koniunktura węglowa, brak realnej perspektywy rozwoju gospodarczego przesądzały pozostawanie kraju w dotychczasowej pozycji wasala.

W Moskwie od 1956 roku zmieniono tylko formy nacisku. Biurokracja imperialna przestała jawnie administrować PRL i sięgnęła po instrumenty oddziaływania ekonomicznego. Zainaugurował zmianę sam Chruszczow demonstracyjną rezygnacją z dostaw

statków, grożąc tym samym ruiną polskim stoczniom. Od tej chwili mnożyły się i mnożą podobne dowody „braterskiej pomocy”. Pertraktacje są trudne a trafienia sowieckie celne. Na imperialne biurka wędrują via RWPG, dowództwo Paktu Warszawskiego lub wręcz przez agenturę — dokładne informacje o sytuacji gospodarczej kraju.

Październikowa reforma polityki rolnej obudziła w społeczeństwie nadzieje na dalszą, radykalną zmianę w stosunkach z ZSSR. Przekonanie to podzielała, zdaje się, również opinia Zachodu. Dlatego też wiele niepopularnych przedsięwzięć nowej władzy przypisywano wpływom ortodoksów-stalinowców czy też mankamentom charakteru Gomułki. Z czasem jednak świadomość dalszej nieuniknionej zależności od ZSSR stała się własnością ogółu. Nadzieje na reformy upadły. Entuzjazm zmienił się w apatię. Polacy drugiej połowy XX wieku postanowili przetrwać za każdą cenę — prócz ceny krwi. Stąd ich tolerancyjny stosunek do obecnego kierownictwa: ktoś wszakże musi „świecić oczyma” w Moskwie. Oczywiście do czasu aż się coś w Rosji zepsuje i pęknie; do następnego XX zjazdu...

Atmosferę wspólnoty bezradności wobec Starszego Brata odaje dowcip popularny od kilku lat w naszych kawiarniach: dlaczego w Polsce nie można stworzyć partii opozycyjnej? Bo natychmiast wstąpiłby do niej Gomułka na czele Biura Politycznego.

Przekonanie o bezcelowości podejmowania jakiejkolwiek akcji do czasu zmian w ZSSR jest powszechne i tłumaczy fenomen faktycznego istnienia szerokiego frontu jedności narodowej — od katolików do komunistów, od robotników do bonzów partyjnych. Nie należy go, oczywiście, mylić z wegetującym, pisanym z dużych liter F.J.N.

Październikowy racjonalizm Gomułki („położenie geopolityczne, towarzysze...”) święci piętnasty rok powszechnej akceptacji.

Wysokie czynniki w Moskwie doskonale zdają sobie sprawę z tworzywa cementującego naród polski. Rozumieją niebezpieczeństwa takiej postaci *pax sovietica* w największym kraju demokracji ludowej. Wolą jednak spokojną niechęć od niespokojnego naprawiania socjalizmu. Jak długo możliwe będzie utrzymanie w Polsce obecnego *status quo*, nie dadzą sygnału do przeprowadzenia poważniejszych zmian personalnych ani do nich nie dopuszczą.

Czy wypadki marcowe upoważniają do zakwestionowania trafności powyższej oceny? Skłonnym do szukania „głębszych treści” i „większych możliwości” w wydarzeniach 1968 roku wypada przypomnieć, że mimo usiłowań policyjnych nie udało się wskazać na jeden bodaj poważniejszy akt polityczny akcji, skierowanej

przeciwko ZSSR i kierownictwu partyjnemu. „Rewizjonistyczna” krytyka nie wykracza poza zagadnienia generalne, teoretyczne, poza dywagacje filozoficzno-socjologiczne i modelowo-ekonomiczne. Miała ona i ma raczej akademicki charakter. Tezy w niej zawarte nie pretendują do roli instrumentów szerokiego działania publicznego. Proklamację Kuronia i Modzelewskiego, rozprawę Bieńkowskiego, pisane w „ogniu walki” rezolucje studenckie trudno uznać za hasła do „pospolitego ruszenia”. Akcja „taterników” i liczne jej pokrewne nie trafiają do szerszych rzesz społeczeństwa. Język i tematyka polskich *samoizdatów*, poważnych niedyskrecji i popularnych plotek politycznych — przesadzają ich „hermetyczny” charakter. Różnorodne, oderwane — krytyczne wystąpienia i protesty światlejszych jednostek i grup cechuje pomijanie milczeniem głównej przyczyny zła utrzymującego się w Polsce — obiektywnej niewydolności gospodarczej, mumifikowanej przez sowieckie dyktando. Czesi na wiele lat przed styczniem 1968 r. mieli konkretny program uzdrowienia własnej gospodarki, wynikający z dokładnego rozeznania zasobów i rzetelnych studiów prognostycznych. W Polsce nic podobnego nie ma. Ani za „żółtymi firankami” władzy, ani w opozycyjnym, nieokreślonym — choć rzeczywiście istniejącym — „obozie rewizjonistycznym”.

Może więc na tym wyższą ocenę zasługują studenci?

Gdyby nie ukartowana prowokacja policyjna, ogół akademików nie wyrósłby na bohatera politycznej, ideowej, moralnej opozycji. Gdyby nie prowokacja — portret zbiorowy wypadłby znacznie mniej okazale. Nie uratowałyby tego konterfektu wąska, kadrowa grupa młodzieży, wyrosła w elitarnych środowiskach politycznych i intelektualnych. Dopatrywać się bojowości, ofiarności, rozsądku politycznego na miarę Filomatów, Peowiaków, pepesowskiej i kałepowskiej młodzieży studenckiej lat międzywojennych w społeczności polskich studentów końca lat 60-tych mogą tylko ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy z destrukcyjnego wpływu współczesnej szkoły podstawowej i średniej, fatalnej atmosfery społecznej, w jakiej cała młodzież polska wzrasta, braku rzetelnej informacji i realnych możliwości konfrontacji ideowo-politycznych.

W powyższych stwierdzeniach nie należy dopatrywać się próby zniesławienia czy oskarżenia młodzieży, bądź poddania w wątpliwość motywów i szczerości jej wystąpień. Jest to raczej oskarżenie działaczy starszej generacji, którzy jej takie warunki stworzyli. Którzy dziś są zbyt apatyczni i krótkowzroczni, by właściwie ocenić potencjał drzemący w inteligencji najmłodszego pokolenia i przygotować ją do spełnienia tej misji politycznej, która nie powiodła się poprzednim rocznikom, zniewolonym przez rodzimych i radzieckich dogmatycznych obrońców okopów świętej (socjalistycznej) trójcy.

Mimo wymuszonego „frontu jedności narodowej” postawa społeczeństwa nie jest jednolita. Żyjemy w kraju o wyjątkowym, jak na państwo socjalistyczne, zróżnicowaniu stopy życiowej i klimatu psychospołecznego. Nowa polityka rolna Gomułki stworzyła warunki szczególnej koniunktury dla chłopów. W krańcowo odmierzonej sytuacji znaleźli się natomiast robotnicy z tradycjami proletariackimi. Poziom zarobków w przemyśle, stosunki w zakładach pracy, niebezpieczeństwa przedwczesnych emerytur bez zapewnionej starości, niski wymiar rent, niekorzystne przesunięcia zawodowe, ponawiane co kilka lat redukcje — wszystko to wpływa na robotników depresyjnie. Powszechna w 1956 roku wiara w możliwość poprawy sytuacji załamała się ostatecznie wraz z bezceremonialnym pozbawieniem załóg prawdziwego samorządu i wpływu na działalność przedsiębiorstwa. Chłopi-robotnicy i robotnicy wywodzący się ze wsi odgrywają rolę swoistego bezpiecznika dla kierujących bezpośrednio produkcją. Brak tradycji przemysłowych, niski poziom kwalifikacji a także uprzywilejowana sytuacja materialna, wynikająca z własnych czy rodzinnych dochodów z rolnictwa — stwarza z nich wyjątkowo plastyczny element, wykorzystywany dla łamania solidarności robotniczej i obniżania zarobków. W rezultacie gorycz i bezradność robotnicza osiąga od kilku lat poziom nieznaną w powojennej Polsce.

Istnieje głęboka rozbieżność między poglądami rządzonych i rządzących. Do pierwszej grupy należy włączyć także ogół członków PZPR. Do drugiej — najszerzej rozumiany aparat władzy, czyli biurokrację partyjną, administrację państwową, funkcjonariuszy służb porządku publicznego, pracowników wymiaru sprawiedliwości (poza adwokaturą), kadre podoficerską i oficerską WP.

Taki „poziomy” podział partii może wzbudzić wątpliwości na Zachodzie. Wydaje się sprzeczny np. z interpretacją „Wolnej Europy”. W kraju jest on przyjęty i w pełni zrozumiały. Oto charakterystyczny przykład. Aktywowi nadzorczo-propagandowemu, działającemu w obwodach wyborczych, przekazano spisy „niepewnych” członków partii, polecając szczególną nad nimi pieczę. Wybory odbywały się latem 1969 roku, czyli w okresie kiedy partia — według oficjalnych enuncjacji — znów była „silna, zwarta i gotowa”. W skali kraju na „czarnych listach” znalazły się dziesiątki tysięcy nazwisk partyjniaków. Każdy dzień przynosi konfrontację rozmaitej skali, z których wynika, że obecnie zdecydowana większość członków PZPR nie tworzy już dynamicznego, bezkrytycznego, karnego organizmu. Wśród nich znajduje się sporo ludzi wartościowych, o generalnie innych poglądach i tendencjach, niż reprezentowane przez rzeczywistych dysponentów władzy. Należy na „uczłowieczenie socjalizmu” w Polsce wiąże się właśnie

z nimi. Obciążanie ich a także znacznej większości biernych i obojętnych członków partii grzechami niepopelnionymi, jedynie na zasadzie zbiorowej odpowiedzialności partyjnej, jest niesłuszne i szkodliwe z punktu widzenia perspektywicznych rozwiązań.

Charakterystyczne dla stosunków na wysokich szczeblach drabiny społecznej są głębokie rozbieżności między aparatem partyjnym a organizatorami i kierownikami produkcji. Formalnie administracja gospodarcza sprawuje zarazem mandat państwowy i partyjny. Dyrektorzy większych i ważniejszych zakładów, zjednoczeń, ministrowie z reguły zasiadają w obieralnych instancjach partyjnych. Faktycznie jednak wszyscy kierownicy przemysłu działają pod natrętne, codzienne dyktando aparatu partyjnego. Przeciwnie nazbyt niezależnym działaczom gospodarczym prowadzi się walkę podjazdową z pomocą prokuratury, MO, kontroli państwowej, administracji terenowej. Nikt jej jeszcze nie wygrał. Ofiara musi ustąpić.

Każde niepowodzenie przypisuje aparat partyjny organizatorom produkcji. Sam pozostaje poza krytyką, choć przytłaczającą większość zakwestionowanych decyzji sankcjonowały lub wręcz nakazały władze PZPR.

Biurokracja partyjna szczególnie nieufnie traktuje *boss'ów* przemysłowych jako nieprzejeźdźnych rzeczników racjonalizacji gospodarczej, dysponentów poważnych państwowych środków materialnych i organizatorów dużych zbiorowisk robotniczych. Zwiększenie zakresu samodzielnych decyzji przedsiębiorstw i zjednoczeń ujawniłoby hamującą rolę dotychczasowego systemu partyjnego sterowania ekonomiką.

Gdy bliżej zbadać większość antagonizmów o zasadniczym znaczeniu — okaże się, że generalna linia podziału społeczeństwa biegnie wzdłuż granicy klasowej chłopstwa. Bowiem wbrew formalnej statystyce, która rejestruje chłopą jako robotnika natychmiast po podjęciu przez niego pracy w fabryce, w transporcie, na budowie czy wręcz w rolniczej bazie maszynowej — dziś, jak przed 30 laty, Polska pozostaje krajem większości chłopskiej. Co najmniej 2/3 jej ludności, co najmniej połowę zatrudnionych w gospodarce narodowej (poza rolnictwem) jeśli nie z racji pracy to z racji mentalności i żywych powiązań ze wsią zakwalifikować wypada jako chłopów.

Jak kształtują się poglądy i co określa samopoczucie tej większości społecznej?

Nigdzie poza Polską współczesną rolnicy nie uzyskiwali i nie uzyskują tak wysokiego — w porównaniu do innych grup społecznych — dochodu przy równie znikomym nakładzie sił i środków. Nigdzie tak znacznej części dochodów nie obracają na konsumpcję. Dodajmy, że dzieje się to wobec wciąż żywej świadomości

mości niebezpieczeństwa recydywy kołchozowej i wspomnienia okresu kolektywizacji. Wspomnijmy o stosunkowo dużym poczuciu wolności politycznej na wsi, gdzie istnieje jednak możliwość wyboru między PZPR a ZSL i gdzie swoboda praktyk religijnych nie podlega administracyjnym ograniczeniom. Wszystko to nastraja chłopów przychylnie, choć bez entuzjazmu, do obecnego *régime'u*. Stawiają więc Panu Bogu świeczki i panu Gomułce ogarek.

W latach kolektywizacji i ucieczki ze wsi wielu synów tzw. średniaków wywędrowało do miast. Byli zbyt zasobni, by podejmować pracę fizyczną, mieli ambicje zdobycia wyższej pozycji społecznej. Zastali szerokie możliwości usytuowania się na urzędniczych i organizacyjnych posadkach. W niższych organach władzy i organizacjach społecznych szybko rósł odsetek młodzieży wiejskiej. Nie miała konkurentów — robotników nie satysfakcjonowały niskie urzędnicze zarobki, a inteligencję traktowano w latach stalinizmu nieufnie. Nowi urzędnicy, funkcjonariusze społeczni, milicjanci, z biegiem lat nabierali rutyny i znaczenia. Za czasów stalinowskich kończyli kursy partyjne i szkoły dialektyki marksistowskiej, po październiku znaczna ich część zdobyła „partyjne dyplomy zasługi” czyli świadectwa magisterskie bądź doktorskie (podobnie jak w roku ub. sam gen. Moczar) — w trybie opisanym przez *Politykę*. Cenzus wyższego wykształcenia pozwolił wytrzymać próbę nowej polityki kadrowej.

Do „weteranów” ludowego aparatu władzy doliczyć należy późniejszych wychodźców ze wsi i małych miasteczek. Młodzież, która zdobyła wyższe bądź półwyższe wykształcenie już w normalnym trybie. Byli to głównie absolwenci zakładów kształcenia nauczycieli, gdzie mieszkańcy wsi stanowią ogromną większość, oraz „nieatrakcyjnych” wydziałów uniwersyteckich, gdzie mała konkurencja zwiększała szanse gorzej przygotowanych kandydatów z odległej prowincji. Po ukończeniu studiów czekały ich złe płatne prace w szkołach, bibliotekach, świetlicach, zakładach wychowawczych i opiekuńczych lub perspektywa służby w MO, aparacie bezpieczeństwa, radach narodowych. Zrozumiałe, że znaczna część synów chłopskich wybrała korzystniejsze materialnie i prestiżowo kariery. Ci wyedukowani i „dyplomowani” w połowie lat sześćdziesiątych opanowali znaczną ilość stanowisk w służbie partyjnej i państwowej. Od kilku lat, wraz z bliskimi im mentalnością synami drobnomieszczan z małych miasteczek — stanowią większość w dolowym aparacie partyjnym, w powiatowych i miejskich radach narodowych, wśród młodszych oficerów WP, we wszystkich agendach podległych MSW, w powiatowym i wojewódzkim aparacie sądownictwa i prokuratury. W naturalnym już trybie ruchu służbowego awansują do wojewódzkich instancji partyjnych do KC, trafiają coraz częściej na „newralgiczne” stanowiska sekreta-

rzy partyjnych w zakładach przemysłowych, do sztabowych i kierowniczych organów WP i służb podległych MSW. Ta armia ludowych „białokołnierzykowców” rzeczywistość wierzy w pełną realizację zamierzeń określonych w manifestie PKWN i innych propagandowych dokumentach. O prawidłowości aktualnych stosunków społecznych przekonują ich własne kariery. *Pro publico bono* zdecydowani są tępić wszelkie przejawy niesubordynacji, groźnej dla identyfikujących się w ich mniemaniu — osobistych, rodzinnych, klasowych i państwowych interesów. Wczoraj tłumili „rozruchy” studenckie, dziś dyrygują redukcją 200 tysięcy robotników, jutro — wciąż w imię dobra ludowej Ojczyzny — wywalczą kolejną podwyżkę cen płodów rolnych a jej kosztami obciążą budżety robotnicze.

Ich wyróżnikiem nie jest zła wola lecz ignorancja, brak umiejętności wszechstronnego, ekonomicznego i politycznego myślenia. Konieczność zwrotu w metodach gospodarki socjalistycznej i paląca potrzeba sanacji przemysłu — przekracza ich zdolności rozumienia. Pozostaje im więc ślepe posłuszeństwo wobec zwierzchnictwa, pozytywnie ustosunkowanego do indywidualnej gospodarki rolnej i ślepa nieufność do wszystkich pozostałych. W perspektywie widzą konieczność przejścia steru przez bardziej „autorytatywne” kierownictwo.

Start umożliwił im Bierut. Rozwój — Gomułka. Liczebność w aparacie władzy zapewnił Strzelecki. Pełnię władzy obiecują sobie uzyskać dzięki Moczarowi. Stanowią jego najpewniejsze polityczne zaplecze.

Miejsce opublikowania niniejszych uwag skłania do podjęcia jeszcze jednego tematu — marcowej nagonki antysemitkiej. Z przekazów zachodnich wynika bowiem, że ten aspekt wydarzeń najbardziej i najfatalniej utrwalił się w świadomości opinii światowej. Jest to w pełni zrozumiałe, zważywszy na tragiczne losy Żydów polskich.

Z grubsza biorąc zarysowały się na Zachodzie dwa stanowiska. Pierwsze — podkreśla perfidię brutalnego, z racji rasowych podjętego ataku. Drugie — dopatruje się w tej akcji partyjnego i państwowego kierownictwa czystki ortodoksyjnych elementów, dokonanej pod presją społeczną.

Warto poświęcić tej sprawie, która przez całe lata będzie nad nami haniebnie ciążyła, oddzielne opracowanie, oparte o większą znajomość zjawisk niż ta, która upoważnia do bezkrytycznego powtarzania tez Gomułki, Werblana, Piaseckiego i MSW, bądź też opiera się wyłącznie na krańcowo subiektywnych relacjach dotkniętych prześladowaniami Polaków, dopisujących dziś nowy rozdział księgi pielgrzymstwa polskiego.

Nagonka antysemitka była dymną zasłoną czystki antyrewizjo-

nistycznej. Lista odgórnie i planowo represjonowanych Polaków „pochodzenia żydowskiego” ustępuje wielkością wykazowi Polaków „pochodzenia nieżydowskiego” skompromitowanych i usuniętych ze stanowisk w tym samym czasie.

Przy bliższym rozeznaniu poglądów Polaków „pochodzenia żydowskiego” okazuje się, że w bardzo nieznacznym stopniu można byłoby im „zarzucić” (bo i tak nie byłoby w tym nic nagannego) głębsze związki rodzinne, uczuciowe, ideowe z państwem Izrael. Syjoniści dawno już opuścili Polskę bez zachęty Moczara, Gomułki *et consortes*.

Represjonowani cieszyli się szacunkiem i znacznymi wpływami w środowiskach zawodowych, politycznych, towarzyskich dzięki wysokim walorom profesjonalnym, kulturze osobistej, dzięki zasługom w walce o Polskę i polskość, dzięki rewizjonistycznym zapatrywaniom. Tępotłowi stalinowcy-dogmatycy dawno już i bez rozgłosu znaleźli się na bezpiecznej „zielonej łączce” partyjnej emerytury czy innej synekury. Ich izolacja przebiegała bez różnicowania rasowego. Natomiast młoda generacja „neostalinowców” oraz podobnego rodowodu dysydenci chińscy, wśród których nie ma Polaków „pochodzenia żydowskiego”, cieszy się wyjątkowo uprzejmą, żeby nie rzec przyjazną inwigilacją wiadomych organów i nie spotyka się z próbami wystawiania jej poza nawias życia publicznego.

Wszystkie nazwiska represjonowanych Polaków „pochodzenia żydowskiego” znalazły się najpierw na tzw. „liście A” departamentu d/s mniejszości narodowych MSW, sporządzonej przez osławionego doktora *provocatoris causa*, Tadeusza Walichnowskiego. Na przełomie marca-kwietnia komitety partyjne skierowały do tego departamentu zaufanych pracowników kadr, celem odszukania „swoich Żydów”. Tam zapoznano ich z dwoma spisami. Na „liście A” figurowali ludzie skazani na wyrzucenie z partii i pracy „z kapelą” — czyli na wniosek inspirowanych zebrzań partyjnych. Na „liście B” trafili pozostali — zajmujący względnie poważne czy eksponowane stanowiska, których spokojną perswazją czy dyskretnym „przesunięciem” po jakimś czasie — już bez akompaniamentu „woli organizacji partyjnej” — miano pozbyć się całkowicie z niektórych centralnych i innych szczególnie ważnych ogniw.

W Polsce zadawniona niechęć do Żydów wciąż jeszcze trwa na prawach archeotypu. W Kulturze można to stwierdzić wyraźnie, jej Czytelnicy nie obciążą odpowiedzialnością za to bolesne zjawisko narodu lecz władzę. Przez 25 lat nie zrobiła nic dla likwidacji poniżającego reliktu. Czyniła natomiast dość, by nie dopuścić do społecznej akcji przeciw nienawiści rasowej i narodowej. Ale na wiosnę 1968 roku stosunek do Polaków „pochodzenia żydow-

skiego” był probierzem nastawienia politycznego grup i jednostek. Antysemityzm stał się, jak głoszone, służbowy i jako taki nie uzyskał aprobaty nawet w kręgach niechętnych czy wręcz wrogich Żydom. „Hunwejbino” w urzędach i instytucjach, gdzie gromadzi się szczególnie dużo karierowiczów, udało się tylko zastraszyć ogół pracowników, bezimienną masę. Nie uzyskali od uczestników zebrzań oczekiwanych wypowiedzi, potępiających proskrybowanych kolegów i zwierzchników. Wypowiadali się tylko znani „etatowi mówcy” — mętne indywidua o powiązaniach z agendami podległymi MSW czy aparatem partyjnym. Głosować — głosowano, bo sprawa i tak już „odgórnie” przesądzona. „Świ-nić się” nie chciano.

W fabrykach z tradycjami ruchu rewolucyjnego prowokacja zagroziła prowokatorom. W odpowiedzi na zarzuty „hunwejbino” rozlegały się na zebraniach partyjnych demaskatorskie wystąpienia robotnicze. Zaplanowane partyjne „sądy czarownic” przemieniły się w trybuny krytyki władzy, a przewidziane usunięcie z partii nie wszędzie uzyskało poparcie. W takich wypadkach „egzekucji” dokonywały dzielnicowe czy miejskie egzekutywy partyjne. Przedsięwzięcie stawało się niebezpieczne. W końcu maja szef partii zatrąbił na odwrót.

Szkoda, że we wcześniejszych czy bodaj ostatnich wystąpieniach „wódz narodu” nie dał zachęty i gwarancji spokojnego opuszczenia kraju pozostałym niewygodnym dla władzy polskim obywatelom. Rewizjonistom, przyjaciołom umęczonej Białej, kosmopolitom, przeciwnikom socjalizmu o nieludzkim obliczu, sympatykom państwa Izrael i wielu innym, którzy również nie z lekkim sercem podjęliby życie na emigracji. Do czasu gdy w Polsce prawo zacznie znów „prawo znaczyć, a sprawiedliwość — sprawiedliwość”.

Dla wielu przepadają bezpowrotnie lata z dala od laboratoriów i katedr, bibliotek i rajzbretów. Słowa raz zduszone obręczą cenzury państwowej nie zawsze znajdą ponowną drogę do manuskryptów. Marnuje się potencjał naukowy, artystyczny, techniczny — twórczy, jakże potrzebny Polsce, by szybciej i wszechstronniej zdobywała siłę i szacunek świata.

Więc może jednak, Towarzyszu Gomułka..?

Rocznice rozważania wypada zamknąć bilansem strat i zysków.

Straty poniósł naród polski.

Owoce udanej prowokacji zebrał Kreml:

- zażegnano niebezpieczeństwo przetrzucenia się przez Tatry ognia prawdziwie ludowej rewolucji. Po marcu 1968 roku w Polsce nie było komu podnieść tego sztandaru. Wśród trosk o sprawy najbliższe Praga i Bratysława oddaliły się od Warszawy,
 - zastraszone społeczeństwo polskie nie zareagowało masowym sprzeciwem na udział WP w haniebnym najeździe na Czechosłowację. Po raz pierwszy w historii Polacy wystąpili w roli *lands knecht*ów,
 - w marcu 1968 roku PRL oddaliła się od Europy, w sierpniu — przestała się liczyć na międzynarodowym forum politycznym jako państwo samodzielne, realizujące własne a nie podszepnięte koncepcje,
 - czym chłodniejsze stosunki na Zachodzie, tym serdeczniejsze — z konieczności czy wyboru — stosunki ze Wschodem. Marzec otworzył nowy odcinek równi pochyłej, po której Polska stacza się w ramiona Starszego Brata,
 - wypadki marcowe ujemnie odbiły się na naszych obrotach towarowych z Zachodem. Wielu importerów zerwało stosunki handlowe z PRL,
 - bezpośrednio po marcu szeroka i wciąż rosnąca fala towarów przemysłowych masowego użytku ruszyła za Bug. PRL kupuje surowce za dolary, sprzedaje za ruble,
 - nienasycony rynek sowiecki otrzymuje coraz większe ilości mebli, odzieży, obuwia i tp. towarów polskich.
- W piętnaście lat po październikowej demonstracji niezależności Polska okazała się najbardziej zależnym państwem wśród krajów demokracji ludowej.

Czy dojdą do głosu siły odnowy?

Po zastraszeniu redukcjami i bezrobociem wystąpią wkrótce objawy społecznego niezadowolenia. Susza i jej skutki staną się odczuwalne w pełni w roku przyszłym i następnych, szczególnie na rynku mięsny. Na wsi nastąpią dalsze rugi słabszych gospodarzy, ziemia przejdzie w ręce zamożniejszych chłopów. W następnym roku akademickim poważnie zmniejszy się ilość miejsc na pierwszym roku studiów uniwersyteckich, medycznych, ekonomicznych i niektórych kierunków technicznych. Sporo młodzieży nie znajdzie zatrudnienia w miastach. Niezadowolenie będzie rosło, nacisk władz również. Sytuacja, choć kryzysowa, nie zapowiada jeszcze zmian.

Podstawowym mankamentem uniemożliwiającym rozsądne i twórcze działanie jest brak koncepcji — socjalistycznej alternatywy społeczno-gospodarczej, odpowiadającej potrzebom kraju. Opracowanie takiej koncepcji jest podstawową potrzebą chwili. Skoro

jednak nie stać na nią kierownictwa partyjnego, skoro pozbawiono prawa głosu krajowych specjalistów — być może emigracja potrafiłaby przygotować założenia koniecznych reform. W kraju znajdują się wolontariusze, którzy poniosą program do różnych środowisk a przede wszystkim do robotników. Zaczyna budzić się świadomość, że bez aliansu inteligencji z robotnikami nadzieje na socjalizm o ludzkim obliczu pozostać muszą w sferze marzeń.

W. Z.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Poświęcone najnowszej historii Polski i krajów środkowoeuropejskich, wychodzą regularnie od 8 lat, dwa razy do roku. Napływ materiałów jak i zainteresowanie Czytelników sprawiają, że Instytut Literacki chciałby *Zeszyty Historyczne* przekształcić z początkiem 1971 roku na kwartalnik. Zależy to jedynie od ilości prenumeratorów. Liczymy tu na pomoc naszych wszystkich Czytelników.

Zwracamy ponadto uwagę, że są jeszcze do nabycia komplety *Zeszytów* (16 zeszytów) — z wyjątkiem wyczerpanego nr 2-go.

Cena pojedynczego *Zeszytu* wynosi F. 18,50 (\$ 4; 28 sh.)

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* kosztuje dla prenumeratorów we Francji — F. 30; dla zagranicznych — F. 35 (\$ 6; £ 2.13.00).

Prenumeratory *Kultury* korzystają z 25 % zniżki.

Dowcip

1.

Siedząc w kawiarniach i pijąc co nazywało się małą czarną, panowie sprzed niedawnego potopu, w getrach i ze szpilkami w krawatach, a także panie w kreacjach od Myszkorowskiego, które (kreacje) jeśli nie krępowały ruchów nazywały się sportowymi — słuchali dowcipów, przez nich samych wystrzyganych nożyczkami polotu z obowiązującej rzeczywistości. Epoka była już post-mieszcząnska, mimo, że tak wrogowie burżuazji jak i jej fundamentalisci tego ani nie uznawali ani nie rozumieli, i architektury kawiarni nosiły na sobie piętno Art-Déco i kubizmu z malowanej dykty. Pojęcia były z pogranicza, zaś faszyzm uchodził jeszcze za igraszkę intelektu. Spengler i Proust wywierali jednaką presję na umysły, a antysemityzm mógł być także w dobrym tonie, niemiły, lecz czarujący. Pociąg Dancing-Narty-Brydż miał takie brzmienie jak Flight Number XYZ do Acapulco, w co się aż wierzyć nie chce. Wtedy, między wielu innymi, skonstruowano dialog:

— Co byłoby gdyby nie było Żydów?

— Trzeba by było ich wymyślić.

Należy założyć, w świetle ostatnich badań nad metodologią kultury polskiej, że to w miarę zabawne spięcie pomysłu w trybie warunkowym wykoncypowali Żydzi. No, bo niby kto? Żydzi mają dar myślenia abstrakcyjnego, korelacji odległych skojarzeń i kropelkowania sentymentalizmu — który może mieć także efekt komiczny — do najsuchszych i najobiektowniejszych stwierdzeń. Wszystkie zalety (albo wady, jeśli ktoś woli) powyższych właściwości, uzdolnień i skłonności zawierają się w owym porzekadłku. Gwoli ścisłości badań przyjąć jednak też

trzeba, że mogli to zautoryzować Polacy, na przykład Nowaczyński. Wtedy sentymentalizm, lub zgoła manifestacyjna życzliwość nie ulegałyby wątpliwości, czy wahaniom, i prawnik zasłużył być mógł na epitet filosemity, a może pochwałę za to samo, kto to wie, chociaż wtenczas brak konkretniejszych rozróżnień nie niósł w sobie niczego nadzwyczajnego ani w jedną, ani w drugą stronę. Bylibyśmy jednak zadłużeni wobec ezoterycznych uroków cywilizacji gdybyśmy poprzestali na rejestracji blasków powierzchni. Powiedzenie miało w sobie sensy różnorakie i głębie niejednakowo pachnące, lecz pole do interpretacji i komentarza pozostawało po nadwiślańsku przewrotne i to był właśnie sam wdzięk, tu tkwił pierwiastek literacki i literacko-polski, a może dialektycznie-żydowski, a może oba razem sprzężone w to co — jak już wiemy — mogło się właśnie złożyć na chwałę cywilizacji kiedy kilka kaktazmów przeszkodziło. Co do jednego wszyscy byli jednak jednako zgodni: ten *bon mot*, fajerwerk, wytrysk absurdu, ejakulacja surrealizmu, warszawski post-Bretonizm, *past-symbolizm*, dopiero-co formizm i propedeutyka picassizmu z lat Lardellego, Cocteau, Kiedrzyńskiego, „Psa Andaluzyjskiego”, szwależerów pachnących Vegetalem i ocytanych w Skamandrytach — nie miał w sobie krzyku realizmu. Był naówczas arcy-kulturalnym wygłupem, burleską-buffo, jeszcze jednym ach-jakie-to-pyszne!

Życie poszło przeciw realizmowi.

Jak zawsze.

„Pamiętasz taki dowcip”, powiedział mi niedawno przyjaciel z Londynu, „o tym, że Żydów trzeba by było wymyślić gdyby ich nie było? To już rzeczywistość. Zmień tryb z 'wymyślić' na 'wymyślać' i oto masz co dzieje się teraz w Polsce”.

Przykłady.

Facet pracuje na budzącym pożądlivość stanowisku. Jest nie za dobrze z POPem, nakonflikcił z różnymi ważniakami ze szczebli administracyjno-partyjnych, ale z kolei sam jest gdzieś mocny w ministerstwach, radach narodowych, w jakimś innym wymiarze partyjno-kombinatorskiej dżungli. Ktoś gdzieś postanawia go uziemić. Na najbliższej komisji, czy odprawie, już krąży gadka: „Przyjdzie mu się dobrze, towarzyszu. Niczego nie widzicie? Przecież to Żyd, tylko cholernie zaciemniony. Ale są świadkowie i rzeczowe dowody. Ludzie wiedzą”. Teraz powiedzmy to sobie choćby dla komicznego efektu, że facet nie tylko nie Żyd, ale rdzenny, ziemny, pszenny, perkaty, lnianowłosy, szerokokostny, glebny, z bezbłędną linią przodków od szarwarku, sochy, radła i Rzepichy, żadnych problemów za okupacji, w ogóle — rzewne, senne marzenie Żyda z bunkra. Najmniejszego znaczenia. „Wiecie jak jest, towarzyszu — kiedy człowiek chce coś ukryć przed władzą, oszukać kolektyw, krew pić z narodu? Taki jest najgorszy”.

Przykład numer dwa — nowa mechanika zguby. Facet w dużo wyższym i ważniejszym eszelonie. Kiedyś załatwiało się takich jak on przy pomocy dialektyki. Nie znaczy to, że aż z takim wyrafinowaniem jak to sobie dedukowali rozgorączkowani pisarze, ale wysiłek prostactkich uzasadnień dla najbrutalniejszych kopniaków zawsze istniał. Zdobiły go meandry teoretycznych zwrotów kwiecistych i zawsze przyjemniej było upadać pośród ustylizowanych, dekoracyjnych wzlotów partyjnej romantyki i partyjnego pseudo-intelektualizmu. Już słyszałem o nowych technikach. Facet ma dobre, polskie, inteligencko-post-szlacheckie pochodzenie. Gdzieś w pozytywiźmie jeszcze rodzina rozszczepiła się na szlagono-wojskowych i nauczycieli ludu. Ta druga odnoga od razu pokochała się z Proletariatem, i tak już poszło w nienagannej tradycji od Waryńskich poprzez Marchlewskich po dziś dzień. Ale aktualnie trzeba faceta skończyć. Więc wysłała się zauszniaka po instruktazowej rozmowie w przyległym biurze, służącym dziś za sutą, szkarłatną kotarę z czasów kardynałów; zauszniak udaje się do okolic rodzinnych gniazd, pogrzebie trochę w księgach kościelnych — metryki, spisy urodzeń, wyciągi parafialne, te rzeczy — i wraca z łupem w postaci materiału dowodowego. To znaczy z niczym, z zerem, z pustką, z jakimś brakiem — czyli z najlepszym materiałem dowodowym. Parafialne kancelarie w początkach XIX-ego wieku nie posługiwały się jeszcze na Podlasiu komputerami, stąd luk, błędów i nieścisłości jest w bród i co niemiara — zaś kilka drobnych manipulacji i już coś czego w ogóle nie ma staje się dowodem na to co właśnie tak ma być wolą i mocą ubiackich *master-mind'ów* z Rakowieckiej. Po czym na najbliższej konferencji, czy komitecie, dostojne, adorowane przez stulecie skrzyżowanie grottgerowskiego powstańca, szkaplerzowca, postępowca, demokracji i post-Berentowskiego Fachowca-Inteligenta, wzór i wcielenie cnót-z-najlepszymi-tradycjami-rewolucyjnymi-narodu-i-jego-oświeconych-warstw-w-służbie-Ludu przeobraża się nagle i nieoczekiwanie w Żyda, syjonistę, konfidenta i utrzymanka kibuców, mordercę Arabów, kata muzułmańskich komsomolców. Upadek taki jest nieodwracalny i bezdeny, camusowskie figle psychiatryczno-moralne są już dziś wobec tego odmetu potencjałów jak guma do żucia przy marijuanie.

Wszystko byłoby to kwaśno-gorzko dowcipne, gdyby nie totalitaryzm — centralny wrzód stulecia. Robienie Żyda z nie-Żyda można równie dobrze obrócić w farsę jak udawanie nie-Żyda przez Żyda, co, jak wiadomo, ma pokąźną i wypróbowaną, literacką spuściznę. Ale w totalizmie — zwłaszcza w ostatnim, polskim, hitlerowsko-komunistycznym modelu — te swawole nie przechodzą. Żyd w Polsce naszych dni jest synonimem arcy-niechlujności gnojenia, nie zaś apokaliptycznego nieszczęścia. Już bez ozdobników

i ornamentacji, tragicznych, emocjonalnych, poetyckich, czyli tego wszystkiego co wstrzykiwało chwałę w cierpienie i mękę. Jest to kondycja wyjątkowo odrażająca właśnie przez odczynienie jej od eschatologii, od rozwiązań krwawych i ostatecznych, gdy tylko parszywość i wszechobejmujący Katzenjammer mają zatruć resztę życia tych, którzy pomagali budować dół kloaczny dokąd ich potem wrzucono i utylano. Nie utonęli, lecz na resztę swego czasu, gdziekolwiek będą się otrząsać z gnoju, towarzyszyć im będzie smród najnikczemniejszej z klęsk — klęski ochoczej partycypacji, z błyskiem uniesienia w oku, w samounicestwieniu, w dławiąco-duszającym zapowietrzeniu samego siebie. Udział w konstrukcji wychodków — czyż może być coś bardziej kosmicznie nieodpowiedzialnego, zwłaszcza dla jednostek subtelnych, lecz dość aroganckich by wielbić własne besserwisserstwo przez tyle, tyle lat bez cienia wątpliwości. Cnotliwe i lojalne, fanatyczne, bezkompromisowe, katońsko-rewolucyjne współdziałanie w planowaniu wygódek jako tytuł do życiowego osiągnięcia, do poklasku bliźnich? Rzecz jasna, wielu zostało pokrzywdzonych i oplutych bez grzechu, tylko dlatego, że uwierzyli w przeobrażenia ludzkie pod obuchem nieludzkości, w ewentualność człowieczego dobra, ciepła i zrozumienia pod powłoką brutalności historii, które przecież powinny były stopnieć w oczyszczającym ogniu niedawnego wszech-pogromu. Lecz tak Ewangelie jak i Jean-Jacques Rousseau są już dla Centralno-Wschodniej Europy cieniem na zmęczonym obliczu — nie z nich już nie wyniknie, niczym nikogo nie wstrząsną, nie przekonają, ani nie przemienią. Celnik na lotnisku Okęcie, wyrwywający z rąk dziecka, które nie rozumie, że jest żydowskie, mały rowerek-zabawkę, za który wyrzucony z posady, z mieszkania, z domu, z kraju, z ostatniego psychicznego schronienia po ostatniej wojnie ojciec nie ma dość pieniędzy aby zapłacić cło wywozowe jakie Gomułka z Moczarem wymyślili, że się należy w świetle izraelskiej agresji — jest przecież jakoś lepszy od swego SS-owskiego kolegi z Oświęcimia, który wrzucał dziecko do pieca a zabawkę odkładał pieczołowicie na stronę. Dziecko będzie wrzucone do samolotu i, być może, w lepsze przeznaczenie, niż cała Centralno-Wschodnia Europa. Lecz jakieś pobratymstwo celnika z SS-manem istnieje, choćby w tym, że obaj uznaliby zgodnie Aloszę Karamazowa, za wodzącego: „Duszę, duszę gubisz!...” za skretyniałego maniaka, nawet gdyby występował w telewizji.

„Żyd” — napisał niedawno żydowski egzystencjalista Emil Fackenheim — „to ktoś kto przez sam fakt swego przyścia na świat uczestniczy w losie wszystkich Żydów”. To dość precyzyjne stwierdzenie nabiera niezwykłych blasków nieprecyzyjności w Polsce końca lat 60-tych. Ktoś kogo partia zamierza zgubić zaczyna swe niesamowite uczestnictwo w losie wszystkich Żydów, bez

względem na to jak, gdzie i u kogo przychodził na świat. Antysemityzm i z tego znajdzie łatwe wyjście: totalitaryzm, powie, jest żydowskim wymysłem i dziedzictwem. Monoteizm, monizm, uniwersalizm to wszystko żydowskie trucizny, a już Marx, Engels, Róża Luksemburg i Trocki spreparowali surowicę, która wysypała najgorsze krosty na ciało ludzkości. To oni wyszlifowali najwspółczesniejszą formę totalizmu, która unicestwia pierwiastek nieżydowski, demokratyczny, ateński, Magna Charta i Habeas Corpus. Takie uproszczenia od stuleci władały wyobraźni szesnastolatków dorabiających się ideologii i dziś szaleją na świecie, lecz właśnie nasza epoka totalniackiego trądu, wyhodowanego w niektórych krajach jak bakterie w probówkach, pozwala na zwielokrotnione odruchy orientacyjne. Totalniackość polskiego (nazwijmy go prowizorycznie gomulkowski) komunizmu stawia naraz wszystko w perspektywie kafkowskiej (jeszcze jeden Żyd i jeszcze jedno zmętnienie). Jak udowodnić, że nie jest się Żydem nie będąc Żydem, w rzeczywistości, której nieprzenikalny mechanizm postanowił, że ktoś jest Żydem? Upiorne, nakładające się na siebie pseudo-scenerie niby-rzeczywistego życia stwarzają fantasmagoryczne labirynty, po których błąka się dziś reszta kilkunastu tysięcy Józefów K. — urzędy paszportowe, biura podatkowe, kolonie karne zarządów ewidencyjnych, Zamek na rogu Alei i Nowego Świata. Prasa, sądy, policja, środki masowego przekazu, ustawodawstwo, prawo, ogłoszenia, drukarnie, telefony i produkcja wizytówek są w jednym i tym samym ręku tych, którzy postanowili. Rozum jest w ich rękach, a także sens, oraz wszelkie interpretacje i narzędzia posługiwania się nimi. Mogą więc wszystko, nawet wymyślać Żydów. Na co znowu nie potrzeba aż tak wielkiej fantazji. W polskim przeświadczeniu ludowo-popularnym naszej ery każdy, kto nie jest z folwarku, z Poznania, z czworaków, z prząszniczek, z Kaszubów, z listonoszów, znad Gopła, z handlu trumnami, z granatowych policjantów — jest potencjalnym Żydem. Przymiotnik *potencjalny* jest kategorią specjalną zrodzoną pomiędzy dorzeczem rzek Biebrza, San i Wieprz, a dansingiem *Kameralna* w Warszawie i nigdzie nie występującą w tak klasycznym wcieleniu. Ci zaś ze szlachty, z Wołynia, z katolickich seminariów, z endeków i z ONRu to żadna gwarancja. Przedwojenny antysemityzm stoi na tej giełdzie nisko, bo, wiadomo, czego to Żyd nie zrobi, żeby się zamaskować. Ale LUDZIE WIEDZA! Opowiadano mi nawet niedawno o jednym, który wygląda jakby napisany przez Dygasińskiego, a namalowany wspólnym wysiłkiem Chełmońskiego i Apoloniusza Kędzierskiego — taki ci płowy, zgrzebny i bosy jak z wieśniaczych pogrzebów — że też o nim mówią, że Żyd. Ale polny.

2.

Błogosławiona działalność w imię i dla, zapal i duch poświęcenia w tropieniu rodzą naturalne snobizmy, zwane przez aktywistów dumą przynależności. To dość banalne spostrzeżenie ilustruje następująca historia, którą można byłoby nazwać zdumiewającą, gdyby nie dawno już wyczerpany kontyngent zdumień.

Pewien pan w Warszawie, nazwijmy go Rozenkranc, miał kłopoty z nazwiskiem. Nie od dzisiaj. Właściwie nazwisko to nie jest w niczym gorsze od innych nazwisk tej samej proveniencji, a jak wiemy od Władysława Żambrzyckiego wszystkie one pochodzą od znakomitego poety niemieckiego E. T. A. Hoffmanna, ale nie będziemy tu wchodzić głębiej w tę skądinąd uroczą historię. Do nazwisk tych w końcu przyzwyczaiły się obie części dotkniętej nimi ludności — i ci, którzy je nosili, i ci, którzy się z nich nabijali — i życie toczyło się z nimi, przez dwa stulecia niemal, raczej darząc nazwiska mniejszą uwagą. Nazwisko jest rzeczą wymienną, tak, że w wypadkach krańcowych konieczności panowie i panie operowali nimi dość dowolnie; w końcu przyzwyczajono się, na naszych obszarach, w ogóle nie przywiązywać wagi do nazwiska o dźwięku mniej donośnym niż Radziwiłł, czy Blikle, poznawszy bezkresne możliwości w dziedzinie źródłosłów, a przyzwyczajony do różnych wytwornych praktyk w życiorysach komunistycznych mężów stanu. Ale w wypadku pana Rozenkranc sprawa komplikowała się, albowiem p. Rozenkranc nie był Żydem, ale to absolutnie, ani-ani, w ogóle nic-a-nic, był zaś raczej czymś wręcz przeciwnie, a mianowicie arystokratycznym potomkiem jakiegoś rodu, Kurlandia, czy Inflanty, te rzeczy, co z kolei determinowało jego irracjonalne przywiązanie do nazwiska, które przecież tak łatwo mógłby zmienić na Kacprzak, czy Bierut, czy Szyr (ezoteryczniej), gdyby tylko chciał. Komplikacje mają, jak wiadomo, właściwość pączkowania, stąd p. R., niedość, że handicapowany dźwiękiem, uderzony został przez naturę jeszcze wyglądem. Coś w nim było nie tak, trudno powiedzieć nawet co, czy ciemne włosy, czy zbyt mizerna wzrostu, czyli elementy, które w innych częściach świata są najwykleszą komponentą losu człowieka, w dorzeczu Włgi, Wisły, Renu stanowią jednak o pewnych stanach psychicznych, w których głębie lepiej nie wchodzić, tak jak z nazwiskami. Pewien interesujący pisarz polski niedobrego pochodzenia, spędziwszy okupację na pasjonującym zajęciu ukrywania się, napisał, po tzw. wyzwoleniu, że najbardziej niepokoiły go własne kolana: resztę aparycji miał bezbłędną, Niemcy salutowali na widok jego promiennej skandynawskości, szmalcownicy obrzucali go spojrzem najwyraźniejszej niechęci i oburzenia, że ktoś może w ogóle tak wyglądać, zaś on dręczył

się kolanami. Doszedł bowiem do wniosku, że żydowskość, semickość i to wszystko za co idzie się do pieca kryje się w kształcie kolan. Być może, że tylko ogólnie panująca atmosfera sprawiła, że p. Rozenkranc postanowił w początkach lat czterdziestych raz na zawsze wyświecić sprawę: udał się przeto do odpowiedniego urzędu, może i pojechał do samego Berlina, czy Norymbergi, dość z tym, że w krótkim czasie był w posiadaniu specjalnego dokumentu, glejtu, listu żelaznego, stwierdzającego z niezachwianym autorytetem, że pan Rozenkranc jest ponad wszelkie podejrzenia, że udowodnił swoją czystość rasową ponad najdrobniejszą wątpliwość, że ludzkość może być dumna z p. R. i z jego genów. Resztę okupacji p. Rozenkranc, człowiek skromny, cichy i bez pretensji, spędził zgodnie i harmonijnie z narodem polskim — którego czuł się członkiem — i jego nieszczęściami, równie bez sensacji wszedł w komunizm, w którym przepracował sumiennie i spokojnie 23 lata w swoim zawodzie. Po wojnie 6-dniowych zawezwany został do swojego dyrektora, gdzie zastał już zasępiionych panów z podstawowej organizacji partyjnej, którzy donieśli mu, że jest wrednym syjonistą i zażądali przyznania się do wszystkiego. Ku ich zdumieniu, p. R. nie wykazał ani zmieszania, ani przestachu, ani nawet owego rozgorączkowanego oszołomienia tak charakterystycznego dla wszystkich, którzy wtrącani są bez uprzedzenia przed oblicze odrętwiającego idiotyzmu egzystencji w komunizmie, tylko uśmiechnął się wyrozumiale, z łagodnością człowieka, który wszystko to zna, i poprosił ich aby zaczęli do jutra to on coś przyniesie z domu. Nazajutrz, ekipa czekająca na p. R. wzmocniona została obecnością niedużego blondyna w nylonowej koszulce z błyskawicznym zamkiem, którego wesoła, świdrująca perkatość wskazywała na dość jednoznaczne wykształcenie w filozofii politycznej. Pan Rozenkranc usiadł ze swobodą naprzeciw inkwizytorskiego biurka z formiki, założył nogę na nogę, zanurzył rękę w kieszeń i dobył dokument. Nastąpiło czytanie, oglądanie, obracanie na wsze strony, tłumaczenie, komentarz, lekko podniecona wymiana zdań wśród kierownictwa, po czym p. R. powiedział z wytworną pobłażliwością: „Mam wrażenie, że *takie* zaświadczenie wystarczy?”

Przez chwilę panowała cisza, po czym twarzowy blondyn chrząknął owym niepowtarzalnym chrząknięciem z „Podręcznika Agitatora” na użytek pracowników bezpieczeństwa: „Co wy mi tu z jakimiś auswajсами... Co chcecie przez to powiedzieć? Że Gestapo wie lepiej niż władza ludowa? Otóż zapamiętajcie to sobie raz na zawsze, że nasza partia wie lepiej. Marksizm-leninizm uczy nas jak trzeba kto jest Żyd, a kto nie. I dla nas wy jesteście syjonista...”

Już jako bezrobotny i napiętnowany, p. Rozenkranc rozważa

możliwości posłużenia się nazwiskiem i wyglądem w odwrotnym kierunku. Ostatecznie, można sobie wyobrazić sytuację, w której Żydzi mogą przymknąć oko na to, że ktoś jest z baronów kurlandzkich. Nie takie rzeczy ludzie ludziom wybaczały.

3.

Niejaki czas temu, w mieście Phoenix, stolicy stanu Arizona, udałem się na *party*. Domy w Arizonie są rozległe i przyjęcia proporcjonalne do ich rozmiarów. Ten dom pełen był miejscowych notabli i ja, jak to na *party*, gaworzyłem sobie to z jednym to z drugim. Aż jedna pani powiedziała: „O, pan jest z Polski. A tu jeden z moich przyjaciół właśnie wybiera się do Polski”. I wskazała na stojącego tyłem do mnie niewysokiego człowieka o żywych ruchach i jasnych włosach. „To jest świetny facet”, dodała, „i bardzo tu u nas ważny. On jest naczelnym rabin miasta Phoenix. Musi go pan koniecznie poznać”. Już sama idea synagogi pośród pustyń Arizony, w krajobrazie pełnym Johnów Wayne, Indian, dyliżansów i krwawych rozpraw rewolwerowych wydała mi się niezwykle świeża i pociągająca, nic więc dziwnego, że podążyłem szparko za panią by ucisnąć dłoń rebege z Dzikiego Zachodu. Podeszliśmy, rabin odwrócił się do mnie i ja skamieniałem. Przede mną stał Roman Bratny.

Zdumienie moje musiało być przeogromne, gdyż wywarło widoczne wrażenie na otoczeniu. Ja zaś powtarzałem sobie gorączkowo w myślach, usiłując się wewnętrznie zreorganizować: „Uspokój się i opanuj! Przecież to niemożliwe, żeby Romuś był rabinem w Arizonie i żeby nikt o tym nie wiedział! Nawet Moczar. Takie numery to nie na nich. Gdyby był, to by już wiedzieli na Rakowieckiej i nie daliby mu robić w literaturze. To tylko fizyczne podobieństwo. Jedyne wytłumaczenie. Ostatecznie, zdarzają się takie wypadki, to nie może być nic innego. Ale przecież to niemożliwe! To nie żadne podobieństwo tylko Roman!...” Te zmagania przeleciały przez moją psychę błyskawicą i, chociaż ciągle jeszcze oszołomiony, wdałem się w przyjazną pogawędkę. Rabin był czarujący, dowcipny, uśmiechał się zaraźliwie — zupełny, kubek-w-kubek, wykapany Bratny. W końcu powiedział, że jedzie do Polski, skąd jego pra-dziadek przybył na drugą półkulę, bowiem chce zobaczyć jak wygląda gleba, z której wykorzenił się on i jego rodzina, i spytał mnie co o tym sądzę. Nie wiedziałem, co mam o tym na razie sądzić, jako też nie wiedziałem co mnie podkusiło i jaki szatan, bez udziału krzty mojej wolnej woli, zlepił mi w ustach słowa: „Ależ oczywiście, powinien pan koniecznie pojechać. Dam panu także nazwisko i adres... To może być fas-

cynujące spotkanie! Jaka szkoda, że sam nie mogę przy nim być..." Rabin przyjął moją pomoc z entuzjazmem.

Długo w noc wiłem się bezsennie, dręczony wyrzutami sumienia. Przez moją rozgorączkowaną wyobraźnię przesuwały się sceny. Rabin wchodzi do warszawskiej *Kultury* i pyta o Bratnego. Sekretarka uśmiecha się promiennie i pyta, czy on brat Bratnego, czy tylko kuzyn. Na to rabin, że on jest rabin z Arizony. Obok sekretarki stoi (przypadkiem) ohydny arrywista i donosiciel, czyhający na zgubę Bratnego, na jego pozycję i osiągnięcia literackie, zazdroszczący mu sławy, wdzięku, sukcesów łowieckich, powodzenia u kobiet. Na najbliższej konferencji redakcyjnej Czeszko, z wrodzoną sobie finezją, mówi: „No, no, wszystkiego mogłem się spodziewać, ale taka perwersja... Mieć w rodzinie rabina-kowboja..."

Leopold TYRMAND

TRYBUNA kwartalnik polityczny

Bieżący numer za I-szy kwartał 1970 zawiera m.in. artykuły: R. Piłsudski „25 lat PRW NiD”, J. Radomyski „Ferment wśród intelektualistów sowieckich”, J. Ścibor „Jak młode pokolenie widzi przyszłość emigracji”, H. Stebelski „Aspekty polityczne i gospodarcze pomocy dla krajów niedorozwiniętych”, prof. P. Wandycz „Jałta w pamiętnikach jej zachodnich uczestników”.

Cena numeru 4 F., 6 szyl., 1 dol. Do nabycia w księgarniach i kioskach polskich oraz za zamówieniem na adres:

TRYBUNA, 3 ALEXANDRA ROAD, LONDON W4.

Honor

Ojciec coraz bardziej gorzkniał i dziwaczał. Nawet nie taki wiekowy, 67 lat sobie liczy, a z wyglądu znacznie starszy. Wszystko to chyba z tego powodu, że na starość dokuczało mu poczucie zmarnowanego życia. Nie przyznawał się do tego wprost, ale tak jednak było. Gryzło go to i męczyło jak najpaskudniejszy rak.

Kiedy wybuchły te kotłowaniny marcowe i ludzie jakby w stanie wrzenia, w dobrych czy złych intencjach pogrążeni, to uśmiechał się krzywo i obserwował tę ludzką szarpaninę jak dobrze znajomy teatr.

— Był Józef Wissarionowicz, teraz marzec... — tak powiedział wtedy — ...i różne jeszcze inne rzeczy mogą być... — a czytał gazety tak, jakby go parzyły, bo zaraz odrzucał albo darł na strzępy.

Z dużym zainteresowaniem patrzył na rozgorączkowaną młodzież studencką, gromadzącą się na wiecach, skandującą swoje hasła i wylewającą się tłumem z dziedzińca uczelni na ulice miasta.

— Przetrzepią im skórę — powiedział — połamię kości... Ile już takich pokoleń poszło na przemiał... — Nie dawał po sobie poznać, ale bardzo był zdenerwowany; może swoją młodość sobie przypominał, z pasją wystukiwał popiół z zagasłej fajeczki.

A znów tych młodych, co w aparacie partyjnym siedzieli na funkcjach rozmaitych i potępiali tamtą niesforą i zagniewaną młodzież, tak charakteryzował ojciec: — Kawał życia mają przed sobą, jeszcze mogą się szmacić...

Natomiast u siebie w zakładzie cieszył się kryształową opinią weterana ruchu robotniczego. Jak to mówiono piękny życiorys, z takim życiorysem można nic nie robić, tylko sam życiorys procentuje. Jednak od kilku już lat i tam odsunął się od wszelkiej działalności politycznej. Tyle że milczał nie wypowiadając się na

żaden temat. Dopiero w czasie tych pomarcowych rozróbek odezwał się ojciec.

— Rezolucja przeciw syjonistom, rewizjonistom, wichrzycielska młodzież, inne jeszcze rezolucje, nic nie podpisuję... — oświadczył wprost — ... już nie dla mnie cała ta akrobacja, za stary jestem... — Tak zaczął się wypowiadać głośno wobec różnych ludzi z żadną ostrożnością się nie licząc. Ale ponieważ wszyscy szanowali go i lubili za prawość i skromność, nikt nie zrobił z tego żadnego użytku. Poprosił go jedynie na poufną rozmowę sekretarz komitetu zakładowego, karierowicz w średnim wieku — dość rozgarnięty i z pewną uczciwością facet. Podczas tej rozmowy tylko nalegał delikatnie, żeby ojciec zbyt głośno swych opinii nie wypowiadał.

— Dla waszego i naszego dobra, towarzyszu... — tak to określił.

— Dobra? — powtórzył ojciec i tak jakoś zadumał się przez chwilę. Taką to była rozmowa. Ojciec milczał właściwie i tylko tamten mówił. Aż wreszcie i sekretarz nijako się poczuł.

— Jeszcze nie obrósł całkowicie tą skórą twardą i odporną na wszystko... — taką wyraził o nim opinię ojciec — ... ale obrośnie... nieźle obrośnie... inaczej kariery żadnej nie zrobi...

Więc odsunął się starannie od wszelkiej działalności partyjnej. Nawet na akademiach rocznicowych nie chciał już siadać za prezydialnym stołem z innymi weteranami i ważnymi osobistościami. A przecież dawniej godził się chociaż na to.

— Szyldem też już nie będę... — zbyt krótko nalegania rozmaitych organizatorów.

Miał tutaj w mieście paru kolegów jeszcze sprzed wojny, z partyjnej roboty towarzyszy. Spotykał się z nimi czasem przy kufelku piwa. Tamci starzy też zgorzkniali i rozgoryczeni. Siedzą, popijają i czas nadchodzącej renty tylko ich interesuje.

Jeden stary mówi: — Ja już przechodzę w tym roku...

Drugi stary: — Ja jestem od roku...

Trzeci stary: — A ile ci przyznali?...

Drugi stary: — Partyjną, dla zasłużonych — i uśmiecha się — ... przyzwoity kawałek grosza...

Pierwszy stary ożywia się. — Żeby tylko doczekać i pożyć sobie spokojnie... Żeby... — wzdycha.

Wszyscy naprawdę zasłużeni. Obwieszeni orderowym żelastwem, nastrajkowali się i nawalczyli przed wojną, nałazili po tych zebraniach tajnych i nasiedzieli w tiurmach rozmaitych. A ojciec słucha i sam nic nie mówi.

— A ty — pytają — kiedy przechodzisz?...

— Niezadługo — odpowiedział.

Patrzyli na niego z zainteresowaniem. Ciekawiło ich jaką rentę

dostanie, miarkowali sobie, że najwyższą. Ale żadnej zazdrości nie czuli, uważali bowiem zgodnie, że należy mu się sprawiedliwie.

W tym roku właśnie na rentę przeszedł.

Chcieli u niego w zakładzie uroczyste odejście mu zrobić, mowy, kwiaty, stół obłożony czerwonym płótnem. Ale sprzeciwił się stanowczo.

— Cichcem chcę odejść — oświadczył.

A tej renty dla zasłużonych nie przyjął, tylko zwykłą z przepracowanych lat mu przynależną. Pogłupieli ludzie i nie wiedzieli co o tym sądzić. Wzywano go do miejskiej instancji partyjnej. Poszedł i nie ustąpił. Wezwano go wyżej. Też nie ustąpił.

W domu porządnie miał za swoje.

— Głupi dziadu... — wściekała się matka — całe życie na tym komunizmie zmarnowałeś i teraz się obrażasz!!

Ale ojciec wiadomo jaki uparty i nie ustąpił. Dostał zwykłą, robociarską rentę. Sprawa była to niecodzienna w naszym mieście. Rozniosła się szybko. Przychodzili ludzie z innych fabryk, żeby gapić się na ojca. Tak niby przypadkiem, a wytrzeszczali oczy. Gdy dopytywali się natarczywie, odwracał się plecami i milczał jak zakłęty. Tylko raz w rozmowie z matką udzielił pewnego wyjaśnienia.

— Nie o to walczyłem i honor swój mam... — zdenerwował się i wałnął pięścią w stół, aż podskoczyły talerze.

Na co matka puknęła się znacząco w czoło.

— Spóźniony honor — zakpiła.

To powiedzenie dotknęło ojca. Wyszedł z domu i nie było go całą niedzielę. Kiedy wrócił, popatrzył na nas niepewnie, jakby szukając drwiny i szyderstwa na naszych twarzach. Ale nic się nie doszukał. Matka straciła już całą swoją złość i ze zwykłą troskliwością zapraszała go do kolacji.

Wtedy też wieczorem, w przystępie czułości zwierzyła mi się. — Takie to stare a ciągle czupurne... Zawsze takie było... — przerwała to wyznanie zawstydzona i powróciła do zwykłego zręczenia i szorstkiej burkliwości.

Tak zdecydował ojciec w sprawie swojej renty, sprawiając różnym działaczom, którzy go pamiętali z dawnych aktywnych lat, trochę zażenowania i być może osobistej niewygody.

Z tego powodu ci różni starzy jego towarzysze początkowo byli oniemiałymi i jakby zawstydzonymi na jego widok. Ale szybko powrócili do dawnego, gdyż ojciec nie podkreślał wcale swojej odrębności i jak zwykle wypijał z nimi kufelek jasnego z wiśniowym sokiem, a nawet kieliszek gorzałki z rzadka do tego. Kiedyś jedynie kolega jego najstarszy powiedział nagle: — Głupio bo głupio i może wstyd, ale nie ja te renty wymyślałem... — Ale ojciec wątku nie podjął, siedział sobie milcząc i piwo popijał.

W drugim miesiącu renty ojciec jak wszyscy starzykowie tutaj zabrał się do hodowli gołębi pocztowych.

Patrzy z upodobaniem na śnieżnobiałe ptaki wydziobujące groch i czasem mówi miękko, nie pasującym do jego surowej, upartej twarzy głosem: — Wypuścisz, polecą daleko, żadne granie, nic, tylko leć i leć!!

— Czyś ty zwariował, stary... — kpi z niego matka, ale do brodusznie.

A ojciec wpatrzony w swoje ptactwo, albo zadziera głowę i gapi się w niebo, otwarte, niebieskie, gotowe do przyjęcia gołębiego lotu. I tak może godzinami.

Seweryn KWARC

Przeniesienie

Jakub Meizer to weteran ruchu. Przed wojną w KPP, okupację szczęśliwie przeżył w schowku za szafą, a zaraz gdy tylko skończyła się wojna PPR. Właściwie ciągłość w ruchu nieprzerwana, bo i w schowku nie próżnował, zajmując się produkcją granatów dla bojowców. Prosty chłop, słabo piśmienny, analfabeta prawie, i tak sprzed wojny jeszcze partii oddany, przecież ani bezpieka ani stalinizm — nic dotąd jego wiary nie zachwiało.

I po marcu specjalnie go nie szarpali. Może dlatego, że szary z niego obywatel, magazynier w tutejszej spółdzielni krawieckiej, szeregowy partyjniak, nikogo nie kłął w oczy. Tyle że za magazyniera był i jeden krawiec, niejaki Walczak chciał go z tego stanowiska wygryźć. Ale Walczak to pijaczyna i ciemniak. Nie umiał sposobem, a walił wprost. — No, przecież to Żydek, towarzysze, trza go buch!!! — wymowny ruch ręką — ... Ja za niego mogę. Dam sobie radę, jak Boga kocham!! — Tym działaniem wprost od razu się wyłożył. Tylko śmiech z niego. I tak Jakubek, jak go nazywali ludzie, uchował się szczęśliwie. A czystka duża i dokładna wtedy szła. Zwolnili dyrektora szpitala w tym miasteczku, dwóch instruktorów z powiatówki też wywalili, i tak dalej, i tak dalej. Wiadomej mniejszości dużo tu było. Zaraz po wojnie dość liczną grupą ze wschodu przybyli i tak dotąd siedzieli. Bóźniczka nawet była i rebe, śmieszny, brodaty. Rebe go wytarmosili raz w parku jacyś chuligani. Jakubka jednak nie ruszali. No, tyle, że uśmieški, spojrzenia. Bo wygląd rzucający się w oczy raczej posiada. Zdarzały się też głupie pytania.

— A pan, panie Meizer, nie szykujesz się w daleką podróż? — pyta sąsiad. Wtedy już wiadoma mniejszość z tego śląskiego miasteczka masowo zaczęła wyjeżdżać. Tylko ten rebe brodaty odgrażał się, że zostanie. Tak chodził wieczorami, coś mamrotał i wymachiwał rękoma, a dzieciaki przedrzeźniały go z ukrycia. Na takie pytanie Jakub Meizer tylko wzruszył ramionami. Albo siedzi kiedyś z krawcami ze spółdzielni przy kielichu i oni gadają. — No, wzięli się za naszych, szczypią ich za pejsy... — Spojrzeli na Meizera, ocknęli się i trochę im wstyd. A Jakubek spokojnie: — Mówcie dalej, mówcie...

Taki niepozorny, poważny, prawie nie śmiał się nigdy (może to z przeżyć: pierwszą żonę i dzieciaka na oczach mu w gettice rozwalili), milczek właściwie.

Raz coś go ruszyło i wybrał się poodwiedzać swoich w miasteczku. Ale mało kogo już zastał. Powyjeżdżali. A inni już na walizkach siedzą. Zastał jeszcze Abrama Lublinera, powroźniczego mistrza, rówieśnika i znajomka sprzed wojny. Też na walizkach.

— Wyjeżdżasz? — zapytał Jakubek.

— A co! — odparł powroźnik. Popatrzył z naganą na Jakubka i dodał — Ty komunistyczna zakuta pało!!

Jakub Meizer westchnął ciężko:

— Dlaczego obrażasz? — powiedział po długiej chwili.

Pozegnali się jednak bez złości, nawet wycelowali się z dubeltówki.

Aż przyszedł taki czas, że prawie nikogo z wiadomej mniejszości nie pozostało i żona Jakuba wieczorami powtarzała monotonnym, śpiewnym głosem: — Wszyscy już powyjeżdżali. Sami jak na pustyni zostaniemy. I potem gwiazdy nam przyczepią, zamkną gdzieś. — Miała zaszcute, błędne oczy.

Ona z powodu wojennych przeżyć trochę słaba na głowę.

Czasem podbiegała do niego, chwytając za ręce i mówiła czule: — Nu Jakubek, nu!!! — A czasem wyklinała go straszliwie, miotała z oczu błyskawice i syczała: — Jeszcze z twoim wyglądem! Z tym nochałem! Z tymi kudłami! — Podbiegała do lustra. — Bo ja to przetrzymam — wskazywała triumfująco odbicie swojej twarzy w lustrze.

Była pyzata, o włosach blond i prostych, tylko oczy wielkie wyłupiaste, w sumie nie w typie jednak.

Śluchał Jakubek i milczał. Czasem popijał, ale powściągliwie, ćwiartkę na wieczór, nie więcej.

Aż Jakub Meizer też się zdecydował. Wziął zwolnienie z roboty, nałożył czarny garnitur i pojechał z roześmianą żoną do Warszawy odpowiednio papiery wypełnić i podpisać. Po powrocie zabrał się rażno do pakowania. Sam zbijał skrzynie na meble, mościł trocinami kosze z zastawą stołową, a jego żona wietrzyła

i trzepała ubrania wyśpiewując wesołe śpiewki w ichnim języku czyli w jidisz. I gdy mieszkanie wyglądało jak opustoszały biwak, Jakubek znów nałożył czarne ubranie i wybrał się do partyjnego komitetu w miasteczku. Sekretarz przyjął go nad wyraz serdecznie. Krzesło podsuwa, papierosami częstuje. Ale Jakubek nie chciał siadać, a papierosów nie palił.

— Ja tylko na chwilę — powiedział.

— Co takiego, towarzyszu? — pyta sekretarz i uśmiecha się jeszcze życzliwiej.

— Ja w sprawie partyjnego przeniesienia — powiedział Jakubek.

— Zmieniacie robotę — zdziwił się sekretarz. — Złe wam w spółdzielni?

Jakubek pokręcił przecząco głową.

— Wyjeżdżam.

— Gdzie? — zdziwił się znów sekretarz.

— Znaczy się do siebie — powiedział powoli Jakubek. — I przeniesienie partyjne potrzebuję.

— Co?! — wykrztusił sekretarz i tak już pozostał z rozchylonymi ustami.

— Przeniesienia partyjnego potrzebuję — powtórzył Jakubek. — Znaczy do partii bratniej, komunistycznej w Izraelu — dodał wyjaśniająco, widząc głupawą minę sekretarza.

Opamiętał się wreszcie sekretarz i podniósł zza biurka.

— Co wy tu!! żarty sobie!!... — zaczął groźnie.

Ale Jakubek przerwał mu niecierpliwie.

— No to kiedy po te przeniesienie mam przyjść, znaczy papier odpowiedni z pieczęcią... Bo czasu mało.

Sekretarza opuściła złość i wróciło poprzednie zadziwienie.

— Powiadomię was o tym — wybąkał po długiej pauzie.

I sprawa jest dalej otwarta. Przekazał sekretarz do komitetu powiatowego, powiatówka do wojewódzkiego, z wojewódzkiego chyba jeszcze wyżej poszło.

Jakub Meizer niedługo wyjeżdża. Cały swój dobytek w skrzyniach trzyma, a resztę wyprzedaje za psie pieniądze.

Legitymacji partyjnej jeszcze nie oddał.

— I nie oddam — powiedział krawcom ze spółdzielni przy pożegnalnym kielichu — ...bo z bratniej partii do bratniej przechodzę.

I nie wiadomo czy Jakub Meizer żartował z nich czy myślał poważnie.

Seweryn KWARC

THE FREE PRESS

is pleased to announce
the first anthologies in English
from *Kultura*

Explorations in Freedom and

Kultura Essays

Edited by LEOPOLD TYRMAND

"*Kultura* began with a man and an idea: the man was Jerzy Giedroyc, a Polish publisher and editor, and the idea, in 1947, was a revisionist approach to the problems of eastern Europe.

Kultura is a social movement of some importance. Recent events in eastern Europe (even tragic events) can be seen as supportive of *Kultura's* position. Whether the association is coincidental does not really matter."

—from the *Foreword* by Paul F. Wheeler,
Professor and Associate Dean,
College of Arts and Sciences,
The State University of New York at Albany

Explorations in Freedom

Prose, Narrative, and Poetry from *Kultura*

CONTENTS

FOREWORD BY PAUL F. WHEELER. PREFACE. JOZEF WITTLIN: The Splendor and the Squalor of Exile. STANISLAW VINCENZ: A Rarity. KAZIMIERZ WIERZYNSKI: The Gardeners. The Roof and the Walls. By the River Housatonic. There Is No Such Thing. GUSTAW HERLING-GRUDZINSKI: The Bridge: A Chronicle of Our City. WITOLD GOMBROWICZ: Diaries. ALICJA IWANSKA: Fragment: Mbayo, July, 1963. WACLAW IWANIUK: I Fear Continually that the Premature Night. Apres le Deluge. Who Calls What a Poem. ANDRZEJ BOBKOWSKI: From the Diary of a Model Airplane Maker. ZYGMUNT HAUPT: Lili Marlene. JOZEF LOBODOWSKI: I Was Not Born for Battle. Horses in War. CZESLAW MILOSZ: Magdalena: From the Valley of the Issa. Brognart: A Shotglass Story. Two Poems. JOZEF CZAPSKI: Cedar. ALEKSANDER REMIZOV: The Rat's Portion. In Bondage. I. IVANOV: Foreword to "Does Life Exist on Mars?". ANDREY SINYAVSKI: Thoughts Taken Unawares. YURI DANIEL: Hands. ILYA ZVEREV: Sedov for the Defense. IOSIF BRODSKY: A Prophecy. Two Hours Down by the Reservoir. LEO LIPSKI: Day and Night. JOZEF MACKIEWICZ: Contra. ADAM CZERNIAWSKI: View of Delft. Fragment. TADEUSZ NOWAKOWSKI: The Liberty Picnic. ISTVAN ORKENY: A Prayer. BOGDAN CZAYKOWSKI: Age de La Pierre. PIOTR GUZY: The Short Life of a Positive Hero. TOMASZ STALINSKI: The Funeral. LEOPOLD TYRMAND: The Cocktail Party.

“My principal task was to choose appropriate texts. My general approach was based on three premises:

Eastern Europe, including Russia, today presents a boiling kettle of ideas. The shapelessness and immediacy of many of them, and their dialectical complexity, often molded on the spur of the moment by political situations, appear confusing to Western observers. From the lack of understanding and routine superficiality of press reports, biased and fallacious conclusions are drawn. I have tried to permit the most competent, involved, and committed spokesmen to comment on ideas and facts which are so frequently misinterpreted. My hope remains that these anthologies, as conceived and completed, will clarify and create a truer image of issues and events in an area which, incontestably, bears a good deal of responsibility for mankind's future.

Kultura is distinguished by a significant trait of ecumenism. It is difficult to subordinate narrow, national priorities to more general ends within a geographical heritage where ethnic diversities and animosities have made history. Yet, in keeping with the tradition of Polish universalism, Kultura has attempted to overcome the hardships of eastern European particularism and build an awareness of a common destiny and vital interests. Its fundamental political postulate is a commonwealth of nations which have entered the road to socialism but must free themselves from the oppressive totalitarianism of the present Communist state. I consider it especially important to convey this.

Finally, this anthology should produce testimony of the Polish and Eastern European involvement in the crucial problems of our epoch. They should determine the notion of totalitarian communism and its trend toward the ruthless extinction of human and humanistic values, not only as an endemic eastern European issue, but as a universal condition of our time. The literary part of the anthology should also reflect the artistic skills of several writers whose spirit of innovation is jeopardized both by their situation as exiles without a vast audience and by the language barrier.”

—from the *Preface* by Leopold Tyrmand

Kultura Essays

CONTENTS

FOREWORD BY PAUL F. WHEELER. PREFACE. PAWEŁ HOSTOWIEC: On Reading Thucydides. Present-Day Humanistic Studies. ALEKSANDER HERTZ: Notes of Ideology: End or Crisis? VLASTA SLIKOVA: Czechoslovak Observations. ANDRZEJ STAWAR: Last Writings. ALEKSANDER WAT: The Death of an Old Bolshevik: Reminiscences About Steklov. BOGUSŁAW MIEDZINSKI: The Road to Moscow. ZBIGNIEW A. JORDAN: Marxist Revisionism In Poland: Its Background, Sources, and Main Tendencies. GEORGE GOMORI: From the Diary of an Eye-Witness: Notes on the Hungarian Revolution of 1956. GUSTAW HERLING-GRUDZINSKI: The Seven Deaths of Maksim Gorky. Under Conrad's Eyes. Yegor and Ivan Denisovich. JURIJ LAWRYNENKO: The Literature of Borderline Situations. KONSTANTY A. JELENSKI: Some Contradictions in Modern Art. JOZEF CZAPSKI: How Can One Not Cry Out? GEORGE J. FLEMING: Making a Living In Poland: How To Make Money (Without Too Much Work and As Legally as Possible). JULIUSZ MIEROSZEWSKI: The Political Thought of Kultura.

Just published 368 pages \$9.95

ORDERS MAY BE SENT TO:

Collier-Macmillan Distribution Center
Front and Brown Streets
Riverside, New Jersey 08075

Collier-Macmillan Canada, Limited
539 Collier-Macmillan Drive
Galt, Ontario, Canada

Collier-Macmillan Limited
10 South Audley Street
London W1, England

Filip ISTNER

W NAZARECIE

Jerzemu S. i wszystkim przyjaciółom w Polsce

*Gdzie się znalazłem (zgubiłem) — gdzie?
W Nazarecie?
Za jakie winy przodków,
Niesie mnie tak po świecie.
W stronę Twojego krzyża?
W stronę mojego krzyża?
Dlaczego wśród czerwonych kwiatów Galilei,
Roku Pańskiego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego
Szukam śladu rzymskich podków,
Na własnym ciele?
Dlaczego gwoździe Jego krzyża
Ostrzone w Polsce,
Przybiły mnie do kruszejacej skały
W Dolinie Izraela.*

Nazaret, 23. IV. 1969

DLACZEGO?

Czesławowi Miłoszowi

*Siadam do pisania z rozpaczą. Ujmuję ołówek z rozpaczą.
Wiem, że nie zdążę powiedzieć — co wiem — jak wiem — ile
Bo nie mam słów, ani miary dla ich doboru, [wiem,*

THE FREE PRESS A DIVISION OF THE MACMILLAN COMPANY

866 Third Avenue

New York, New York 10022

Biorę myśli „jak leca” i nie wiem w jaką treść się ułożą
 Znawcom, koneserom i degustatorom. Jaką treść im ujawnią,
 Jeśli szczęśliwy przypadek rzuci butelkę do ich stóp,
 Jeżeli ją zechcą dostrzec, odkorkować i przeczytać zwitek.
 Niech się nie dziwią, że nie ma nic o Miłości Człowieka,
 O rzeczach wzniosłych i wzruszających, tak mile
 Pobudzających serca bicie. Pragnę już tylko pojąć poprzez granicę,
 Kim jesteś ty i kim jestem ja. Czy jedna jest dla nas miara i los.
 Chcę wiedzieć czy tak samo jak ja drżąc ze strachu nie chcesz
 Bać się śmierci i czekać na nią z zawiązanymi oczami.
 Czy tak samo jak ja pragniesz, nim być przestaniesz,
 Wykrzyczeć, że wiesz, choć nie pojmujesz jak głęboki jest bezmiar
 Nicości. Ze wiesz: Tylko ona jedynie jest w życiu ważna
 Naprawdę i ona jedynie się liczy. Wszystko inne to tylko
 Funkcja materii — powiadają — ożywionej, lecz siebie nie-
 Nie gruntującej nonsensu własnego istnienia. [pojmującej,
 Chcę pojąć dlaczego piszę na chwilę przed końcem —
 — (A zawsze do końca zostaje nam tylko chwila) —
 Pragnę pojąć dlaczego wciąż jeszcze żyję,
 Chociaż wiem, że nie ma to sensu,
 Skoro istnieje możliwość w sposób jedynie ludzki —
 Sprzeciwić się rutynie — Nie wiem czy przekracza się kiedyś
 Jakieś granice pomiędzy bytem, a nie-bytem,
 Jak niepojęta jest dla mnie granica między poezją a prozą.
 Nie wiem również czy odcędzony zamysł i przedestylowane słowa
 Mają sens większy niż spontaniczność i improwizacja.
 Nie wiem na czym polega poezja jednająca z życiem.
 Nie jest dla mnie „skokiem barbarzyńcy, który poznał Boga”
 Bóg został nieznan. Bez oblicza — jest pustką otchłani,
 Zapelnianej przez nas byle słowem. (I pozostał Słowem).
 Idąc od Dada do współczesnej abstrakcji obmacuję pustkę,
 I szukając poezji — dla przymierza z życiem — odnajdę tylko
 Skurcz serca bolesny. I ten smutek, że życie — również ludzkie,
 Tak niewiele znaczy. To jest może poezja. — I jeszcze
 Może to czekanie na sens, w niedzielne popołudnie, z wiarą,
 Ze jednak coś się zdarzy. — I ta twarz dziewczyny, gdy pociąg
 Przed laty trzydziestu minął syberyjską stację,
 (Dziś słyszę ten łoskot miazdzący nadzieję)
 Może jeszcze świadomość, że nigdy nie jestem w domu
 I że zawsze przegrywa moja flotyła.
 Może ta naiwna nadzieja na słowa spełnienie. Żalosa i śmieszna.
 Każde zamierzenie z góry nieudane, każde marzenie chybione.
 Nie jest poezją twarzą świadomości ograniczenia nieuchronnego.
 Jest prozaizmem jak zgrzyt wiedza o wielkim kłamstwie
 Kłamią wiersze i gwiazdy, niebo nam kłamię, i dźwięki,

I ludzka wiedza. Najbardziej zaś kłamią myśli i słowa —
 Więc dlaczego z rozpaczą usiłuję raz jeszcze powiedzieć
 Wszystko.
 Wszystko, co jest tylko bełkotem i niemowlęcym gaworzeniem?
 Dlaczego?

Filip ISTNER

Danuta Irena BIENKOWSKA

W DWÓCH SŁOWACH

Czerwieni się wiatr i dymi.
 Czy to tylko pożar oczu?

Pocałunek chmur
 Spływa na mnie ciepłym deszczem.
 Czemu nie mogę się napić?

Jeszcze trawy się zielenią.
 Jeszcze serce bije i zegar.
 Czy naprawdę musisz już odejść?

Szukałam stopą gruntu.
 Szukałam rękoma dna.
 W wielkiej przestrzeni spadałam.
 Gdzie się kończy przestrzeń?

Chciałam jedną kreską przebić niebo.
 Ale chmury spadły mi na czoło.
 Ale pióra spadły mi na serce.
 Wszystkie ptaki odleciały.
 Dokąd?

Jestem — tu
 Jesteś tam.
 Nie ma mostów
 Ani znaków równania.
 Tylko czerwone lilie
 wielokropków...

Dziękujmy Bogu za spokój
 Świecę przed ołtarzem i kurz.
 Życie można zdmuchnąć, jak świecę.
 Pozostanie w wieczności kurz.

A kiedy ci już obrzydne
 Weź gałązkę palmy i posadź.
 Palma rodzi owoce.
 Nic nie ginie bez śladu.
 Ani ty, ani ja, ani liść.

Słowa — muchy w oknie
 Zasypiają brzęcząc.
 Białe milczenie mrozu
 Jest dla nas odpowiedzią.
 Nie będziemy więcej pytać.

Gdy mi będzie zimno,
 Nie mów mi o istnieniu.
 Daj mi mleka.

Nie ma specjalnych nocy
 Ani specjalnych dni.
 Życie bije wiatrem w okna.
 Martwe dni z kalendarza
 Opadają, jak liść.

Istnienie — dwie kromki chleba.
 I okruchy w ptasich dziobach.
 Może będę chlebem,
 Może będę ptakiem,
 Może będę tylko snem?

Bo już się zmęczyłam zmęczeniem,
 Wymarzyły się marzenia,
 Wyśnił sen
 I tylko pies czuwa na mym progu.
 Czy tu przyjdzie człowiek, czy duch?

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

St. Jerzy LEC

CI, KTÓRZY JEDLI...

Ci, którzy jedli ludzkie mięso
 z własnego biorąc je uboju,
 niech nie udają niepokoju,
 że nie pojmują „dziejów sensu”.
 Na brodzie mają resztki kęsów
 i tylko o nie tak się boją,
 im się jedynie portki trzęsą,
 są wczorajszego bowiem kroju.
 Niech nie udaje ludożerca,
 że stał się już przez noc jarošem,
 wiemy, że lubił bitki z serca,
 miał galaretki z dusz pod kłosem
 po mózg się nam pod czaszki wwiercał
 i naszej krwi on był bibošem.

St. Jerzy LEC

Listopad 1956

Wiersz niedrukowany

Obserwatorium

Proces 5-ciu młodych intelektualistów

W *Trybunie Ludu* dn. 10 lutego br. ukazał się następujący komunikat:

„W poniedziałek przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy rozpoczął się proces grupy oskarżonych o prowadzenie działalności dywersyjnej wymierzonej przeciwko Polsce i jej ustrojowi. Na ławie oskarżonych zasiadli: Maciej Kozłowski, Maria Tworowska, Krzysztof Szymborski, Jakub Karpiński i Małgorzata Szpakowska.

W pierwszym dniu procesu odczytany został akt oskarżenia...

Kilkudziesięciostronicowy akt oskarżenia zawiera na wstępie szeroko zakreślone tło działalności Instytutu Literackiego „Kultura” w Paryżu, mającej na celu gromadzenie, przetwarzanie i kolportowanie wrogich naszemu krajowi publikacji i organizowanie dywersyjnej działalności przeciwko Polsce i socjalizmowi. W działalności tej czynny udział brali oskarżeni. Akt oskarżenia zarzuca im m.in. zbieranie, opracowywanie oraz przekazywanie wrogiemu ośrodkowi materiałów i informacji o treści szkalującej nasz naród, ustrój i władzę PRL. Materiały te przekazane nielegalnie za granicę ukazywały się w wydawnictwach „Kultura” w Paryżu. Oskarżeni zajmowali się również przemytem tych materiałów do kraju i kolportażem.

Akt oskarżenia formułuje również zarzut podjęcia działalności organizacyjnej w celu prowadzenia określonych czynności wywiadowczo-dywersyjnych...”

Od tegoż dnia rozpoczęła się kampania w prasie, radiu i telewizji oparta na mieszaninie niewybrednych i prymitywnych kłamstw, prowokacji. W tej powodzi utonęła jakakolwiek obiektywna informacja o toczącym się procesie i zeznaniach oskarżonych. W tym nowym przykładzie bandytyzmu politycznego jeden cel jest jasny: chęć zlikwidowania za wszelką cenę *Kultury*, która w tym procesie jest właściwie głównym oskarżonym. W chwili oddawania obecnemu numeru *Kultury* do druku proces trwa. Uniemożliwia to nam zajęcie stanowiska. Będziemy mogli to zrobić dopiero po jego zamknięciu. Ograniczamy się więc jedynie do przypomnienia Czytelnikom naszego oświadczenia wydrukowanego w *Kulturze* w październiku ub. roku pt. „Aresztowani”, oraz do ogłoszenia poniżej listu prof. Z. Bauman i fragmentów informacji z *Le Monde* i z Agence France Presse (której korespondent był jedynym dziennikarzem zachodnim dopuszczonym na salę obrad).

(*Le Monde*, 5 lutego 1970)

„Na marginesie tych rokowań (idzie o rokowania polsko-francuskie) Polacy wydawali się zaniepokojeni działalnością prowadzoną we Francji przez pewne koła emigracyjne. Idzie przede wszystkim o wydawnictwa *Kultury*.

Zbiegiem okoliczności zresztą proces pięciu młodych intelektualistów rozpoczyna się w czwartek w stolicy Polski; na tym procesie głównym oskarżonym będzie właśnie *Kultura*, która jest — jeśli wierzyć władzom tego kraju — centrum dywersji i szpiegostwa skierowanego przeciw Polsce. Od tego, do powiedzenia Francuzom by zlikwidowali tego rodzaju działalność był tylko jeden krok... W rzeczywistości znaczenie przywiązywane do *Kultury* wydaje się przyznaniem się do słabości którą trudno zrozumieć. Wydawnictwa tego Domu Wydawniczego są w Polsce zakazane i są czytane jedynie przez niektóre grupy intelektualistów”

(*Le Monde*, 7 lutego 1970)

„... Są oni oskarżeni o nielegalny kolportaż periodyków emigrantów polskich w Paryżu *Kultury* oraz „Manifestu 2000 słów”, ogłoszonego w Pradze, w czerwcu 1968 r., które przerzucali do Polski przez Tatry na granicy polsko-czechosłowackiej. Niektórzy z nich byli rzeczywiste członkami Klubu studenckiego alpinistów czy Klubu Speleologicznego stąd powstało określenie „Proces taterników”. Pierwszym dowodem oskarżenia był numer specjalny *Kultury*, poświęcony zamieszkom studenckim w Warszawie i w innych miastach w marcu 1968 r.

Okolo 50 osób zostało aresztowanych w związku z ujawnieniem tych dwóch spraw. Niektórzy z zatrzymanych zostali ostatecznie zwolnieni. Inni znajdują się nadal w więzieniu, co pozwala przypuszczać, że jeden czy szereg procesów może nastąpić po zakończeniu tego który rozpoczyna się w najbliższy poniedziałek. Wiadomo jest ponadto że Polacy domagali się w czasie rokowań francusko-polskich 2 i 3 lutego by władze francuskie ograniczyły działalność niektórych emigrantów, skupiających się wokół *Kultury*, wydawanej w Maisons-Laffitte”.

(*Le Monde*, 10 lutego 1970)

„Nie przesądzając wyników procesu wydaje się, że tu (w Warszawie) trudno ustalić różnicę między zbieraniem informacji przeznaczonych dla dyskusji ideologicznej i politycznej, a tym co zwykło się uważać za zwyczajne szpiegostwo.

Wydaje się pozornie dziwne, że proces rozpoczyna się w momencie kiedy Polska stara się poprawić swe stosunki z Zachodem. Jest to jednak najbardziej jasne: im te stosunki są lepsze, tym większa jest obawa przed infiltracją ideologiczną imperialistów, i tym bardziej trzeba wewnątrz kraju prowadzić twardą politykę. Świadczy to niewątpliwie, że nie ma się zaufania ani do opinii społeczeństwa ani do szans propagandy oficjalnej w szerokiej konfrontacji idei i poglądów...”

(Agence France Presse)

„Według pisma *Rude Pravo* z Pragi, oskarżeni byli w kontakcie z różnymi osobistościami w Czechosłowacji, które im dostarczały informacji o sytuacji politycznej. Transportowali również nielegalnie przez terytorium Czechosłowacji dokumenty ogłaszane przez Instytut działający we Francji. „Oskarżeni nie mogli tego robić bez pomocy niektórych obywateli czechosłowackich” — zapewnia pismo. *Rude Pravo* stwierdza w konkluzji, że 12 obywateli czeskich będzie figurować wśród świadków w procesie warszawskim.

W Warszawie, w kuliarach gmachu sądu, mówiono w środę, że mają nastąpić dalsze procesy. Okolo 10 innych intelektualistów będzie aresztowanych z tych samych powodów. Jeden z tych procesów ma się odbyć w Krakowie”.

(*Le Monde*, 11 lutego 1970)

„... Główny oskarżony, M. Kozłowski, broni się odważnie i z przekonaniem. Przyznając się do większości faktów zarzucanych mu twierdzi, że nie są one godne potępienia i że wytacza mu się *procès d'opinion*. Neguje jakąkolwiek łączność między *Kulturą* a wywiadem amerykańskim. M. Kozłowski oświadcza, że był pod wrażeniem „wiosny praskiej” i starał się stworzyć analogiczny ruch w Polsce. Czterokrotnie jeździł z Paryża do Czechosłowacji, w 1968 i 1969 r., i był dwukrotnie w tajemnicy w Polsce”.

(Agence France Presse, 14 luty 1970)

„(Krzysztof Szymborski) oświadczył w czwartek, że zaburzenia studenckie w marcu 68 przekonały go o konieczności konkretnego zaangażowania się politycznie... „Urodzeni w socjalizmie akceptujemy jego ideały” — powiedział. — „Nie chcieliśmy budować barykad. Nie chcieliśmy zmieniać ustroju. Chcieliśmy jedynie mieć coś do powiedzenia i brać udział w rozwoju Polski Ludowej. Niemożność jednak dialogu z władzą zmusiła nas do opozycji i do działalności podziemnej”. Szymborski i jego przyjaciele myśleli najpierw o wydawaniu w Warszawie nielegalnego pisma i napisaniu książki o wydarzeniach. Projektów tych nie mogli zrealizować. Wobec niemożności działania w Polsce „kontestatorzy” zainteresowali się miesięcznikiem *Kultura*, która — jak przypuszczali — mogłaby się stać platformą dla propagowania ich ideałów.

LA PRESSE ET LA RADIO CACHENT LES ARGUMENTS DES UNIVERSITAIRES JUGES A VARSOVIE

„...Sprawozdania sądowe, zamieszczane w prasie polskiej, pozwalają niewątpliwie zorientować się w akcie oskarżenia, ale w żadnym wypadku nie w argumentach wysuwanych przez oskarżonych... Proces ten osiągnął już cel nieprzewidziany: pozwolił zapoznać się z pismem wydawanym w Paryżu przez emigrantów, które do tej pory — poza środowiskiem intelektualistów było kompletnie nieznanie...”

(Le Monde, 15/16 luty 1970)

„Jakub Karpiński... odmówił odpowiedzi na zapytania oskarżenia i obrony. Ograniczył się do oświadczenia, że akt oskarżenia nie dowiódł jego winy i że informacje, które rozpowszechniał, były prawdziwe i że nigdy nie próbował przekazać ich zagranicę.

Małgorzata Szpakowska oświadczyła, że przed 1968 rokiem nigdy nie mieszała się do polityki, lecz że po rewolcie studentów nie mogła nadal zachować „postawy passywnej”. Osobiście jedynie spisała swoje własne refleksje i dała je swoim przyjaciółom, nie namawiając nikogo, aby był tego samego zdania co i ona”.

(Agence France Presse, 17 luty 1970)

Tel-Aviv, 9 lutego 1970.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Na marginesie insynuacji prasy warszawskiej wokół procesu Macieja Kozłowskiego i towarzyszy, pragnę oświadczyć, co następuje:

Jakże lżą i spotwarzają naród polski ci którzy sugerują, iż trzeba było syjonistycznego importu, aby włożyć w usta Polaków hasło wolności. Jakże pogardzać oni muszą narodem, jeśli w swój wymysł wierzą. Jakże muszą być cyniczni, jeśli w niego nie wierząc, posługują się nim gwoli własnych klikowych interesów, nie bacząc na krzywdę moralną, jaką swymi supozycjami narodowi wyrządzają.

Walka o wolność, walka o socjalizm o ludzkim obliczu, jest i będzie walką polską, z polskich zrodzoną cierpień i przyszłość narodu polskiego mającą za swój cel jedyny. Jeśli jest w niej coś z importu, to jedynie ta przemoc pancerna, która przed rokiem zdławiła zryw wolnościowy Czechów i Słowaków, a na której teraz wspierają swą butą i pewność siebie organizatorzy warszawskich procesów.

Im wątpljsza więc rządów z rządzonym przez nich narodem, tym większa rola prowokacji w metodzie ich władzy. Pułapką na naiwnych było zapro-

szenie do zgłaszania się — na fikcyjny adres wiedeński — chętnych do otrzymania pięciu tysięcy dolarów w zamian za imigrację do Izraela. Prowokacją było ogłoszenie o „wymówieniu obywatelstwa z trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia”. Na jakich to naiwnych zastawiają dziś pułapkę organizatorzy warszawskiego procesu? Czy tym razem ma w nią wpaść naród? Czy ma on uwierzyć, że jego wolność jest hasłem z importu, i że trzeba było obcego spisku i wrogich agentur, by postulować humanizację socjalizmu i zaprotutować przeciw władzy pałki i donosu?

Z głębokim poważaniem,

Prof. Zygmunt BAUMAN
Uniwersytet Tel-Awiński

Maszyna na złom

Sartre. Przedmowa Sartre'a do wydanego w Paryżu, w opracowaniu Antonina Liehma, sympozjonu czechosłowackiego *Trois Générations* wywołała na całym świecie ogromne wrażenie. Spokojnie i cierpko pokwitował ją Raymond Aron w rozmowie z wysłannikiem włoskiej *La Stampa*: „Od dwudziestu czy dwudziestu pięciu lat Sartre formułuje co chwila nową teorię generalną, zapominając regularnie o swoich teoriach generalnych sformułowanych z takim samym przekonaniem poprzednio. Jego świeży tekst o komunizmie sowieckim jest dobry: wszystko to jednak powiedział już inni piętnaście lat temu. Jeśli (jak twierdzi Sartre) doświadczenie czechosłowackie polegało na odmowie przyjęcia sowieckiego modelu socjalizmu, to wypada przypomnieć że ten model zapanował w Czechosłowacji w roku 1948 i srożył się tam w latach 1948-1967, niezauważany jakoś wówczas przez Sartre'a. Jasnowidzący dziś Sartre zużywał wtedy hałdy papieru i tony atramentu, żeby usprawiedliwić socjalizm sowiecki. Teraz ma czelność krytykować to co przez dwadzieścia lat usprawiedliwiał, nie zaczynając od początku czyli od samokrytyki. Co jest rzeczywiście nieznośne dla posiadających poczucie prawdy, to że człowiek w rodzaju Sartre'a pozwala sobie krytykować wszystko z wyjątkiem własnych błędów”.

Aron ma naturalnie słuszość. Ale problem Sartre'a jest czymś więcej niż tylko indywidualnym przypadkiem filozofa, produkującego beztrudnie na Zachodzie z króliczą płodnością ciągle nowe „teorie generalne”. Przedmowę Sartre'a do sympozjonu czechosłowackiego można także odczytać jako spóźniony i spektakularny (z uwagi na osobę autora) epilog historii, która rozegrała się w obu częściach podzielonej Europy. „Liem” — pisze Sartre — odmalował bardzo dobrze skrajną i historyczną pokusę, logiczny kres całego procesu (stalinowskiej alienacji intelektualistów zaangażowanych po stronie socjalizmu sowieckiego — przyp. mój): upaść na kolana by uwierzyć i zastąpić inteligencję wiarą, *credo*

quia absurdum. Co oznacza że pod panowaniem zfetyszyzowanej produkcji każdy człowiek realny widzi samego siebie, w swoim zwykłym życiu codziennym, jako przeskodę w budowie socjalizmu i że przed zbrodnią własnego istnienia może uciec jedynie unicestwiając się". Krzykiem buntu realnego człowieka przeciw wierze unicestwiającej inteligencję jest obecne *j'accuse* Sartre'a, w każdym razie tak zostało przez filozofa francuskiego pomyślane.

Należy znakomitego pogromcę fideizmów religijnych wziąć w obronę przed nim samym. Fanatyzm Sartre'a nie był owocem dziewiczo czystego *credo quia absurdum*, miał swoją racjonalizację w ramach najszkodliwszej i najgłupszej z jego licznych „teorii generalnych”. Jego mózg działał dość sprawnie podczas formułowania takiego prawa w *Critique de la raison dialectique*: „Doświadczenie historyczne krajów, w których komuniści zdobyli władzę, wykazało niezbicie że pierwsza faza budowy społeczeństwa socjalistycznego nie może być niczym innym jak tylko nierozwalnym agregatem biurokracji, terroru i kultu jednostki”. Rzecz w tym, że to dialektyczne prawo zakładało drugą fazę samoczynnego rozpadu „agregatu” w zbudowanym nareszcie społeczeństwie socjalistycznym. Sartre oczekiwał jej długo, tracąc co prawda niekiedy przelotnie cierpliwość (Węgry 1956). Druga faza nie nadchodziła. Zdawała się wykluwać w Polsce, powitana numerem specjalnym *Les Temps Modernes* z nagłówkiem *Le socialisme polonais*; żyła krótko i zgasła pod naporem pierwszej fazy w pełnej recydywie. Gdy pojawiła się w końcu na serio w Czechosłowacji i ledwie okrzepnięta znalazła się w obliczu bratnich czołgów socjalistycznych, Sartre stracił ostatecznie cierpliwość. Podobnie jak Conquest w *The Great Terror*, zadaje sobie teraz pytanie czy nieuchronny „agregat” wstępny jest w ogóle zdolny do uznania kiedykolwiek z własnej woli swojej misji historycznej za skończoną. I odpowiada: „Trzeba zatem winić sam ustrój... Po sierpniu 1968 roku trzeba zejść z płaszczyzny moralizmu i porzucić złudzenie reformistyczne. Maszyna nie może już być naprawiona, narody muszą ją uchwycić i wyrzucić na śmietnik”. Kiedyś, robiąc aluzję do Paul Nizana, Sartre zauważył że „komunista samotny jest zgubiony”. Było to przeszczepienie zasady *nulla salus extra Ecclesiam* na grunt komunizmu obojętnej sowieckiej. Zasada ukryta w przedmowie do sympozjonu Liehma, i w samym sympozjonie, brzmi: *Nulla salus in Ecclesia*.

Bieńkowski. Sartre zdobył się więc na podsumowanie pozycji rachunku. Czego nie da się powiedzieć o *Motorach i hamulcach socjalizmu* Bieńkowskiego. Przynajmniej w tekście jaki posiadał, przeznaczonym do druku w kraju czyli skierowanym do ściśle określonego adresata w ściśle określonej sytuacji.

Także w świetnej analitycznej książce Bieńkowskiego mowa jest o dwóch fazach. „Dyktatura proletariatu nieuchronnie przekształca się z dyktatury politycznej w pierwszej fazie w dyktaturę policyjną w drugiej, w której aparat policyjny narzuca metody a w dużej mierze i kierunek działania aparatowi politycznemu.

Procesy prowadzące do tego są tak uporczywe, tak głęboko tkwią w samym mechanizmie tego aparatu, że — jak się okazało — nawet poważna zmiana metod, jaka nastąpiła po XX Zjeździe, wyłączenie najostrzejszych form terroru okresu stalinowskiego, nie zmieniła politycznej funkcji aparatu policyjnego”. W ujęciu Bieńkowskiego sartrowski „agregat” nie tylko nie ma tendencji do rozpadu w drugiej fazie (gdy znikają okoliczności nadzwyczajne wymagające stosowania środków nadzwyczajnych), lecz przeciwnie staje się coraz bardziej nierozwalny, podobny do skamieliny.

Słowo „petryfikacja” we wszelkich możliwych odmianach przemija się najczęściej na kartach książki Bieńkowskiego. „Petryfikacyjna dynamika form instytucjonalnych” zmierza do „samoutrwalać się”, nie pozostawiając żadnego już prawie luzu społecznego. „W atmosferze wewnętrznego zagrożenia — a w jej twórczym aparacie bezpieczeństwa od dawna się specjalizował — jedynym wyjściem dla grupy rządzącej jest poddać się kierunkowi przez ten aparat narzuconemu: tylko pod tym warunkiem mogą mieć złudzenie, że nim kierują”. Aparat policyjny natomiast „z całą premedytacją wznosi mur między władzą a społeczeństwem, mur nieufności z jednej i lęku z drugiej strony”. Naturalnie „trudno przecenić demoralizujące skutki społeczne tego stanu rzeczy, demoralizujące dla obydwu stron: rządzących i rządzonych”. Oto jak kamienieje „agregat”, który w drugiej fazie miał dobrowolnie zrezygnować z doraźnych prerogatyw stanu wyjątkowego. Można to wszystko opisać inaczej, słowami jego przyjaciela w Warszawie z jego listu wysłanego przez okazję po przeczytaniu *Motorów i hamulców socjalizmu*: „Nikt z nas — ani wy ani my — nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów naszej, jako narodu, tragedii. To nie katastrofizm we mnie kwiczą. Ludzie usychają, społeczeństwo usycha, zatacza się pijane z alkoholu, z głuchej rozpacz i z poczucia własnej nikczemności... Jesteśmy niby istoty wrzucone do monstrualnego akwarium, wypełnionego sztucznie spreparowanym specjalnym płynem, w którym — nie posługując się partyjnymi aparacikami do oddychania — zdycha się. Wszędzie dokoła ławice śniętych ryb”.

Gdzie zatem owe obiecane w tytule książki „motory socjalizmu”, skoro w gruncie rzeczy kataloguje i egzemplifikuje ona jedynie, z przenikliwością i znanstwem przedmiotu, same hamulce? Są dwa, jeden słabszy od drugiego: wskazania Lenina i inwokacja pod adresem władzy by stała się „kontrolerem samej siebie”, by sama zadbała o „homeostat” regulujący od wewnątrz jej własny mechanizm. Bieńkowski widzi wprawdzie „niezwykle trudności” takiego przedsięwzięcia, po macoszemu traktowanego dotychczas „nawet w skali laboratoryjnej”, ale nadal uważa je za wykonalne. Jego książka nie upoważnia do tego rodzaju nadziei. Jeżeli dowodzi ona czegośkolwiek, to przede wszystkim inercyjnego charakteru następujących po sobie kolejno faz dyktatury proletariatu, aż do ostatecznej „petryfikacji” i immobilizmu strzeżonego (z rękami na hamulcach) przez aparat policji. A Lenin? Nie ma potrzeby wdawać się w rozważania na ile stalinizm był prawo-

mocnym dziedzicem leninizmu. Wystarczy, z myślą o umacnianiu po śmierci Lenina maszynie socjalizmu, przypomnieć za Trockim okrzyk Krupskiej w roku 1926: „Gdyby Władimir Iljicz jeszcze żył, znajdowałby się w więzieniu!”. Prawdziwy hołd pamięci Lenina złożył Terc w *Lubimowie*, pokazując go wyjącego bezzilnie do księżycy.

Lepiej niż motto z Lenina pasuje do *Motorów i hamulców socjalizmu* motto z Machiavellego: „Nic bowiem nie jest w stanie przeszkodzić, aby dana forma przekształciła się w swoje przeciwieństwo, albowiem cnoty i wady mieszkają stale blisko siebie”. Machiavelli rozumiał funkcjonalną nieodwracalność pewnych procesów. Tocqueville twierdził że nie ma nic gorszego niż zły rząd, który stara się poprawić; w rządzonych małe wolności podsycają pragnienie większych wolności; w rządzących rośnie poczucie chwiejności. Do poczucia chwiejności książka Bieńkowskiego dorzuca poczucie permanentnego zagrożenia. Permanentnie zagrożeni nie są skłonni „kontrolować samych siebie” i nie lubią posługiwać się „wewnętrznymi homeostatami”.

Amalrik. Andrej Aleksiejewicz Amalrik urodził się w roku 1938. Jego ojciec był historykiem, on sam również studiował na wydziale historycznym Uniwersytetu Moskiewskiego, skąd usunięto go w roku 1963 za pracę o Normanach i Rusi Kijowskiej. Chwytał się różnych zajęć, napisał kilku sztuk. Jedną z nich przypłacił więzieniem i prawie trzyletnim zesłaniem na Syberię. Zwolniono go przedterminowo, po powrocie do Moskwy został zatrudniony w agencji prasowej *Nowosti*. Stracił posadę pod naciskiem KGB i obecnie (jak sam o sobie pisze) „w cierpliwym oczekiwaniu nowego uwięzienia zajmuje się uprawą ogórków i pomidorów”.

To „cierpliwe oczekiwanie nowego uwięzienia” związane jest z siedemdziesięciostonicową książeczką *Prosuszczestwujet li Sowietiskij Sojuz do 1984 goda?*, wydaną ostatnio w Amsterdamie przez Fundusz imienia Herzena. „Chcę podkreślić — powiada na wstępie Amalrik — że moja książeczka oparta jest nie na badaniach, lecz na obserwacjach i rozmyśleniach. Z tego punktu widzenia może się ona okazać pustą paplaniną, ale — w każdym razie dla zachodnich sowietologów — powinna być interesująca już choćby z tych względów, z jakich ichtiologów zainteresowałyby ryba która nagle przemówiła”. Dałby Bóg, żeby wśród zachodnich sowietologów było wielu przemawiających takim głosem jak ta cudowna sowiecka ryba.

Nie znaczy to bynajmniej, że wszystko co ma do powiedzenia Amalrik jest bezsporne. Rzadko jednak zdarza się czytać na siedemdziesięciu zaledwie stroniczkach wywód tak treściwy, inteligentny, trzeźwy i bystry.

Młody historyk sowiecki nie marnuje czasu na opukiwanie zaklinowanej maszyny socjalizmu, nie wierzy że można ją jeszcze odesłać do remontu. Odrzucając z punktu wszelkie rachuby na „samoczynną liberalizację” i „gradualistyczne autokorektury”,

używa stale słowa „reżym” dla oznaczenia tego co Sartre nazywa dziś pogardliwie *La Chose*, Rzeczą, a Bieńkowski produktem „petryfikacji”. Równocześnie nie neguje, że „rewolucja na szczycie (*wierchuszecznoj*)” w latach 1952-1957, podkopawszy monopol stworzony przez Stalina, obudziła szereg uśpionych dotąd impulsów w społeczeństwie; nie da się ich już cofnąć, mimo powrotu tego immobilizmu ustroju.

Ale słabością inteligencji (*Amalrik* określa ją także mianem „klasy średniej”) w ustroju totalitarnym jest jej „zrządniczenie”: mogłaby dzięki zmianom tylko zyskać, pragnie ich w głębi ducha, a przecież myśli o nich zarazem z instynktowną obawą, „patrzy na reżym jak na mniejsze zło w porównaniu z bolesnym procesem jego modyfikacji”. Temu „paradoksowi klasy średniej” towarzyszy „paradoks samego reżymu”, posiadającego całą władzę i nie wiedzącego co z nią robić, wyłącznie samozachowawczego w swoim kurczowym trzymaniu się władzy dla samej władzy. „Reżymowi nie w głowie ani restauracja stalinizmu, ani przesładowanie inteligencji, ani śpieszenie z bratnią pomocą tym którzy jej nie potrzebują. Chce on jedynie, żeby wszystko było po staremu: żeby szanowano autorytety, żeby milczała inteligencja, żeby nie podważano systemu niebezpiecznymi reformami. Reżym nie napada, lecz broni się. Jego dewiza: nie ruszajcie nas, a i my was nie ruszymy. Jego cel: niech wszystko będzie jak było. Najbardziej to bodaj ludzki cel jaki reżym postawił sobie w ciągu ostatniego półwiecza, ale jednocześnie najmniej atrakcyjny”.

Naprzeciw pasywnej „klasy średniej” pasywna elita biurokratyczna. Zresztą elita biurokratyczna nie ma powodu dążyć do żadnych zmian i w teorii może tak wytrwać bardzo długo, wywijając się od czasu do czasu z opresji nieznacznymi ustępstwami i równie nieznacznymi represjami. W tej quasi-stabilnej sytuacji zaczyna się uważać drobne ustępstwa za „reformy”, które krok po kroku doprowadzą do „humanizacji socjalizmu”, do „triumfu rozumu”. Kto na to liczy, nie zna po pierwsze historii, zwłaszcza historii Rosji; po drugie zaś zapomina, że drobne reformy doraźne mało znaczą, jeśli nie wyrastają z organicznego i na szeroką skalę zakrojonego planu; są wtedy po prostu dorywczym „zatykaniem dziur”. Aktualny proces „zwiększania stopnia wolności” należy więc raczej uznać za proces niedołążenia reżymu: starzejący się reżym nie jest już zdolny do dławienia wszystkiego i wszystkich z dawną siłą i z dawnym rozmachem. Trochę to tak, jak gdyby stojącemu z podniesionymi rękami człowiekowi przytknął ktoś do brzucha karabin; długo w tej pozycji nie postoją, jeden zmęczy się i opuści karabin, drugi skorzysta z okazji i opuści ręce. Przy założeniu że obecna „liberalizacja” nie jest odnową lecz niedołążeniem reżymu, jej logicznym rezultatem będzie śmierć reżymu po której nastąpi anarchia. W zestawieniu z nią okropności rosyjskich rewolucji lat 1905-7 i 1917-20 okazały się idyllicznymi obrazkami. Od tego jak szybko będzie się rozwijała „klasa średnia” i jej samoorganizacja — szybciej czy wolniej niż gnicie systemu, — innymi słowy, od tego jak szybko „średnia

część pieroga" wzrośnie kosztem pozostałych, zależy czy społeczeństwo sowieckie potrafi przebudować się w sposób pokojowy i przejść przez oczekujące je kataklizmy z najmniejszymi ofiarami.

„W każdym razie istnieją obecnie po części warunki, które w swoim czasie wywołały w Rosji pierwszą i drugą rewolucję: kastowe, znieruchomiłe społeczeństwo; drętwy system państwowości, kłócący się z wymogami rozwoju gospodarczego; biurokratyzacja systemu i stworzenie uprzywilejowanej klasy biurokratycznej; sprzeczności narodowościowe w wielonarodowym państwie i uprzywilejowany status poszczególnych narodów”. A jednak carat mógł być ocaleć dzięki jakiejś pokojowej modernizacji, gdyby nie oceniał własnej siły i ogólnego położenia w sposób wręcz fantastyczny, i nie prowadził polityki ekspansjonistycznej. Wojna z Japonią przygotowała pierwszą rewolucję, wojna z Niemcami drugą. Historykowi trudno ustalić skąd się biorą takie błędy rządzących, prawdopodobnie każdy reżym totalitarny kapcie nie sam tego nie dostrzegając. Po co była Mikołajowi I wojna krymska, a Mikołajowi II wojna z Japonią i Niemcami? Panujący obecnie reżym dziwnie łączy w sobie cechy panowania Mikołaja I i Mikołaja II, w polityce wewnętrznej natomiast chyba i Aleksandra III. Ale najlepiej porównać go z bonapartystowskim reżymem Napoleona III. Przy takim porównaniu Chiny będą jego Cesarstwem Niemieckim.

W drugim rozdziale swojej książeczki Amalrik omawia konflikt sowiecko-chiński, wykluczając możliwość rozwiązania go na drodze pertraktacji pokojowych. Sceptycznie odnosi się do hipotezy prewencyjnego ataku atomowego ZSSR. Najpewniejsze wydaje mu się to, że między rokiem 1975 i 1980 Chiny będą miały dostateczny potencjał nuklearny by szantażując ZSSR groźbą skutecznego odwetu, rozpocząć długotrwałe działania wojenne typu partyzanckiego na kolosalnym terytorium po obu stronach 7000-kilometrowej granicy. Odciągnięcie dywizji sowieckich z Zachodu na Daleki Wschód spowoduje chaotyczną „desowietyzację” w Europie Środkowo-Wschodniej, gdzie „sytuacja przypomina teraz nieco sytuację po roku 1848, kiedy to nie spełniła się spodziewana demokratyzacja lecz stary reżym został zachwiany”.

Dotrwa Związek Sowiecki do roku orwellowskiego? „Jak przyjęcie chrześcijaństwa odroczyło zagładę Imperium Rzymskiego ale nie uratowało go od nieuniknionego końca, tak doktryna marksistowska wstrzymała rozkład Imperium Rosyjskiego — Trzeciego Rzymu — ale nie odwróci jego ostatecznego upadku”. Słusznie jeden z recenzentów angielskich książeczki Amalrika pyta, czy jest kwestią przypadku że ironiczne odsyłacze objaśniające rozsiane obficie w jej tekście przywodzą na myśl podobne adnotacje w *Decline and Fall of the Roman Empire* Gibbona.

Konkluzja. Zawarta jest w tytule: maszyna na złom.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Archiwum polityczne

Dyskusje z Czytelnikami (I)

Wielu Czytelników uważa, że o słuszności naszej sprawy w pierwszym rzędzie przekonywać należy obcych. Powinienem pisać po angielsku — wydawać książki po angielsku i zjednywać Anglosasów dla polskiego punktu widzenia.

Jest oczywiste, że należy to wszystko robić. Natomiast dlaczego tego nie robię — odpowiedź jest bardzo prosta. Nie spotkałem do tej pory Anglika, którego trzeba by przekonywać, że Polska — choć dziś ujarzmiona — musi w przyszłości ułożyć jakoś swoje stosunki z Rosją. W tej zasadniczej sprawie przekonywać trzeba Polaków a nie cudzoziemców. Nie spotkałem również do tej pory Amerykanina czy Anglika, których musiałbym przekonywać, że polityka polska streszczająca się w hasła „ani z Rosją ani z Niemcami” — jest nonsensem. To nie obcych tylko Polaków trzeba przekonywać w tej sprawie. Nie spotkałem również Anglosasa, którego trzeba by przekonywać, że Polacy nie powinni Litwinom odbierać Wilna — nawet wówczas gdyby powstały po temu konkretne możliwości. I znowu nie obcych tylko Polaków trzeba w tej sprawie przekonywać.

Problemów tego typu można by wymienić dziesiątki. Oddziaływanie na obcych, pisywanie do obcej prasy, wydawanie książek w obcych językach — to wszystko jest niezmiernie ważne. Niemniej z mojego punktu widzenia, jako polskiego publicysty — oddziaływanie na Polaków w tym kryzysowym momencie wydaje mi się rzeczą najpilniejszą i najważniejszą. Ponieważ bez względu na to jak ułoży się koniunktura międzynarodowa — niezmiernie wiele będzie zależało od tego jak zachowają się Polacy. Człowiek zachowuje się tak jak myśli — ponieważ myśl determinuje czyn i postawę. Dlatego mylny jest pogląd, że ponieważ dziś nie możemy układać się z Rosją — dyskusje na temat stosunków polsko-rosyjskich są nieaktualne. W rzeczywistości dyskusja na temat stosunków polsko-rosyjskich jest pilna i aktualna jeżeli za rok czy za 10 lat w zmienionych warunkach pragniemy uniknąć katas-

trofałnych błędów, które popełnialiśmy w przeszłości. Owych analiz i dyskusji, które powinny prowadzić do sformułowania nowej polityki wschodniej — nie zrobią za nas ani Anglicy ani Amerykanie. Tego musimy dokonać sami dziś aby nie popełnić błędów jutro.

Wielu naszych Czytelników — często z najnowszej emigracji — wysuwało zarzut, że polityka *Kultury* w stosunku do Rosji nie jest reprezentatywna zarówno w odniesieniu do Kraju jak i emigracji. To jest bardzo ważny punkt, ponieważ dotyczy zarówno zadań publicystyki jak i zadań demokracji.

Należy zacząć od stwierdzenia, że polityka *Kultury* zarówno w tej sprawie jak i w wielu innych nie jest reprezentatywna — to znaczy nie wyraża poglądów większości tak w Kraju jak i na emigracji. Na tej podstawie nie można jednak twierdzić, że polityka *Kultury* jest elitarna — względnie oderwana od polskiego podłoża.

Weźmy następujący przykład. Przed kilku miesiącami zniesiono w Anglii karę śmierci. Biura badań opinii publicznej wykazały, że większość Brytyjczyków była przeciwna zniesieniu kary śmierci. Jednak zarówno przywódcy głównych brytyjskich partii politycznych jak i znaczna większość posłów konserwatywnych i Labour Party — głosowała za zniesieniem kary śmierci. W pewnych dziennikach pojawiły się głosy, że posłowie w tym konkretnym wypadku nie reprezentowali swoich wyborców — co jest sprzeczne z zasadą demokracji. Tego typu zarzuty są niesłuszne. W rzeczywistości parlament brytyjski dał w tej sprawie pigwny przykład właściwie pojętej demokracji. Ponieważ rolą parlamentu jest przywozić a nie reprezentować średnią arytmetyczną opinii krajowej. W jeszcze większym stopniu dotyczy to prasy, które rolę w wolnym społeczeństwie jest przywozić i walczyć o słuszne sprawy. Ankieta *Wiadomości*, której poświęciłem garść uwag na tych łamach — wykazała przerażający poziom myślenia politycznego. *Kultura* nie spełniłaby swojej roli i nie byłaby tym czym jest — gdyby była reprezentatywna w stosunku do tego odłamu społeczeństwa emigracyjnego.

Problem reprezentatywności w warunkach polskich jest skomplikowany faktem, że właściwie nikt dokładnie nie wie co myślą ludzie w Kraju. Odwiedza mnie dość sporo krajowców każdego roku. Lecz jest oczywiste, że ci ludzie są niejako selektywnie dobrani. W 90 wypadkach na 100 odwiedzają mnie ludzie, którzy podzielają poglądy *Kultury* a w szczególności moje poglądy. Dotyczy to przede wszystkim młodych. Młody człowiek o prawicowych przekonaniach z całą pewnością do mnie nie przyjdzie. Z tych przyczyn od lat rozmawiam z krajowcami o pewnych określonych poglądach i mój obraz Polski utworzony na podstawie tych rozmów jest różny od obrazu Polski tych emigrantów, których odwiedza inny typ krajowców. Byłoby śmieszne spierać się czy — powiedzmy młodzi, którzy mnie odwiedzają — są grupą reprezentatywną dla większości młodzieży w Polsce. Osobiście jestem niemal pewien, że Polacy krajowi, tak młodzi jak i śred-

niego pokolenia, którzy utrzymują kontakt z *Kulturą* — nie stanowią większości lecz przeciwnie stanowią małą garstkę ludzi. Lecz cóż z tego. Ci ludzie nie stanowią większości lecz tylko w nich tli się płomyk nadziei w tej rozpaczliwej nocy polskiej.

Owi ludzie są bezcenni między innymi z następującej przyczyny. W Polsce dokonuje się olbrzymi awans mas chłopskich (nie robotniczych). Nigdy w naszych dziejach nie było tylu synów chłopskich na uniwersytetach — w aparacie partyjnym, w aparacie rządowym, w aparacie kościelnym. Gdyby ów awans odbywał się w atmosferze rozkwitu kultury i wolności — gdyby syn chłopski wchłaniał wszystkimi porami wielką literaturę, gdyby miał możliwość wyrobić sobie własny pogląd na bogatą i skomplikowaną problematykę współczesną — wówczas ów awans mas chłopskich byłby zjawiskiem wspaniałym i historycznym.

Niestety syn chłopski jest awansowany i deprawowany równocześnie. Jest przy tym nieporównanie bezbronniejszy niż syn inteligenta czy robotnika. Wskutek tego stanowi dobry materiał na lojalnego „janczara”. Wszystkie klasyczne cechy chłopskie jak pracowitość, upór, i konserwatyzm — w szkole partyjnej otrzymują znak ujemny. To znaczy zostają wprzęgnięte w służbę totalizmu.

Z tych i z wielu innych przyczyn rola garstki postępowej inteligencji o której mówiłem powyżej — nabiera specjalnego znaczenia. Tak jak w wiekach średnich — to są ci humaniści w których zdeponowane jest ziarno renesansu.

W tym miejscu chciałbym uczynić małą dygresję. Czytając listy naszych Czytelników dochodzę często do wniosku, że w świecie polskim przeżywamy kryzys komunikacji. Byłoby dziwne gdyby było inaczej. Polak, który przebywa od dwudziestu lat w Stanach Zjednoczonych jest inaczej uformowany niż Polak, który od dwudziestu lat przebywa we Francji czy w Anglii. Oczywiście wszyscy jesteśmy inaczej uformowani niż Polacy, którzy po wojnie wrócili do Kraju.

Ów kryzys komunikacji stwarza znaczne trudności dla publicysty, który pisze do ogólnopolskiego pisma jak *Kultura*. Niejednokrotnie ta sama teza czy sformułowanie inaczej są odczytywane przez Czytelników na kontynencie a inaczej przez Czytelników w Australii czy w Stanach Zjednoczonych. Pod tym względem w łatwiejszej sytuacji są pisma regionalne w których swój jacy piszą dla swajaków.

Biorąc ogólnie słowo „socjalizm” jest anatema dla Czytelnika w Ameryce — natomiast nie jest anatema dla Czytelnika w Szwecji, w Belgii czy we Francji. Ewolucjonizm czy rewizjonizm są koncepcjami daleko lepiej rozumianymi przez Czytelników w Europie niż w Australii. Nie chodzi w tym wypadku o tzw. zgodę narodową. Chodzi tylko o to żebyśmy się rozumieli — ponieważ bez zrozumienia nie ma dyskusji a bez dyskusji nie można dojść do wspólnych wniosków.

Wróćmy teraz do centralnego tematu tych rozważań. Każda polityka jest polityką postulowaną. Jeżeli piszemy o porozumie-

niu polsko-rosyjskim nie oznacza to, że owo porozumienie jest dziś możliwe a nawet nie oznacza czy owo porozumienie będzie kiedykolwiek możliwe. Oznacza to natomiast, że w naszej opinii rzetelne porozumienie polsko-rosyjskie jest pożądane i leży w polskim interesie. Należy zdać sobie sprawę, że choć „polityka jest grą rzeczy możliwych” — nic co nie jest postulowane nie jest możliwe.

Za kilka czy kilkanaście lat w Rosji mogą zajść zasadnicze zmiany. Lecz jeżeli wówczas żyjący Polacy będą do Rosji nastawieni wrogo — jeżeli nie będą mieli żadnego programu wschodniego, jeżeli koncepcja *partnership* z Rosją będzie Polakom nienawistna — to wszystkie owe zmiany w Rosji nie przyniosą nam korzyści. Innymi słowy, jeżeli nie będziemy postulowali już dziś osiągnięcia statusu partnera Rosji, jako naszego politycznego celu — nie będziemy partnerem Rosji nawet wówczas kiedy zaistnieją po temu realne możliwości.

Jeden z moich Czytelników zapytuje mnie czy wierzę w porozumienie z Rosją. Od siebie dodaje, że on nie wierzy. Przedmiotem naszej dyskusji nie jest wiara, czy nie-wiara tylko problem — czy, jeżeli powstaną odpowiednie warunki, winniśmy szukać statusu partnera Rosji czy nie. Inaczej mówiąc czy współpracę z przyszłą Rosją winniśmy uznać za postulat polskiej polityki czy nie. Można bowiem przyjąć założenie, że nie postulujemy współpracy z żadną Rosją — choćby postępową i liberalną — natomiast uznajemy za nasz główny cel powrót na Zachód i wyprostowanie stosunków z Niemcami.

Przedmiotem naszej analizy i dyskusji jest wybór postulowanej orientacji polskiej polityki niepodległościowej — bo jak zaznaczyłem powyżej — finalny kształt przyszłej Polski zależeć będzie nie tylko od koniunktury międzynarodowej lecz przede wszystkim od postawy narodu polskiego.

Czytelnik w tym miejscu zauważy: po co te deliberacje kiedy na Kremlu rządzą stalinowcy i *partnership* z Rosją nie jest możliwe. Jeżeli kiedyś zajdą na wschodzie Europy poważne zmiany — ów *partnership* powstanie samoczynnie.

Gdyby tak było cała dyskusja byłaby istotnie zbędna. Dyskusja jest potrzebna, ponieważ nigdy nie szukaliśmy partnerstwa z Rosją. Z Rosją rywalizowaliśmy, walczyli i ponosili klęski. Byliśmy albo zwycięzcami albo satelitą, natomiast partnerem nie byliśmy nigdy. Postulowanie dla Polski statusu równorzędnego partnera Rosji — stanowi w rzeczywistości całkowite *novum* w naszej polityce wschodniej i z tej przyczyny dyskusja w tej sprawie jest koniecznością.

Jako Polaka rozmiłowanego w dziejach swojego narodu przeżywa mi zawsze fakt, że Polska jest w gruncie rzeczy przeszłością, że wszystko co było wielkie działo się setki lat temu, że Polska po prostu działa się lecz nie dzieje się, że owemu wspinałemu pochodowi historycznemu brak jest dalszego ciągu. A przecież jest nas niemal 33 miliony, zajmujemy znaczny obszar państwowy a polska kultura była najświetniejszą na wschodzie

Europy i zakres jej promieniowania docierał znacznie dalej niż polskie ramię zbrojne.

30 stycznia 1667 r. w Rozejmie Andruszowskim Polska oddała Moskwie Smoleńsk, Czernichowskie, Siewierszczyznę, Siewierz i Kijów. A potem przyszedł pokój Grzymałowski (1. V. 1686), który położył fundament pod przyszłą zależność Polski od Rosji. Nasza trzywiekowa przewaga na wschodzie dobiegła kresu.

To wszyscy wiedzą. Lecz nie wszyscy wiedzą, że Waśka Golycyn, który z wojewodą poznańskim Grzymałowskim negocjował pokój już na warunkach rosyjskich — mówił płynnie po polsku i chodził w polskim stroju. Wojewoda Grzymałowski spadłby ze zdumienia z krzesła gdyby Golycyn odezwał się do niego nie po polsku. Cóż za przykład niedbałej rozrzutności kultury polskiej, której atrakcyjności nie umieliśmy przekuć ani w jednej dziesiątej na zysk polityczny. W owych czasach w Dreźnie, na Krymie, w Moskwie, w Sztokholmie, w Siedmiogrodzie znano język polski i czytano pisarzy i poetów polskich. A dziś wielu panom na emigracji wydaje się śmieszne, jeżeli piszemy w *Kulturze*, że Polska mogłaby oddziaływać na Rosję.

Ktoś powie — czasy się zmieniły. Niemniej i dziś kultura polska jest atrakcyjna na całym wschodzie Europy. Nie wszystkie pisma (komunistyczne) polskie mają debiet w Związku Sowieckim z winy nie tylko Kremla ale i Gomułki i strasznej polskiej biurokracji — lecz książki polskie i pisma polskie, jeżeli są do zdobycia, są w Rosji niezmiernie poszukiwane. Rosjanie nie tają również przed Polakami, że uważają za przywilej jeżeli mogą spędzić urlop w Polsce. Nawet gomułkowska Polska jest tym kąwłkiem słowiańskiego Zachodu, który przyciąga i fascynuje.

Jestem przekonany, że w zmienionych warunkach kultura polska mogłaby odzyskać na wschodzie Europy swą atrakcyjność i pozycję którą kiedyś dysponowała. Nikt mnie nie przekona, że nie istnieją po temu potencjalne możliwości.

Bez względu na to co stanie się w Rosji — w stosunku do Polski Rosja będzie zawsze wielkim państwem. Na pytanie czy porozumienie polsko-rosyjskie i *partnership* będą kiedyś do osiągnięcia odpowiadam: nie wiem. Natomiast wiem z całą pewnością, że owo zbliżenie i porozumienie będzie nie do osiągnięcia jeżeli polityki tego typu nie będą sobie życzyli Polacy.

Oczywiście nie wszystko co się postuluje okazuje się w przyszłości realne. Lecz nie ma realizmu bez postulowania. Postulowanie jest pierwszym krokiem ku realizacji. W chwili gdy prez. Kennedy postulował lądowanie człowieka na księżycu — nie istniały po temu technologiczne możliwości. Jednak w kilka lat później człowiek wylądował na księżycu. Gdyby powyższy projekt nie był postulatem amerykańskiej polityki do tej pory nie osiągnięto by tego celu.

Polacy są po Rosjanach największym państwowym słowiańskim narodem. Zamieszkujemy znaczny obszar etniczny i posiadamy kulturę, która zdała historyczny egzamin ze swojej wielkiej a w wielu wypadkach wyjątkowej atrakcyjności. Powtarzam

— nikt nie wie co stanie się w Rosji i wskutek tego wszelka dyskusja na ten temat musi mieć charakter spekulatywny. Powinniśmy jednak już dziś odpowiedzieć sobie jasno na pytanie czy w zmienionych warunkach postulujemy porozumienie i partnerstwo z Rosją czy nie. Podkreślam z naciskiem po raz drugi, że przyszły układ stosunków w Europie Wschodniej z Rosją włącznie, zależeć będzie nie tylko od wydarzeń wielkiego kalibru jak np. wojna rosyjsko-chińska — lecz również ów przyszły układ stosunków zależeć będzie od postawy politycznej narodu polskiego. Jeżeli wielkie wydarzenia zastaną nas powtarzających w kółko bezsensowny frazes „ani z Rosją ani z Niemcami” — możemy przegrać niepowtarzalną kartę historyczną i zmarnować okazję na którą narody czekały czasem po sto czy dwieście lat. Jeżeli tak się stanie będziemy nadal tym czym jesteśmy dziś, to znaczy źle administrowanym, biurokratyzowanym muzeum archeologicznym. Będziemy nadal czytali Jasienicę i *Trylogię* oraz oprowadzali turystów po Wawelu — żyjąc minioną wielkością, którą umieliśmy utracić lecz nie wskrzesić.



Zródłem nieporozumień są często terminy ewolucjonizm, rewolucja, ideologia.

Zacznijmy od ewolucjonizmu i wyjaśnijmy rzecz na przykładzie. W ostatnich paru tygodniach przed inwazją Dubczek otrzymał kilkanaście listów od Breżniewa. Przywódca sowiecki twierdził, że Dubczek i jego ludzie nie panują nad sytuacją. Dubczek natomiast zapewniał Breżniewa, że proces reformy i demokracji jest ściśle kontrolowany.

Ze stalinowskiego punktu widzenia — nie Dubczek tylko Breżniew miał rację. Z sowieckiego punktu widzenia Dubczek minął granicę z której był jeszcze możliwy powrót do stalinowskiego czy gomułkowskiego systemu. Gdyby nie było interwencji zbrojnej — w Czechosłowacji do roku z komunizmu pozostałaby tylko nazwa. Czesi i Słowacy mieliby ustrój socjalistyczny i demokratyczny oparty o wolne wybory.

Przez ewolucjonizm nigdy nie rozumiałem obłaskawiania czy zmiekczenia komunizmu. W moim artykule pt. „Warianty sytuacyjne” opracowałem model ewolucyjnego przewrotu. Postępowy przywódca partyjny, który dąży do reformy gospodarczej — tworzy frakcję wokół której skupiają się inteligenci, intelektualiści i studenci. Następuje próba sił i postępowa frakcja obejmuje władzę. Wówczas żądania inteligencji i intelektualistów rosną jak na drożdżach. Na skutek uwolnienia od cenzury telewizji, radia i prasy — dla ruchu reformy zostają zdobyte szerokie masy społeczeństwa. W tym momencie — ewolucja nabiera dynamiki żywiołowej czyli mówiąc inaczej przemienia się w rewolucję. Rubikon zostaje przekroczony i w mojej opinii Dubczeka przez ów Rubikon przepchnęli jego rozentuzjasmowani rodacy.

Powyższy schemat w maksymalnym skrócie ujmuję ewolucjo-

nizm tak jak go sformułowałem w dziesiątkach artykułów. Istota ewolucjonizmu sprowadza się do poglądu, że w ostatecznym rozrachunku komunizm zostanie obalony rękami komunistów.

Schemat ewolucyjny funkcjonował bezbłędnie w Czechosłowacji do chwili inwazji. Lecz czy można przeprowadzić inwazję Leningradu lub Moskwy? Ci którzy utrzymują, że w Rosji nic się nie zmieni i po jednym Breżniewie będzie następował drugi Breżniew i tak aż do sądnego dnia — zapominają, że Rosja jest w gruncie rzeczy bardziej bezbronna wobec rewolucji niż państwa satelickie. Czy w razie poważnego kryzysu przywódca partyjny na Kremlu może wezwać na pomoc wojska polskie, węgierskie i wschodniemieckie by wypełniły postanowienia zawarte w doktrynie Breżniewa?

Czołgi sowieckie na ulicach Pragi to jest tylko interwencja. Czołgi sowieckie na ulicach Leningradu to byłaby wojna domowa.

Trudno przewidzieć co stanie się w Rosji. Wydaje się natomiast, że jeśli na Kremlu pojawi się postępowy reformator będzie go daleko trudniej zlikwidować niż Dubczeka. Ująłbym ten problem następująco. W najbliższej przyszłości rewolucja w Sowietach jest mniej prawdopodobna niż gdzie indziej, lecz jeżeli raz się zacznie — będzie miała daleko większe szanse sukcesu niż gdzie indziej.

Pewien procent moich korespondentów uważa teorię ewolucjonizmu za dywersyjny instrument zimno-wojenny, który w pewnej mierze spełnił swoje zadanie czego dowodem są przemówienia Gomułki, broszury poświęcone tej teorii wydawane w Kraju, ataki w *Izwiestiach* itd., itp.

Alain Guérin w swej świeżo wydanej książce pod tytułem „Les Commandos de la guerre froide” (Julliard, Paryż 1969) zaliczył mnie do wybitnych komandosów zimnej wojny i umieścił w kategorii dywersantów, którzy porywają samoloty, rzucają bomby itp.

W określonych warunkach uważam zarówno dywersję jak i dezinformację za całkowicie dopuszczalne metody walki. W czasie drugiej wojny światowej Armia Krajowa stosowała obie te metody przeciwko Niemcom z wielkim sukcesem.

Jednak w moim wypadku, to co piszę nie jest dywersją. Gdybym głosił moją teorię będąc prawicowym konserwatystą to byłaby dywersja. Lecz nie jestem konserwatystą i szczerze pragnę zastąpienia komunizmu socjalizmem demokratycznym i uważam, że ewolucjonizm w sprzyjających warunkach może owej transformacji dokonać. Byłem zwolennikiem Dubczeka i poparłbym polskiego Dubczeka gdyby się pojawił. Czy Czechosłowacy, którzy masowo popierali Dubczeka — to byli dywersanci? Czy autorzy „Dwóch Tysięcy Słów” to byli komandosi zimnej wojny?

Gdyby moja publicystyka nie wypływała z głębokiego przekonania a była tylko na zimno wypracowanym strategicznym manewrem — nie miałyby tego skromnego oddźwięku w Kraju jaki ma.

Aparatczycy w Warszawie czy w Moskwie uważają mnie za dywersanta i to jest zrozumiałe. Natomiast jest rzeczą zdumiewającą, że pewni Polacy na emigracji oceniają również ewolucjonizm jako teorię dywersyjną, której celem jest — jak to określił jeden z naszych publicystów — sianie zamętu w KC. To było pomyslane jako określenie pozytywne — ponieważ sianie zamętu w KC jest oczywiście niezmiernie *respectable* zajęciem.

Muszę stwierdzić, że dywersja nigdy nie była moim celem — nawet dywersja tak wysokiego szczebla jak sianie zamętu w KC. Liczyłem zawsze, że moje argumenty dopomogą postępowym komunistom wrócić na drogę socjalizmu, który jest nie do pogodzenia z systemem totalnym. W gruncie rzeczy nie chodzi bowiem o komunizm w takim czy innym wydaniu — tylko chodzi o socjalizm a więc o wypracowanie takiego modelu społecznego, który rzetelnej socjalistycznej demokracji byłby najbliższy. Wiem pozytywnie, że są polscy komuniści, którzy choć nie myślą identycznie jak ja — myślą podobnie. W ich oczach na pewno dywersantem nie jestem.

Niezależnie od wad i zalet omawianych naszych koncepcji są one próbą pozytywnego podejścia do problemu ustrojowego. Są one również próbą przełamania polskiej „niemożności”.

Nie trzeba być prorokiem żeby stwierdzić, że gdyby jutro „wybuchła” Polska tak jak w roku 1918 — Polacy mówiliby o mocarstwowości i mieliby jeszcze gorsze stosunki z Rosją niż mamy obecnie. Nienawiść i pogarda dla Rosji buchnęłyby jak płomień. Ponieważ jesteśmy niezmiernie zachodni — usiłowalibyśmy odbudować zachodnioeuropejski kapitalizm — co w praktyce oznaczałoby otwarcie na oścież bram dla niemieckiego kapitału na Śląsku, w Gdańsku i na całych ziemiach odzyskanych. W „wspólno-rynkowej” Brukseli mielibyśmy potężną ekipę — lecz w Moskwie nie mielibyśmy nikogo — względnie trzeciorzędną nieważną placówkę. W Sejmie dwadzieścia partii skakałoby sobie do gardła dopóki nie znalazłby się generał, który wzięłby wszystko „za mordę”.

Gorzo jest wypowiedzieć opinię którą zamierzam wypowiedzieć. Uważam, że jest lepiej, że w tej chwili nie ma dla Polski korzystnej międzynarodowej koniunktury — ponieważ my taką koniunkturę sfuszrowalibyśmy i zmarnowali. Nie jesteśmy do niej przygotowani. W polityce nie ma większej katastrofy jak zaprzepaszczone okazja, sfuszrowana koniunktura, która może się nie powtórzyć przez następne stulecie.

W przeciwieństwie do roku 1918 nie mamy wielkiego człowieka, ani mężów stanu, ani administratorów wykształconych w państwach z prawdziwego zdarzenia — a przede wszystkim nie mamy nawet postulowanej orientacji politycznej, która w momencie korzystnej koniunktury służyłaby za busolę docelowego działania.

Lepiej jest czekać na koniunkturę niż patrzeć na koniunkturę zaprzepaszczonej i obrócić na własną niekorzyść.

Polacy w znacznym procencie nie rozumieją, że niepodległość to nie jest coś co się należy. Niepodległość to jest polityka —

czyli to co dany naród ma do powiedzenia a przede wszystkim do zrobienia w rejonie w którym żyć mu wypadło. Żyjemy w jednym z najtrudniejszych rejonów świata i musimy dorosnąć do tego wyzwania.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

O POBRZEŻNYCH KASZTELANIACH

Gdy po maturze przyjechałem do Krakowa na uniwersytet zastałem mnóstwo ludzi z kresów. Może nie było ich tak wielu lecz wyróżniali się akcentem, sposobem bycia i całkowitym brakiem zrozumienia dla tradycji austriackiej, którą oddychał Kraków. Nie mogłem zrozumieć tragedii tych ludzi — bo przecież zakończenie dramatu, którego byli aktorami napisano i ogłoszono drukiem na wiele lat przed pierwszą wojną światową. Jako 18-letni chłopiec kojarzyłem ich dzieje z utratą Zadnieprza opisaną w sienkiewiczowskiej „Trylogii”. Jakiego innego losu mogli oczekiwać ci ludzie niż tego, który ich spotkał? Moi przodkowie za czasów Władysława Łokietka przenieśli się z Kujaw i osiedli się w ziemi krakowskiej. Odczuwałem pewne zrozumienie zadowolenie, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy osiedlać się na kresach naznaczonych stygmatem klęski i utraty. Gdy hrabiny i hrabianki kresowe mówiły o swych majątkach na Ukrainie — słuchałem owych opowieści z tą samą pobłażliwością z jaką Anglicy wysłuchują dziś naszych zapewnień, że wrócimy do Wilna i Lwowa.

Kresy są peryferyjne i od stuleci poświęca się je w takich czy innych Jaltach. Egzotyzm opowieści z owych pobrzeżnych kasztelanii polega na tym, że ludzie z głębi łądu są przekonani, że im nic podobnego przydarzyć się nie może.

Dziś sam jestem uchodźcą z pobrzeżnych kasztelanii, które odpadły od Zachodu. Kresy zaczynają się nie w Oszmiańskim powiecie, jak za czasów mojej młodości, lecz pod bramą brandenburgską w Berlinie. Jednak właściwie nie się nie zmieniło. Kresy przybliżyły się lecz problematyka kresów i kresowców jest jak dawniej marginesowa i peryferyjna.

Czy istotnie mamy coś więcej do powiedzenia niż ludzie z bezpiecznych, centralnych kasztelanii?

Kresowcy posiadają większy ładunek doświadczeń niż ci, którzy ich goszczą — lecz owe doświadczenia ustawiane są często w perspektywie, która wypacza ich wartość. Jedną z ludzkich tragedii jest fakt, że doświadczenie drogo okupowane — produkuje nie tylko intelektualny „zysk” lecz wywołuje również efekty uboczne jak gorycz, urazy, nienawiści, neurozy. Często bilans wielkich doświadczeń jest ujemny, ponieważ negatywne efekty uboczne przewyższają moralno-intelektualny „zysk”. Stąd płynie nieufność do uchodźców z kresów, którzy nawet jeżeli osiągają sukces są garbaci przeżyta klęską.

Kresowcy mają inny stosunek do tzw. realiów niż mieszkańcy bezpiecz-

nych krajów. Gdy byłem w 6-tej klasie gimnazjalnej dostawałem pół miliona marek — za co na głównej pauzie kupowałem bułkę z wędliną i szklankę herbaty. Mój ojciec był wysoko zaasekuirowany w międzynarodowym towarzystwie asekuracyjnym w Trieście. Ojciec mój stracił wszystko dwukrotnie — raz po upadku Austrii, drugi raz po upadku Polski. Ja straciłem wszystko raz — doszczętnie. Żaden zachodni ekonomista nie przekona mnie, że istnieje na świecie pewna i twarda waluta. Nikt nie przekona mnie również, że za pieniądze można kupić spokój i bezpieczeństwo.

Anglik, który widzi na swoim ekranie telewizyjnym dzieci-szkielety w Biafrze, czy słyszy powtarzane cyfry wypadków samochodowych — uważa, że to są nieszczęścia, które dotyczą „innych ludzi” lecz nie jego. Przeciwny Anglik czy Francuz uważa za rzecz mało prawdopodobną by on sam znaleźć się miał w grupie owych „innych ludzi”, którzy giną w katastrofach lub umierają z głodu.

My jesteśmy owymi „innymi ludźmi” i dlatego tak trudno zaaklimatyzować się nam wśród tych dla których „inność” to tylko statystyki lub obrazek na telewizji.

Europa Wschodnia to są przysłowiowe *quick sands* — ruchome piaski. My to wiemy i nasi gospodarze to wiedzą. Lecz my wiemy jeszcze coś więcej. Wiemy, że na ruchomych piaskach mieszkają nie tylko „inni ludzie” lecz również Anglicy, Francuzi i Niemcy. Cała Europa to są ruchome piaski.

Ludzie z pobrażonych kasztelanii słyszeli tyłkrotnie galop Historii, że siłą nawyku... nasłuchują. Naszym gospodarzom wydaje się to śmieszne. Tu bierze swe źródło historycyzm, który nam wypomina. Jednak my wiemy, że historia nie dzieje się na scenie tylko na widowni.

W prasie emigracyjnej stale oskarżamy Zachód, że oddaje się złudzeniom. Nasi gospodarze oskarżają nas o „pobożne życzenia”.

Czy realne jest to, co jest słuszne — czy też realne jest tylko to, co jest możliwe? My wiemy z naszych doświadczeń, że słuszne nie stanie się nigdy realne jeżeli zwątpimy, że jest możliwe. Należy być pewnym tylko jednej rzeczy — to jest słuszności swojej sprawy. Program maksymalny nigdy nie jest słuszny, bo zawsze kogoś krzywdzi. Na naszych kresach popełniliśmy w przeszłości więcej krzywd — niż gdziekolwiek indziej.

Słuszność jest rzeczą znacznie trudniejszą niż realizm. Siłą można do czasu utrzymać krzywdę i jarzmo. Lecz trwać i przetrwać można tylko w obrocie słuszności. Dlatego jako pragmatyk sędzę, że ważniejszą jest rzeczą by nasza polityka była słuszna niż realna — bo realistami w ostatecznym obrachunku są ci, którzy potrafią trwać i przetrwać. Z tych przyczyn w rozważaniach, które się na moją książkę złożyły — położyłem nacisk na problemy ustrojowe, ponieważ słuszną politykę prowadzić można tylko w oparciu o ustrój społecznie sprawiedliwy.

(Powyższy tekst stanowi wstęp do książki J. Mieroszewskiego pt. „Dialogi i Konwencje”, która ukaże się wkrótce w „Bibliotece Kultury”).

B I A F R A

Z chwilą gdy niniejsze słowa ukażą się na łamach Kultury Biafra już nie będzie *news*. Umarli odjeżdżają szybko — jak mówi niemieckie przysłowie.

W Nigerii zginęło dwa a może trzykrotnie więcej ludzi niż w wojnie domowej w Hiszpanii. Miesiącami oglądaliśmy na ekranach telewizyjnych dzieci-szkielety — tysiące ludzi zechniętych na dno nędzy i wycieńczenia, skazanych na powolną śmierć głodową. Lecz obraz telewizyjny choć powoduje szok i nagły przypływ współczucia — gaśnie po chwili, a taśma filmowa wędruje do archiwum. Natomiast Orwell i Hemingway — jako świadkowie hiszpańskiej tragedii trwają do dziś. Biafra ciągle czeka na swojego Orwella czy Hemingwaya, który prześwieciłby ów dramat i ocalił go zarówno od zapomnienia jak i obronił przed fałszami oficjalnych historyków finansowanych przez rząd w Lagos. Patrząc na kataklizm tych wymiarów zrozumieć dopiero można wyższość literatury nad wszystkimi mediami masowego przekazu, które przekazują lecz nie są w stanie danemu wydarzeniu nadać wymiaru Sprawy. Tego dokonać może tylko literatura.

Piszemy wiele o suwerenności. Czy suwerenność oznacza, że dany naród może dokonywać zbrodni ludobójstwa całkowicie bezkarnie? Hitlerowska Trzecia Rzesza była niewątpliwie suwerenna i uznawana przez wszystkie państwa. Jednak ci jej przywódcy, którzy nie zdołali popełnić samobójstwa — zostali postawieni przed sąd i skazani na śmierć.

Nie ulega wątpliwości, że rząd federalny w Nigerii winien jest zbrodni ludobójstwa. W pierwszej dekadzie stycznia br. w magazynach licznych organizacji na Zachodzie piętrzyły się setki ton żywności — lecz gen. Gowon w wywiadzie radiowym w Lagos oświadczył: „my sami załatwimy tę sprawę”. Oznaczało to, że żywić Biafrę mieli prawo tylko ci, którzy dążyli do jej likwidacji, to znaczy rząd w Lagos przez swoje organizacje i przez swój Czerwony Krzyż. To tak jakby pomoc dla więźniów w Oświęcimiu mogła iść tylko poprzez Gestapo.

Na stu dwudziestu kilometrach drogi pomiędzy Oweri i Aba — dokonał się finalny akt męczeństwa Biafry. Tysiące ludzi było już nie do uratowania. Lecz dziesiątki a może setki tysięcy były do uratowania gdyby żywności i lekarstwa nadeszły w obrębie 24 godzin. Lecz żywności nie było przez szereg następnych dni ponieważ rząd w Lagos nie spieszył się w pertraktowaniu z rządem brytyjskim i z międzynarodowymi organizacjami pomocy. W przeciągu trzech dni wygłodzeni Ibo zostali dosłownie zdziesiątkowani i rząd w Lagos nie musiał wydać na to ani grosza w postaci amunicji, lotnictwa czy czołgów. Wystarczyło oświadczenie, że wszelka pomoc musi iść poprzez agencje rządu w Lagos, który wyda konieczne zezwolenia w odpowiednim czasie.

Trzeba powiedzieć, że ofiarność społeczeństw Zachodu była ogromna — wpłynęły bardzo znaczne sumy za które zakupiono zapasy żywności i lekarstw — lecz w większości wypadków owa pomoc nie dotarła na czas do tych, którzy konali z głodu. Dopiero drugiego lutego rząd federalny zgodził się „uprosić” odprawę celną tak, by lekarstwa i żywność mogły docierać szybko do rejonów dotkniętych głodem. Równocześnie uwięziono niemal wszystkich misjonarzy, którzy działali na terenie Biafry. Posunięcie to miało na celu sparalizowanie działalności ośrodków dożywiania i leczenia na terenie Biafry.

Wszystkie te szczegóły znane są Czytelnikom z prasy i nie ma powodu ich powtarzać. Trzeba natomiast zapytać czy zbrodni ludobójstwa można było przeszkodzić?

Polityka w znacznej mierze polega na wybieraniu mniejszego zła. Gdyby jutro Sowiety zaczęły systematycznie wyrzynać Kazachów — przeciwstawić

się czynnie tej zbrodni ludobójstwa można by tylko za cenę ryzyka wojny światowej, która prawdopodobnie przekształciłaby się w wojnę nuklearną. Trzeba by więc w takiej sytuacji ograniczyć się do protestów na wielką skalę — co wyrzynom Kazachom nie na wiele by się przydało. Lecz mając do wyboru likwidację Kazachów lub ryzyko nuklearnej wojny, która pochłonięłaby dziesiątki a może setki milionów ludzi — należałoby wybrać mniejsze zło jakim byłaby likwidacja Kazachów. Żaden polityk nie może bowiem ryzykować życia setek milionów ludzi, by uratować życie kilku milionom ludzi.

Zło należy zawsze potępić, lecz nie zawsze można mu się czynnie przeciwstawić. Nie można zwalczać zła ryzykując jeszcze większe zło. Jednak w wypadku Nigerii — nie tylko można było czynnie przeciwstawić się zbrodni ludobójstwa lecz należało to zrobić. Stany Zjednoczone interweniowały ze znacznie bardziej blahych powodów niż zbrodnia ludobójstwa. Wystarczyłoby zupełnie gdyby rząd Stanów Zjednoczonych przesłał w odpowiednim czasie notę rządowi w Lagos oświadczając, że jeżeli samoloty wiozące pomoc dla Biafry będą atakowane, otrzymają eskortę amerykańskiego lotnictwa wojskowego. Należało również jasno oświadczyć, że jeżeli akcja organizacji opiekuńczych będzie przez rząd federalny utrudniana i sabotowana — ośrodki pomocy i dożywiania otrzymają ochronę amerykańskich *Marines*.

Nie ulega wątpliwości, że rząd w Lagos zgodziłby się na powyższe żądania — ponieważ nie mógłby się nie zgodzić. Olbrzymia potęga Ameryki zostałaaby zaangażowana dla dobrej i czystej sprawy. Podjęcie takiej polityki Stanom Zjednoczonym niczym nie groziło — bo choć Sowiety dostarczają sprzętu wojskowego rządowi federalnemu, nie podjęłyby wojny z Ameryką by nie dopuścić żywności dla Biafry. Oczywiście w Moskwie wszczęto by alarm, że Ameryka usiłuje w Nigerii stworzyć nowy Wietnam — lecz w mojej opinii nie doszłoby w ogóle do eskortowania cywilnych samolotów ani do lądowania *Marines*. Rząd w Lagos ugiąłby się przed żądaniami Waszyngtonu i zapewniłby bezpieczeństwo „mostowi lotniczemu” do Biafry.

Jak się chce przywozić światu — nie można tolerować spokojnie zbrodni ludobójstwa. Interwencja jest zawsze politycznie „niewygodna” i pociąga za sobą pewne ryzyko. Lecz w wypadku Biafry ryzyko było wręcz minimalne, natomiast praktyczny efekt w uratowanych życiach ludzkich byłby olbrzymi. Słynny most lotniczy do Berlina pociągał za sobą niepomniernie większe ryzyko a jednak owe ryzyko podjęto.

W całej Afryce chrześcijaństwo upada ponieważ Murzyni uważają, że narody, które są chrześcijańskie od tysiąca lat, w niczym nie są lepsze od narodów niechrześcijańskich. Ludobójstwo, obozy męki i zagłady, Katynie — to wszystko są produkty chrześcijańskiej Europy. Dziś owa chrześcijańska Europa sprzedawała broń Nigerii (zawsze przecież chodzi o bilans płatniczy, który opiera się na eksporcie), równocześnie owa Europa gotowa była ratować ludzi w Biafrze lecz tylko za zgodą i w ramach zezwoleń rządu w Lagos.

Jeszcze w XIX wieku *welfare* był uprawiany niemal wyłącznie przez kościół. Kościół był wielkim jałmużnikiem, opiekował się biednymi i karmił głodnych. Lecz dziś państwo odebrało kościołowi ową funkcję i w nowoczesnym *Welfare State* opieka nad obywatelem, od kolebki do grobu, sprawowana jest przez laicki aparat państwowy. Jednak ów dobrobyt i opieka, którą otacza się własnych obywateli — podkreśla przepaść pomiędzy tymi, co mają

a tymi co nie mają. W tych warunkach chrześcijaństwo nie może być atrakcyjną religią dla narodów biednych i gospodarczo niedorozwiniętych — ponieważ nie brzmi prawdziwie.

Organizacja Narodów Zjednoczonych w stosunku do tragedii w Biafrze zmanifestowała całą swą beznadziejną bezradność i niedołęstwo. Jeżeli ONZ ma być platformą do dyskusji pomiędzy obu super-mocarstwami i ich satelitami i semi-satelitami — to z całą pewnością można by to zorganizować niepomniernie taniej i w formie niepomniernie mniej pretensjonalnej.

SĄSIAD NASZEGO SĄSIADA

Mam oczywiście na myśli Chiny. Ponieważ propaganda — zwłaszcza płynąca z Moskwy — przedstawia Chińczyków jako naród szaleńców i zbrodniarzy, w krytycznym umyśle budzi się podejrzenie, że w Chinach musi być znacznie lepiej niż przypuszczamy, a w każdym razie nie tak źle jak przedstawiają to Rosjanie.

Na Zachodzie ukazuje się mnóstwo książek o Chinach. Lecz jest bardzo trudno znaleźć pracę, która byłaby napisana nie przez komunistę czy „Maoistę” — a równocześnie uwypuklała wszystko to, co jest pozytywne w Chinach. Takim studium jest Joan Robinsona „India and China”. Autor, który zna dokładnie Indie i Chiny przeprowadza szczegółowe porównanie obu gigantów i owa analiza w rezultacie wypada na niekorzyść Indii. W opinii autora Chiny górują nad Indiami niemal we wszystkich dziedzinach.

Chiny — w przeciwieństwie do Indii nie otrzymują z nikąd żadnej pomocy. Spłaciły jednak co do grosza całą pomoc jaką otrzymały od Sowietów. Bilans płatniczy jest zrównoważony, ponieważ Chiny znacznie więcej eksportują niż importują. Waluta jest ustabilizowana i wieczne kryzysy walutowe, które stanowią plagę Indii, w Chinach są nieznane. W opinii autora cytowanej pracy — największym osiągnięciem Chin było zapobieżenie inflacji w latach wielkiego nieurodzaju. Dzięki temu nie było głodu na poważniejszą skalę i system racjonowania żywności funkcjonował sprawnie.

Chińczycy stale powtarzają, że studium błędów sowieckich i na błędach sowieckich się uczą. W Sowietach kołchoźnicy znajdują się na samym dole drabiny społecznej. W Chinach przeciwnie. Wieśniak jest faworyzowany i powszechnie uważany za obywatela pierwszej klasy.

W odróżnieniu od Zachodu i Ameryki — Chiny rozbudowują swój przemysł decentralistycznie, innymi słowy nie w miastach tylko na wsi. Komuny rolnicze są wielkimi autonomicznymi kooperatywami. Zarządzane są przez miejscowych ludzi i wszystkie decyzje pobierane są lokalnie. Bogatsze komuny ze swoich dochodów budują w swoich miejscowościach zakłady przemysłowe, w których znajduje pracę nadwyżka ludności. Trzeba pamiętać, że Chiny mimo swej starej cywilizacji są bardzo młodym narodem. 50 % Chińczyków liczy poniżej 18 lat życia. W opinii cytowanego autora stopa życiowa w Chinach jest znacznie wyższa niż w jakimkolwiek innym azjatyckim kraju niedorozwiniętym. Przemysł zarówno w sensie produkcji jak i technologicznego *know-how* stoi nieporównywalnie wyżej niż w Indiach.

Chiny są groźne szczególnie dla Rosji. Chiny są groźne nie dzięki swojej

liczebności — lecz, w opinii autora cytowanej pracy, są groźne dlatego, że w najbliższych dekadach staną się wielkim sukcesem.

Powinniśmy już dziś przyjąć pogląd, który dla Pana Zagłoby (iluż Zagłobów jest między nami!) — wydawałby się więcej niż egzotyczny a mianowicie, że nie co chińskie nie może być nam obce. Wydaje mi się bowiem, że pod koniec bieżącego stulecia Polska będzie leżała w znacznie większym stopniu pomiędzy Rosją a Chinami niż pomiędzy Rosją a Niemcami.

KROPLA DZIEGCIU

Uważam, że najwyższą nagrodą jakiej dziennikarz może się dopracować — jest oddźwięk jaki budzą jego artykuły u Czytelników. Bardzo mało Czytelników prawi mi komplementy — większość krytykuje i dyskutuje, i to jest najwartościowsze. Niezmiernie wiele zawdzięczam naszym Czytelnikom. Niektórzy wysuwają oryginalne i ciekawe pomysły — inni przysyłają wyćinki prasowe a jeszcze inni korygują moje błędy i przeoczenia. Lecz w tej beczce miodu jest kropla dziegciu. Ponieważ niezmiernie sobie cenię stosunek Czytelników do naszego pisma — postanowiłem ową kroplę dziegciu wydobyć na światło dzienne.

„Jeżeli nie zmieni pan swoich poglądów w stosunku do Rosji — nakład *Kultury*, co nie daj Boże — zacznie spadać...”.

„Swoją politykę w stosunku do Wilna doprowadzi Pan — Boże nie daj — nakład *Kultury* do katastrofalnego spadku...”.

„Jeżeli będzie pan pomiatał ankietą *Wiadomości* i ludźmi, którzy wzięli w niej udział — nakład *Kultury*, Boże uchroni — stopnieje wkrótce do zera...”.

Niesmaczne w tych listach jest owo połączenie apelów do Opatrzności ze swego rodzaju moralnym szantażem. Wszyscy znają moje przywiązanie do pisma i każdemu łatwo jest się domyśleć, że wyjąwszy wojnę atomową — spadek nakładu *Kultury* uważałbym za największe nieszczęście jakie mogłoby się zdarzyć.

Są dwa nieporozumienia, które na marginesie tej sprawy pragnę wyjaśnić.

I. Nakład *Kultury* nie tylko nie spada, lecz z roku na rok stale wzrasta — co łatwo sprawdzić u źródła, w Maisons-Laffitte.

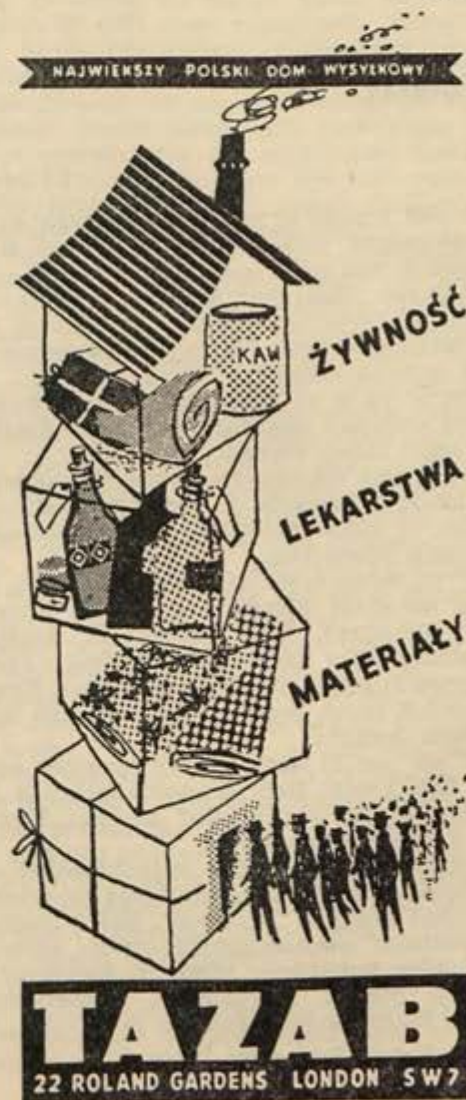
II. Ludzie kupują nie te pisma, które mają zawsze rację — ale pisma, które wysuwają problemy i są interesujące. *Kultura* w wielu sprawach może nie ma racji — lecz jesteśmy ludźmi o określonych przekonaniach. Jeżeli wysuwamy tezę, która idzie pod włos opinii — robimy to z przekonania i bezinteresownie. Dlatego — poza komunistami — ludzie nas nie potępiają tylko z nami dyskutują.

Nie się tak źle nie sprzedaje jak truizmy. O pewnych naszych publicystach można powiedzieć, że niemal wszystko co piszą jest słuszne. Lecz niestety to co piszą to są truizmy. Truizmów nikt nie chce ani czytać ani kupować. Lepiej jest błędzić ale szukać nowych rozwiązań, nakłuwac bolesne sprawy i nie dać im się zasklepić — niż z namaszczeniem powtarzać tzw. „odwieczne prawdy”, które *nota-bene* w wielu wypadkach prawdami nie są. Polska

politologia zawiera całą galaktykę „odwiecznych prawd”, które prawdami dawno być przestały. Na przykład słowo „wolnomyślicielstwo” ma w języku polskim podźwięk zdecydowanie negatywny. A przecież wolność z ust nam nie schodzi. Lecz w systemie tradycyjnej polskiej politologii — wszystko i wszyscy powinni być wolni, tylko nie myśl. To jest przykład jeden z wielu.

Ci, którzy straszą mnie spadkiem nakładu *Kultury* — nie doceniają polskiego Czytelnika, który zawsze poprze pismo odważne, interesujące, nie-ortodoksyjne i uczciwe.

LONDYNCZYK



Sąsiedzi

„Samizdat”

Było to w 1956 a może w 1957 roku. Pokazały się w Moskwie małe „chałupniczo” wydane książeczki poezji Mikołaja Głazkowa. Na okładce, tam gdzie normalnie znajduje się nazwa wydawnictwa, napisano „Samizdat”. Możliwe, że właśnie wtedy powstało to słowo, możliwe, że wcześniej. W każdym razie dzisiaj zdobyło ono światowy rozgłos i stało się słowem tak popularnym i znanym dla cudzoziemców, jak słowo „sputnik”.

O „Samizdacie” piszą na Zachodzie literaturoznawcy i kremlinolodzy, uczeni usiłujący odgadnąć przyszłość Rosji oraz dziennikarze, szukający taniej sensacji.

Ostatnio, w języku francuskim ukazał się okazały tom (645 stron) zatytułowany „Samizdat I. Głos komunistycznej opozycji w ZSSR”. Jest to zbiór materiałów rozpowszechnianych nielegalnie w Związku Sowieckim.

„Samizdat” to słowo nowe w języku rosyjskim, lecz określa sprawy znane narodowi rosyjskiemu już od przeszło 150 lat. W „Spiskach” (Rejstry), tj. w „Samizdacie”, krążyła z początkiem XIX wieku książka Radiszczewa „Podróż z Petersburga do Moskwy”, wiersze Puszkina, utwory Czaadajewa. Nawet w strasznych stalinowskich latach przepisywano i uczono się na pamięć wierszy Siergieja Jesienina.

„Samizdat” nie jest to więc w Rosji zjawisko nowe — nowy jest rozmach, ilość i treść. Dziś nie można mówić o „Samizdacie” ogólnikowo. Ma on już swoją, choć niedługą, historię, swoich meczenników i swoje kontrowersje.

Pierwszy okres — pierwsze lata pośtalinowskie — to przede wszystkim wiersze, a potem piosenki. Rodzą się poeci śpiewający swoje utwory pod gitarę — „bardowie”. Należy podkreślić, że na tym etapie „Samizdat” rozpowszechniał utwory, które pisano z nadzieją na oficjalną publikację. Miało to specjalnie miejsce ze „Spadkobiercami Stalina” Jewtuszenki, z wierszem Stuckiego „Bóg” i innymi. Potem przyszła kolej na prozę — w „Samizdacie”

ukazuje się „Pawilon chorych na raka” Sołżenicyna, „Kołymskie opowiadania” Szałamowa, „Kręta droga” Ginzburg, tak samo pisane z nadzieją możliwości druku. W tym okresie „Samizdat” wydawał się zjawiskiem przejściowym gdyż były szanse na liberalizację cenzury. Był to zarazem okres mody na „Samizdat”. Poeci i pisarze uważali za zaszczyt dla siebie, jeżeli byli rozpowszechniani w „Spiskach”. Pojawiają się pisane ręką czasopisma, „Sintaksis”, „Koło”, „Feniks”.

Wydaje się, że władze nie bardzo wtedy wiedziały co zrobić z „Samizdatem”. W 1961 roku miesięcznik *Nowyj Mir* ogłasza „Jeden dzień Iwana Denisowicza” Sołżenicyna, utwór o wiele bardziej zapalny od wielu publikowanych dotąd w „Samizdacie”.

Lecz władze powzięły decyzję. KGB otrząsnęło się po rewelacjach XX Zjazdu. Proces poety Josifa Brodskiego w 1964 roku był pierwszym ostrzeżeniem dla niepokornej inteligencji. Sąd nad Siniawskim i Danielem w lutym 1966 roku oznacza przejście władz do ataku, koniec wszystkich nadziei (jeśli one jeszcze się tliły) na przemiany w Związku Sowieckim.

Następuje nowy etap. Już nie tylko przygotowywanie ale nawet rozpowszechnianie „Samizdatu” staje się przestępstwem. Jednocześnie zmienia się również charakter rozpowszechnianych utworów. Prawie całkowicie znika literatura piękna („W kręgu pierwszym” Sołżenicyna ukazało się wcześniej), powstaje natomiast publicystyka naukowa (książka Zoresa Miedwiediewa o kulcie Łysienki w okresie kultu Stalina) opracowania historyczne (trzytomowa biografia Stalina, napisana przez Roy’a Miedwiediewa), traktaty polityczne i — w dużej ilości protesty i apele do kierownictwa partii, rządu, do światowej konferencji partii komunistycznych, do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Dopóki „Samizdat” był w pierwszym rzędzie literaturą piękną — jego ocena nie przedstawiała specjalnych trudności. Było zupełnie jasne, że sowiecka literatura szła jakby dwoma potokami: jeden — oficjalny, bezpłodny i nieciekaw; drugi — nieocenzurowany, obejmujący utwory godne zajęcia miejsca w jednym rzędzie z książkami najlepszych rosyjskich pisarzy.

Zmiana charakteru „Samizdatu”, pojawienie się w nim tego co można by nazwać literaturą polityczną, zmusza do innych ocen. Teraz można i trzeba zadać pytanie: Co dalej, jakie są poglądy autorów traktatów politycznych i artykułów, jaki jest ich program? Po zapoznaniu się z materiałami rozpowszechnianymi w „Samizdacie” w ostatnich latach — 1968-1969 — zarysowuje się wyraźnie zjawisko istnienia najróżniejszych poglądów: „czysto leninowskich” (Piotr Grygorenko, Aleksiej Kostierin), religijnych — wszechrosyjskiego socjalistyczno-chrześcijańskiego stowarzyszenia (Władimir Ogurcow, Michaił Sado i inni) i otwarcie faszystowskich (grupa F. Fietisowa).

Wszystkie te grupy występują ze swoimi programami, rozpowszechnianymi w „Spiskach”. „Bolszewicy-leninowcy” ostro krytykują reżym stalinowski i obecne warunki życia w kraju, domagają się „powrotu do Lenina”, do bolszewickich ideałów pierw-

szych lat porewolucyjnych. „Socjal-chrześcijaństwo” uważają za niezbędne powstanie w kraju demokracji, wyborów głowy państwa odpowiedzialnej przed parlamentem i stworzenie biura Rady Kontrolnej przedstawicieli duchowieństwa, mającej prawo weta. Mówią oni o konieczności zlikwidowania kołchozów przy zachowaniu przez państwo własności ziemi. Grupa Fietisowa włączyła do swego programu żądanie wznowienia patriarchalnej wspólnoty w europejskiej Rosji, zrezygnowania z uprzemysłowienia a nawet dezindustrializacji. Fietisow i jego zwolennicy widzą historię ludzkości jako historię walki chaosu z porządkiem, przy czym personifikacją chaosu są dla nich Żydzi, a porządku — narody germańskie i słowiańskie. W rezultacie uważają oni reżymy Hitlera i Stalina za historyczną konieczność, za zjawisko pozytywne. Wiele z poglądów Fietisowa było wyłożonych w memorandum ogłoszonym w *Kulturze* (Nr 3/233, 1967) pt.: „Charakterystyczny dokument”.

Duża część materiałów rozpowszechnianych przez „Samizdat” to protesty i petycje. Ma się wrażenie, że „Samizdat” żywi się własną krwią, że zjada sam siebie. Powstaje błędne koło: aresztowania — protesty — aresztowania podpisujących protesty. KGB prowadzi jasno sprecyzowaną politykę: w pierwszym rzędzie aresztowani są autorzy programów, kierownicy i członkowie podziemnych organizacji — aresztowano gen. Grygorenko (Aleksiej Kostierin niedawno umarł), Ogurcowa i jego następców, aresztowano Fietisowa i trzech jego zwolenników (zamknięci w domu wariatów). Potem — w drugiej kolejności — aresztuje się najbardziej aktywnych protestowiczów (Krasnow-Lewitin, Iwan Jachimowicz i inni); „strażnicy ładu” pozostawiają jednak wąski strumyczek „Samizdatu” gdyż przy jego pomocy bardzo łatwo poznać krąg niezadowolonych.

I tu powstaje szereg zapytań, które można by określić „Samizdat i Zachód”. Dlaczego na Zachodzie tak dużo mówi się i pisze o „Samizdacie”, komu to jest potrzebne, jaką drogą „samizdackie” materiały pojawiają się w prasie zachodniej prawie jednocześnie, a czasami i wcześniej, niż w Związku Sowieckim? Na te wszystkie pytania można odpowiedzieć tylko przypuszczeniami i dlatego zostawimy je w spokoju. Ale antologia, wydana przez „La Verité”, opracowana i poprzedzona przedmową trockistów pozwala przypuszczać że „Samizdat” na Zachodzie zaczyna być wykorzystywany przez różne organizacje w ich własnych interesach, nie mających nic wspólnego z pomocą dla opozycji w Związku Sowieckim.

Trockiści opracowali Antologię z podtytułem: „Głos komunistycznej opozycji w ZSSR”, z jasno konkretnym celem wykazania, że mają w Związku Sowieckim ogromną ilość zwolenników, że tam — tuż tuż — pojawi się nowa partia, ma się rozumieć typu trockistowskiego. W tym celu Antologia rozpoczyna się artykułem Lwa Trockiego: „Dlaczego Stalin zwyciężył opozycję?”. Potem idzie list b. agenta OGPU-NKWD — Ignacego Reissa, który zerwał w 1937 roku ze Stalinem i przeszedł do Trockiego. Potem

list do Stalina jednego z przywódców Październikowej Rewolucji, Fiedora Raskolnikowa, który zerwał z „wodem narodu” w 1939 roku, a następnie rozdział ze wspomnieniem niemieckiej komunistki Brygity Garland, aresztowanej w 1946 roku, która spędziła 8 lat w łagrach workuckich. (Nawiasem należałoby zaznaczyć że z tych materiałów w „Samizdacie” rozpowszechniany był tylko list Raskolnikowa).

W następnych rozdziałach dano „samizdatowski” materiał głównie z ostatnich lat — ciągle z tym samym celem — wykazania istnienia w Związku Sowieckim poważnej partii trockistowskiej. Z tego powodu wybór materiałów jest bardzo tendencyjny, określa się wszystkie grupy opozycyjne jako w zasadzie trockistowskie (nawet wszechrosyjskie socjalistyczno-chrześcijańskie stowarzyszenie). Sugeruje się, że wszystkie krytyczne poglądy — nawet poglądy Siniawskiego — są inspirowane Trockim. W tym celu usunięto wszystkie wzmianki o takich grupach i poglądach, których już w żaden sposób nie można było zaliczyć do trockistowsko-marksistowskich (np. grupa Fietisowa).

Ciekawe, że organ NTS'u, miesięcznik *Possiev*, ogłaszający w języku rosyjskim wiele „samizdatowskich” materiałów, twierdzi, że cała opozycja w Związku Sowieckim ma charakter NTS-owski, czyli, jak to oni mówią — solidarystyczny.

Obiektywne zaznajomienie się z materiałami rozpowszechnianymi „Samizdatem” nie daje podstaw do takich stwierdzeń. Nie można nazwać powstającej w Związku Sowieckim opozycji ani trockistowską ani „solidarystyczną”. Istniejący w ZSSR — w bardzo jeszcze wąskim kręgu — polityczny ferment z miejsca rozpadł się na wiele wrogich sobie kierunków. Który z nich wytrzyma próbę życia — trudno jest przewidzieć. I nie ma żadnych dowodów, że będzie nim właśnie postępowy ruch demokratyczny. W tej chwili jest on najbardziej znany, gdyż do niedawna wystąpienia w obronie linii „czysto-leninowskiej” wydawały się najbardziej bezpieczne.

Tymczasem można jedynie powiedzieć, że wykorzystywanie na Zachodzie „samizdackich” materiałów w celach interesownych — niewątpliwie idzie na rękę KGB. Wydany przez trockistów „Samizdat”, czy ogłoszenie przez *Possiev* oświadczenia o „solidarystycznym” charakterze tych materiałów, pozwoli KGB na nie szukanie dodatkowych dowodów dla osądzenia opozycji.

Adam KRUCZEK

W sowieckiej prasie

Nowy rok zaczął się w Związku Sowieckim bez tradycyjnych, zwycięskich fanfar. W grudniu 1969 roku odbyło się najpierw plenum KC, a potem zebranie Najwyższego Sowietu ZSSR, na któ-

rych podsumowano żałosne wyniki. Plan na rok 1969 był niewykonalny zarówno w przemyśle jak i w gospodarstwie wiejskim. Zastępca przewodniczącego Rady Ministrów, Mikołaj Bajbakow, występując na zebraniu oświadczył, że urodzaj w 1969 roku wynosił 160,5 milionów ton. Co prawda, w listopadzie na III zjeździe kołchoźników Breżniew mówił, że osiągnięte zbiory równają się średniej za szereg ostatnich lat, zaś średni urodzaj wynosi 152 miliony ton, tym niemniej cyfra podana przez Bajbakowa jest niższa od cyfry urodzaju z poprzedniego roku: w r. 1968 zebrano 169,2 milionów ton, a plan na 1970 r. przewidywał zbiór 180 milionów ton ziarna, co jest cyfrą całkowicie nieosiągalną.

Nieprowadzenia dotknęły również sowiecki przemysł. Nie wykonały planu główne działy przemysłu ciężkiego, „rewolucja samochodowa” jest odłożona, gdyż budowę zakładów FIAT’a w mieście Togliatti zatrzymano na okres roku, a może nawet i na dłużej.

Raport Breżniewa na plenum KC, poświęcony zagadnieniom ekonomicznym, nie był opublikowany, ale 13 stycznia 1970 *Prawda* zamieściła wielki artykuł wstępny, w którym wyłożono główne tezy raportu generalnego sekretarza. W artykule przyznaje się na przykład, że „w szeregu republik i okręgów kraju dopuszczono do nieuzasadnionego spadku pogłowia bydła i drobiu, produkcji mięsa, mleka i jaj, wskutek czego zaczęły powstawać trudności w zaopatrzeniu ludności w żywność, specjalnie w wielkich centrach przemysłowych”.

Jeśli wziąć pod uwagę, że w małych centrach, tj. w miastach i miasteczkach, te trudności istniały zawsze, to rozmiar tych „trudności” staje się jasny.

Niemniej ostro krytykuje *Prawda* (powtarzając za Breżniewem) sytuację w przemyśle, mówiąc o „obniżeniu tempa rozwoju szeregu działów przemysłowych, powolnym wzroście wydajności pracy i efektywności dochodu społecznego”. Sądząc z informacji prasy zagranicznej Breżniew w swoim raporcie powiedział nawet, że panujące obecnie w przemyśle stosunki wytwórczości hamują rozwój sił produkcyjnych. W myśl nauki Marksa w takich wypadkach następuje rewolucja wyzwalaющая siły produkcyjne z hamujących je starych stosunków wytwórczości. W artykule *Prawdy* powtarza się z naciskiem, że jest koniecznością zreformowanie systemu zarządzania ekonomią, lecz jednocześnie podkreśla się, że problemy kierownictwa to są problemy polityczne.

Powstaje błędne koło w którym już od pół wieku kręci się państwo sowieckie. „Po co było likwidować kapitalizm w październiku 1917 roku i budować socjalizm przez szereg lat, jeśli nie możemy osiągnąć tego, by ludzie u nas żyli w dobrobycie. Socjalizm nie oznacza nędzy i wyrzeczeń... Komu potrzebny taki, za przeproszeniem, socjalizm?” Tak — niezmiernie rozsądnie — mówił Stalin w 1932 roku, na XVII zjeździe partii. Cwierć wieku później, w roku 1957, szczęście, tj. likwidacja nędzy i wyrzeczeń, zdawała się być tuż, tuż, za rogiem. „W rezultacie zrealizowanych w ostatnich latach dyrektyw, nasze gospodarstwo wiejskie znaj-

duje się na takim poziomie rozwoju, że może z powodzeniem wykonać zadanie osiągnięcia w najbliższych latach poziomu Stanów Zjednoczonych Ameryki w produkcji mięsa, mleka i masła na głowę ludności”. — To mówił optymista, Chruszczow. Minęło dalszych 12 lat i 6 lutego rb. — w kolejnym artykule wstępnym, poświęconym trudnościom ekonomicznym, *Prawda* oświadcza, że według zebranych przez nią informacji w wielu sklepach nie można dostać igieł, nici, szklanek, zapalek... *Prawda* domaga się, by w setną rocznicę urodzin Lenina w sowieckich sklepach pojawiły się igły i zapalki.

Rzuca się w oczy różnica między wielkimi hasłami Stalina, obiecującego likwidację nędzy i wyrzeczeń, Chruszczowowa, obiecującego nakarmić ludzi mięsem i mlekiem, a zadaniami jakie stawia przed sobą obecne kierownictwo kraju. To jest nowa koncepcja, wyłożona w tezach KC KPZS, w rocznicę leninowską. W tezach wyraźnie powiedziano: „Pełniej i głębiej zbadać uzasadnienie i wykonalność. Nie można rozpowszechniać „ulgowego” pojęcia o walce za komunizm”.

Chruszczow obiecał zakończyć budowę komunizmu w 1980 r. Breżniew-Kosygin chcą tylko sprecyzować „wykonalność” samego zadania budowy komunistycznej gospodarki.

Nowy kurs — nie obiecywać więcej złotych gór, mówić nawet o niektórych trudnościach, których już w żaden sposób nie można ukryć przed społeczeństwem, przekonać, że z pomocą wazeliny można wyleczyć rakową narośl, zjadającą organizm.

Po około półtoramiesięcznym „zawieszeniu broni” artykuły o Chinach znów zajęły poczesne miejsce w pismach. Są one poświęcone jednemu tematowi: psychozie wojennej w Chinach. Artykuły te przekonywują sowieckiego czytelnika, że Chiny żyją wyłącznie przygotowaniem się do wojny. 10 stycznia *Prawda* pisała, że pekińscy przywódcy umyślnie stwarzają w kraju atmosferę ostrego kryzysu, by odwrócić uwagę narodu od poważnych trudności gospodarczych i politycznych i rosnącego niezadowolenia społeczeństwa (*Prawda* wie, jak to się robi!).

21 stycznia *Czerwona Gwiazda*, organ ministerstwa wojny, pisała, że Chiny dążą do światowej hegemonii i prowadzą w stosunku do swoich sąsiadów agresywną i awanturniczą politykę.

Tego samego dnia *Literaturnaja Gazieta* ogłosiła artykuł „Paroksyzmy wojennej psychozy”, w którym stwierdza się, że chińskie kierownictwo rozdmuchuje wojenną histerię, próbując porządkować teatr i film swoim awanturniczym celem.

23 stycznia *Komsomolskaja Prawda* przestrzegała: „Poważne niebezpieczeństwo grozi chińskiej młodzieży — nieustannie wbi-ja się jej w głowy myśl, że tylko wojna może ją uchronić od obecnego, rozpaczliwego położenia”.

Jest niewątpliwie jasne, że w przygotowaniu wojny — jak pisała *Prawda* 6 stycznia — Chiny podtrzymują waszyngtońskie jastrzębie i bońscy odwetowcy.

Jedyna dziedzina życia sowieckiego, w której osiąga się zwycięstwo za zwycięstwem — to dziedzina kultury! Chyba tylko w najgorszych latach stalinowskiego reżymu było tak pusto na ekranach kin i na scenach teatrów, w czasopiśmie, w książkach. Lecz obecnym kierownikiem „kulturalnego” życia wszyściego jest mało. Redaktor miesięcznika *Moskwa*, Michaił Aleksiejew, wystąpił 7 stycznia na zebraniu moskiewskiego partyjnego aktywu. Aleksiejew niedawno wrócił z podróży do Stanów Zjednoczonych i w pierwszym rzędzie zakomunikował swoim słuchaczom, że „czytelniczy rynek Ameryki jest zalany paszkwilami Sołżenicyna, nielegalnie wysłanymi za granicę”. Po tym, mimochodem zrobionym, donosie, Aleksiejew przeszedł do spraw bardziej poważnych. Wystąpił on przeciwko intelektualizmowi, ciesząc się, że w walce z nim ma coraz więcej i więcej zwolenników. „Mają rację ci towarzysze — oświadczył, niestety nie podając nazwisk tych towarzyszy — którzy wreszcie zrozumieli, że pojęcie intelektualizm w rzeczywistości przekreśla wszystkie społeczne horyzonty i instynkty oraz — świadomie czy nieświadomie — pokrywa się z propagowaniem aspołeczności, apolityczności sztuki. Oto dlaczego jesteśmy zmuszeni zachować najwyższą czujność w stosunku do rodzaju 'teorii'”. Jeśli by znany pisarz sowiecki, M. Aleksiejew, był bardziej oczytany, to niewątpliwie dodałby: kiedy słyszę słowo „intelektualizm” — wyciągam pistolet. Zresztą i bez tego jego przemówienie było wystarczająco przekonujące.

Duża część 5-go numeru *Literaturnoj Gazety* poświęcona jest Czechosłowacji. Dobór artykułów, wywiadów, esejów jest objęty wspólnym tytułem: „Mówią czechosłowaccy przyjaciele”. Wszystko zostało napisane przez czechosłowackich dziennikarzy, ekonomistów itd. Smutny to obraz. Zastępca premiera Czechosłowacji, Wacław Gula, w wywiadzie poświęconym zagadnieniom ekonomicznym jak gdyby przestrzegał sowieckich czytelników — reformy ekonomiczne prowadzą do reform politycznych. I przekonuje, że po usunięciu prawicowych rewizjonistów wszystko będzie dobrze, nawet — można powiedzieć — już jest dobrze: „Czechosłowacja jest jednym z najbardziej przemysłowo rozwiniętych krajów — oświadcza. I dodaje: „a osiągnęła to jedynie w skutek wyższości socjalistycznego systemu ekonomicznego”.

Niejaki Jaroslav Modry, w artykule „Telewizja — rok próby”, wymienia po nazwisku tych, którzy byli przyczyną wszystkich nieszczęść jakie przeżył kraj — dziennikarze, współpracownicy czechosłowackiej telewizji. Obawiając się, że ich nazwiska mogą być niedostatecznie wymowne dla sowieckiego czytelnika, stara się im pomóc i pisze, na przykład, tak: „Mniej więcej od 1963

roku zaczął pracować w telewizji Bedrzych Rohan (z bogatej rodziny Rotbaumów...)”.

Zastępca naczelnego redaktora *Rudego Prawa*, Jaroslav Koryzinek, kończy ze łzami w głosie swój wzruszający reportaż o spotkaniu chłopów z jego rodzinnej wsi z żołnierzami sowieckimi, którzy tam stacjonują: „W każdej rodzinie znów swój bliski człowiek — Iwan, Sasza, albo Kola. I to dobrze. Bardzo dobrze! I dla mojej rodzinnej wsi i dla całej socjalistycznej Czechosłowacji”.

Ciekawe, że już po wygonieniu z telewizji Rohanów i im podobnych, studia dubbingu czechosłowackiej telewizji nie mogły wypuścić na ekrany ani jednego filmu pochodzącego z krajów socjalistycznych — aktorzy odmówili dublowania. J. Modry zapewnia czytelników sowieckich, że to się wkrótce zmieni.

W swoim czasie pisałem w jednym z przeglądów prasy o dyskusji w kołach literackich, poświęconej słowianofilom. W nrze 12 pisma *Waprosy Literatury* znajduje się reasumpcja tej dyskusji. Teraz nie ma już żadnej wątpliwości (jeśli w ogóle mogły być kiedykolwiek przedtem) że w dyskusji o słowianofilstwie wypracowuje się nową ideologię, która — kto wie? — może z czasem zastąpić w Związku Sowieckim ideologię komunistyczną.

„Sens słowianofilstwa — pisze W. Koryznow — polega na utwierdzeniu zasadniczej samoistości Rosji, jej sposobu życia, jej kultury, a przede wszystkim samej rosyjskiej myśli”.

Gwałtowny krytyk słowianofilstwa, S. Pokrowskij, przyznaje, że „słowianofile występowali w obronie swobody myśli i słowa... Zdecydowanie występowali przeciwko martwemu formalizmowi biurokracji, bronili nienaruszalności prywatnego życia, jego niezależności od poglądów władzy...”. Czyż zły to program? A w artykule A. Janowa znajdujemy nawet objaśnienie metody wykorzystywania oficjalnej ideologii dla jej osłabienia.

„Na gruncie tych samych narodowych uczuć, które próbował niepodzielnie zmonopolizować Uwarow, oni (słowianofile) rozgromili oficjalny mit, że carska władza jest ośrodkiem całego społecznego życia narodu. W imieniu „prostego ludu” gwałtownie zakwestionowali oni rolę państwa monarchistycznego w regulowaniu moralnych procesów w społeczeństwie, zażądali aby nie mieszało się ono do życia narodu. Pozbawili despotyzm jego głównych historycznych i patriotycznych sankcji, jego wspaniałych ideowych szat i wystawili na wstyd i ośmieszenie jako „typ” — słowami I. Aksakowa — policyjnego państwa.

Odwrociwszy do góry nogami triadę, stawiając „narodowość” wyżej „samodzierżawia” a „prawosławie” wyżej „narodowości” — słowianofile szukali i znajdowali taką broń przeciwko despotyzmowi, jakiej nie mieli i nie mogli mieć zwolennicy Zachodu. „Uderzyli w najbardziej czułe miejsce zasadniczej ideologii rozbi-

jając jej nacjonalistyczną symbolikę, a tym samym pozbawiając ją władzy nad wieloma patriotycznie nastawionymi umysłami".

Trzeba przyznać, że taki program może mieć wielu naśladowców. Jego przeciwnicy przeciwstawiają jedynie argumenty typu „policyjnego” — a więc że słowianofilstwem fascynują się autorzy *Wiechi* i Bierdiajew, że „na Zachodzie obecnie wiele pisze się o słowianofilach. Słowianofile cenieni są tam przez naszych ideologicznych przeciwników”.



O niezwyklej jałowości współczesnej literatury pisałem już wyżej. Wystarczy powiedzieć, że państwową nagrodę Rosyjskiej Republiki za rok ubiegły otrzymał za „poetycką twórczość” niejaki Sergiej Smirnow, znany z kursującego o nim epigramu:

*Poeta garbaty.
Wiersze jego garbate.
Kto winien?
Żydz! winni.*

Z utworów prozą zwraca na siebie uwagę powieść Władimira Tiendriakowa „Apostolskaja komandirowka”, ogłoszona w czasopiśmie *Nauka i religia* (Nry 8-10, 1969). Jest to historia Julia Rylnikowa, stosunkowo młodego człowieka, mającego niezłą pracę, przyzwoite mieszkanie, w którym mieszka wraz z żoną i córką. Ma on wszystko to, o czym marzą miliony sowieckich obywateli, i — zdobywszy to minimum — uwolniwszy się od trosk życia codziennego — zaczyna myśleć o sensie życia. I dochodzi do wiary w Boga. Potem, co prawda, pisarz „demaskuje” religię. Ale ważne jest nie zakończenie (Kto wie czy bez niego powieść w ogóle mogłaby się ukazać w druku), ważne jest założenie: — gdy tylko człowiek zdobędzie wreszcie kawałek chleba, to od razu przekonuje się, że żyje nie tylko dla chleba i zwraca się ku religii...



Z religią jednak władza sowiecka prowadzi walkę, na froncie której może odnotować poważne sukcesy, aczkolwiek „wróg” nie dał się zniszczyć do końca. Ale w walce z drugim „przeżytkiem przeklętej przeszłości” władze spotkają tylko porażki. W samym tylko styczniu *Prawda* zamieściła cztery dokumentacje, poświęcone konieczności walki z pijaństwem. Píše o tym *Trud, Literaturnaja Gazieta*, píše cała prasa. „Niszczenie socjalistycznej własności, nieusprawiedliwione opuszczanie pracy, nadużywanie napojów alkoholowych” — w takiej kolejności wylicza się w *Prawdzie* (11. I. 70) główne ułomności socjalistycznego społeczeństwa. Jest to tym dziwniejsze, że Władimir Iljicz Lenin twierdził, iż „klasa robotnicza jest klasą wschodzącą, która nie odczuwa potrzeby upijania się”. A okazuje się, że jednak wschodzącej klasie po-

trzebny jest alkohol. I to nie tylko lekkie „zamroczenie”, o którym piszą z Tallina, gdzie dyrektorzy dwóch największych w mieście kawiarni obliczyli, że klienci wypijają u nich przeciętnie po 50 gramów koniaku na człowieka. To nie byłoby nic strasznego! Oleg Wołkow w *Literaturnoj Gazecie* píše o „przeklętym kielichu” (tu już nie idzie o nieszczęsne 50 gramów). Apeluje on: „Zbyt długo udawaliśmy, że go nie widzimy (tego kielicha), zadawając się pocieszającą formułką: „spadek po przeklętej przeszłości”. Przez bardzo długi okres uważaliśmy (jak okazało się bez dostatecznych podstaw), że pijaństwo to skutek pozbawienia praw biedaków w społeczeństwie kapitalistycznym, że w dawnych czasach nieszczęśliwych skłaniała do picia konieczność zapomnienia, brak perspektyw życia w kleszczach gniołącego ich ustroju”. Niestety nikt z licznych autorów, piszących na ten aktualny temat, nie wyjaśnia dlaczego pije się teraz. Zresztą Oleg Wołkow radzi, by wykorzystać w walce z alkoholizmem doświadczenie Polski...

Adam KRUCZEK

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIENIE POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Dylematy sowieckiej współczesności

Głównym dylematem chwili obecnej jest kwestia czy Związek Sowiecki zerwie z dziedzictwem stalinizmu. Bez zerwania ze stalinizmem i jego tradycjami, rozeznanie problemów własnego społeczeństwa jak również zbliżenie własnego kraju do spraw nurtujących współczesny świat będzie dla przywódców sowieckich dziełem niesłychanie trudnym. Zerwanie ze stalinizmem nie wymaga bynajmniej ani odejścia od marksizmu ani od socjalizmu. Oznaczałoby ono jedynie przemianę obecnego systemu politycznego, odzwierciedlającego i podtrzymującego relikty anachronicznej ideologii w taki system rządów, który by zbliżył Sowiety do pluralistycznych i humanistycznych prądów naszych czasów. Można by bez żadnej przesady stwierdzić — choć wielu antykomunistów niechętnie uznaje oczywistość tego faktu — że pokój świata zależy w dużej mierze od tego czy Związek Sowiecki przywróci marksizmowi jego zachodnioeuropejskie tradycje — z którymi zerwał orientalny w swym charakterze leninizm-stalinizm. Przywrócenie ich żadną miarą nie może uchodzić za odstępstwo od nauki Marksa i Engelsa.

Choć zmiany ideologiczne w Sowietach wiążą się nieuchronnie ze zmianami społeczno-ekonomicznymi, byłoby oczywistym błędem sądzić, że te drugie stanowiłyby czynnik determinujący zmiany w „politycznej nadbudowie”. Schemat marksistowskiej analizy jest w każdym razie nieprzydatny, jeśli chodzi o zrozumienie mechanizmów rządzących sowieckim społeczeństwem, w którym właśnie polityczna „nadbudowa” określa aktualnie ekonomiczną „bazę”. Na przemiany polityczne w Sowietach wpłynie niewątpliwie ukształtowanie się nowej społecznej elity, okazującej większe zrozumienie dla technologii i problemów naukowych. Niemniej, jeszcze bardziej oddziaływać tu mogą dwa inne czynniki: pierwszy — to zmiany charakterologiczne i światopoglądowe w łonie zawodowej elity biurokratycznej i drugi — to kwestia w jakiej mierze uda się rządzącej elicie uporać z problemami wewnętrznymi Związku Sowieckiego.

Problemy te dotyczyć będą zarówno wydajności produkcji, racjonalnego, pod względem ekonomicznym, zarządzania przemysłem jak i fermentów polityczno-ideowych. Choć nie ma wątpliwości, że w ciągu nadchodzących lat nastąpi dalszy gospodarczy wzrost Związku Sowieckiego, jest wątpliwe czy wzrost ten, zabezpieczający w zasadzie państwo przed jakimś poważniejszym zahamowaniem tempa rozwoju, oznaczać może zmniejszenie dystansu ekonomicznego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a ZSSR. Przeciwnie — dystans ten w cyfrach absolutnych zwiększy się w nadchodzących latach jeszcze bardziej¹. Rozwój ekonomiczny, z jednej strony niewystarczający, aby uczynić zadość ambicjom politycznym elity rządzącej, z drugiej — jeszcze w większym stopniu niż dotychczas przyczyni się do wzmożenia społecznych aspiracji ludności. Aspiracje te cechują tendencje eskalacyjne. Jest to zjawisko zrozumiałe, jeśli się zważy, że w porównaniu z Zachodem rozległe środowiska społeczności sowieckiej żyją w warunkach zgoła anachronicznych.

Rolnictwo jest najbardziej uderzającym przykładem zacofania gospodarczego Sowietów. Produkcja rolna rozwijała się szybko w ciągu ostatnich dziesięcioleci nie tylko w krajach zaawansowanych ale i w wielu stronach świata ekonomicznie zapóźnionych. Związek Sowiecki stanowił pod tym względem wyjątek. W ciągu szeregu lat produkcja rolna malała i jedynie ostatnio zaobserwować można tendencje wzrostu. Sowietcy rolnicy pracują niewydajnie, są niedostatecznie wynagradzani za swą pracę, co w efekcie musi odbić się na produkcji. Rozwiązanie zagadnienia rolnego w Sowietach jest sprawą jak najbardziej palącą, jednocześnie ze względu na jej implikacje polityczne — kwestią bardziej drażliwą od innych w sowieckim kalendarzu spraw do załatwienia².

Problemy modernizacji

Stynne osiągnięcia sowieckie w podboju przestrzeni kosmicznej, poważne postępy w niektórych działach produkcji przemysłowej

1. Można ocenić, że wartość amerykańskiej produkcji narodowej brutto przy rocznym wzroście 3,5 % wyniesie w r. 1985 ponad 1,5 tryliona dolarów. Jeśliby wzrost produkcji utrzymał się na poziomie lat sześćdziesiątych, to już w roku 1980 osiągnąłby on w USA wartość 1,7 tryliona brutto. Jeśli sowiecka produkcja rosnąć będzie w tempie wyższym niż 5 % rocznie, to w r. 1985 wartość produkcji narodowej brutto będzie poniżej 800 miliardów dolarów, a jeśli podniesie się, osiągając 7 % rocznego przyrostu, w roku 1985 dojdzie do poziomu 1,1 tryliona dolarów wartości rocznej. W ten sposób dystans między wartością wytwórczości amerykańskiej i sowieckiej nie tylko się nie zmniejszy ale powiększy się w latach 1965-1985.

2. Techniczne zacofanie sowieckiego rolnictwa oddaje procentowy udział ludności zatrudnionej na roli i w innych działach gospodarczych. Zestawienie

słowej i zbrojeniowej przysłoniły sytuację w innych sektorach ekonomicznych, która mierzona standardem potrzeb ludności współczesnego rozwiniętego społeczeństwa jest wybitnie niezadawalająca. Wedle przeprowadzonego szacunku (uwzględniając różnicowanie efektywnych wydatków obliczanych inaczej w państwach kapitalistycznych a inaczej w ZSSR) realne koszty nakładów na badania i rozwój nauki są w przybliżeniu takie same w Sowietach jak i w Stanach Zjednoczonych. Ponadto, liczba osób zatrudnionych w tych dziedzinach rośnie w Sowietach w gwałtownym tempie co jest zjawiskiem towarzyszącym wzmożonej walce o zdobycie pierwszeństwa ze strony dwóch mocarstw. Sowieckie teoretyczne odkrycia i zdobycze naukowe, w szczególności w fizyce, stanowią osiągnięcia najwyższej klasy.

Przy tym wszystkim socjalno-ekonomiczne korzyści tych odkryć są znikome. Przywódcy sowieccy okazali się ludźmi wysoce operatywnymi w zbijaniu kapitału politycznego w wyniku sukcesów ich programu kosmicznego w jego początkowych stadiach, akcentując z tej racji wyższość ustroju komunistycznego nad kapitalizmem (propaganda ta zresztą szybko przyczliła po pierwszym lądowaniu amerykańskim na księżycu). Sukcesy te jednak w niczym nie zmieniły faktu, że Związek Sowiecki ani nie był w stanie produkować asortymentu towarów o takiej jakości, które by z powodzeniem mogły konkurować na rynku światowym z artykułami dostarczającymi przez kontrahentów kapitalistycznych ani też nie był w stanie zaspokoić nimi elementarnych potrzeb własnej ludności. Nawet w stosunkowo tak technologicznie nieskomplikowanym procesie wytwórczym jakim jest produkcja samochodów osobowych, Sowiety zmuszone były do korzystania z obcej pomocy (w tym wypadku włoskiej) celem opracowania typu wozu ekonomicznego i trwałego. Ścisłe oddzielenie badań naukowych w dziedzinie uzbrojenia od pozostałych działów gospodarki narodowej przy jednoczesnym ześrodkowaniu badań w instytutach naukowych niezwiązanych z przemysłem, świadczą o tym, że żadne zmiany w organizacji nauki bądź nie nastąpiły bądź posuwają się żółtym krokiem. Ewentualnie obejmowały

to, które ilustruje poniższa tabela, opublikowana w *International Labor Review*, styczeń-luty 1967, ukazuje Związek Sowiecki daleko poza bardziej zaawansowanymi strefami świata.

Strefa	Procentowy podział siły roboczej według działów gospodarki		
	Rolnictwo	Przemysł	Usługi
Stany Zjednoczone	8	39	53
Europa Zachodnia	14	45	41
Oceania	23	34	43
Japonia	33	28	39
ZSSR	45	28	27
Ameryka Łacińska	48	20	32

one tylko badania dla celów wojskowych³. Bez względu na to czy mamy do czynienia z budową urządzeń elektronicznych, produkcją półprzewodników, laserów, tworzyw sztucznych lub z równie ważnymi działami jak psychologia pracy, socjologia, teorie ekonomiczne lub metody analizy, w najogólniejszym tego słowa znaczeniu — sowieckie zacofanie w stosunku do Zachodu jest zjawiskiem występującym niezmiennie⁴.

3. Członek Sowieckiej Akademii Nauk W. Trapeznikow ocenił, że 98 % prac badawczych odbywa się w Sowietach w instytutach naukowych, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych analogiczne badania prowadzi się bezpośrednio dla zainteresowanych gałęzi przemysłowych. Na skutek tego około 50 % sowieckich wynalazków technicznych okazuje się później przestarzałych (*Prawda*, 13 stycznia 1967). Członek Akademii W. M. Głuszkow wzywa w *Komsomolskiej Prawdzie* z 15 maja 1968 roku do „szybkiego przygotowania 'systemu menadżerów'”, w którym, jak sądzi Głuszkow, Stany Zjednoczone przodują, a którego w Sowietach po prostu nie ma. Ten sam uczony wzywa do regularnego przeszkalanania sowieckich dyrektorów fabryk, cytując ponownie amerykańskie wzory.

4. „Pewne działy, w tej liczbie program kosmiczny i niektóre projekty wojskowe jak również szereg sektorów przemysłowych produkcji żelaza i stali, są pod względem technicznym bardzo zaawansowane. Przy tym wszystkim wiele dziedzin wytwórczości, a w szczególności produkcja artykułów konsumpcyjnych, pozostają daleko poza rozwiniętymi państwami Europy Wschodniej...”

...Konkluzja, do której się dochodzi po przestudiowaniu zarówno źródeł sowieckich jak i zachodnioeuropejskich, jest następująca: z wyjątkiem niektórych wydzielonych i uprzywilejowanych sektorów produkcyjnych przemysł sowiecki w swych głównych działach jest pod względem technicznym za rozwiniętymi krajami Europy Zachodniej” (*Science Policy in the USSR*, OECD, 1969, s. 9476).

Według raportów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, Związek Sowiecki, który pierwszy wykorzystał energię nuklearną dla celów pokojowych (rok 1954), dał się w r. 1969 wyprzedzić Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii, a w roku 1975 będzie w dziedzinie rozwoju energii nuklearnej poza Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią, Japonią, Kanadą, Szwecją i NRF, przy czym energia nuklearna, mierzona w megawatach, produkowana przez ZSSR, będzie 14-krotnie niższa od energii wytwarzanej w Stanach Zjednoczonych (*Power and Research Reactors in Member States*, I.A.E.A., Vienna, 1969).

Według Burksa — „Krzywa technicznego rozwoju na Zachodzie rośnie gwałtownie. Produkcja mas plastycznych, syntetycznych tkanin, energii nuklearnej, półprzewodników, urządzeń elektronicznych, laserów następuje po sobie w procesie postępu cywilizacyjnego, który wydaje się nie mieć końca. W miarę jak procesy technologiczne na Zachodzie stają się coraz bardziej złożone, opóźnienie Europy Wschodniej w zastosowaniach wynalazków Zachodu powiększa się wraz z upływem czasu. Okres, który dzieli moment ukazania się nowego produktu czy nowego udoskonalenia technicznego na Zachodzie do chwili wprowadzenia go do produkcji w państwach Bloku Komunistycznego waha się w granicach od 2 do 15 lat z ryzykiem, że nowy artykuł może być, wedle standardu zachodniego, produktem już przestarzałym. W produkcji komputerów okres opóźnienia Związku Sowieckiego (bez państw Europy Wschodniej) wyniósł od dwóch do dziesięciu lat”. (*R. V. Burks, Technological Innovation and Political Change in Communist Eastern Europe*. Santa Monica, California, sierpień 1969 s. 8).

Dla poprawienia istniejącej sytuacji, Rząd Sowiecki zainicjował w roku 1968 szereg reform celem stworzenia bardziej sprzyjających warunków dla badań naukowych, opracowania nowej technologii i podniesienia kwalifikacji kadr kierowniczych w przemyśle. W związku z tym Centralny Komitet KPZS uchwalił w październiku 1968 roku specjalną rezolucję (w sprawie środków zmierzających do polepszenia działalności badawczej w instytucjach i organizacjach naukowych oraz szybszego wykorzystania wyników badań w Gospodarce Narodowej). W rezolucji tej podano krytykę działalność sowieckiej nauki jak również tempo wykorzystania doświadczeń naukowych w przemyśle. W konsekwencji Komitet Centralny zalecił szereg reform, które można ująć w następujących postulatach: należy nadać wyższą rangę społeczną pracownikom naukowym pracującym bezpośrednio dla zakładów przemysłowych w porównaniu z badaczami zatrudnionymi w ściśle naukowych instytucjach; należy zorganizować laboratoria badawcze związane bezpośrednio z produkcją oraz wprowadzić nagrody i system premiowania za unowocześnienie procesów wytwórczych. W myśl sformułowania użytego przez członka Akademii Nauk Trapeznikowa — „Istotnym składnikiem rezolucji jest stworzenie współzawodnictwa techniczno-naukowego opartej na wolnej wymianie nowych pomysłów i koncepcji”.

Nie jest jednak rzeczą bynajmniej pewną czy reformy te wystarczą dla wywołania twórczej i społecznie wyczuwalnej fali wynalazczości oraz jej praktycznych zastosowań. Według słów członka Akademii Nauk Kapicy — „sowieccy uczeni uznają, że twórczość naukowa wymaga atmosfery wolnej dyskusji, polemiki i nieskrępowanej wymiany idei, nawet jeśli niektóre z nich są zdecydowanie fałszywe”. Opinię tę z kolei należy odnieść do polityczno-społecznej struktury społeczeństwa sowieckiego w całości, ponieważ lokalne korektury organizacyjne w niektórych sektorach życia publicznego nie mają większego znaczenia. Studia OECD na temat polityki w nauce w ZSSR (r. 1968) ujawniły w sposób niezbity, oparte na udokumentowanej statystyce ostre dysproporcje między rozmiarami sowieckich nakładów w przemyśle a znikomymi efektami produkcyjnymi. Dane te potwierdzają pogląd, że źródłem — delikatnie mówiąc nieodpowiedzialnej polityki naukowej w Sowietach — a mówiąc po prostu — katastrofalnego stanu sowieckiej wiedzy jest centralizacja politycznej władzy⁵.

Nie ma wątpliwości, że w nadchodzących latach Związek Sowiecki będzie miał do odnotowania szereg poważnych naukowych osiągnięć zwłaszcza w prestiżowym, z punktu widzenia między-

5. Przykładem tej ostatniej może służyć afera Łysenki wraz z jej katastrofalnymi następstwami dla rozwoju sowieckiej biologii. Wyjątkowo żywa i zawierająca dużo materiału informacyjnego jest książka sowieckiego badacza Z. A. Miedwiediewa pt. „Kariera i upadek T. D. Łysenki” (przekład angielski, New York 1965). Książka Miedwiediewa, którą autor napisał w Sowietach, nigdy nie została opublikowana w ZSSR.

narodowego, programie badań kosmicznych jak również w gałęziach naukowych związanych z obronnością kraju. Sowiecka technologia wojny będzie w dalszym ciągu współzawodniczyć z amerykańską i zapewne w niektórych działach ją prześcignie. Związek Sowiecki dokona tego, dając programowi zbrojeń priorytet, traktując je jako zadanie szturmowe, mobilizując do tego celu najwybitniejszych uczonych i nie szczędząc innych środków. Do przeprowadzenia tego typu zadań struktura organizacyjna społeczeństwa sowieckiego jest szczególnie dobrze przystosowana. Niemniej nasuwa się tu zasadnicze pytanie: czy sowiecka nauka i kierownictwo partyjne są w stanie otworzyć przed społeczeństwem drogę wiodącą do opartej na osiągnięciach naukowych zaawansowanej ekonomii, która z kolei jest nie tylko warunkiem wewnętrznego postępu ale i umocnienia międzynarodowego prestiżu państwa sowieckiego.

Siły społeczne przeciwne reformom ekonomicznym i zmianom w organizacji nauki są potężne. Do nich należy w pierwszym rzędzie biurokratyczna elita partyjna, szczególnie w swej kadrze stojącej na straży ideologii. Do nich należy zaliczyć również przedstawicieli wyższej hierarchii wojskowej, obawiającej się, że decentralizacja władzy i reformy w nauce mogą przynieść uwolnienie niektórych instytucji badawczych spod kontroli wojska. Te wyższe szczeble partyjnej maszyny biurokratycznej, które rozpoczęły swój start życiowy w latach trzydziestych i którym wrota do kariery otworzyły krwawe stalinowskie czystki, są klasycznym produktem stalinowskiej ery. Do opozycji, sprzeciwiającej się poważniejszym zmianom i reformom, wbrew opinii Zachodu, należy — choć brzmi to paradoksalnie — elita techniczna zgromadzona w kadrze kierowniczej zarządzającej przemysłem. Obecne bowiem pokolenie „menadżerów”, wychowane przez długie lata w warunkach ściśle określonej hierarchii i zdefiniowanych kompetencji, nie jest bynajmniej chętne do podejmowania ryzyka jakie z natury rzeczy niesie ze sobą system rozszerzonej decentralizacji, którego istotnym składnikiem byłaby wolna konkurencja talentów. Jest rzeczą godną uwagi, że propozycje reform gospodarczych powstają z reguły w środowiskach ekonomistów — teoretyków niezwiązanych bezpośrednio z procesami wytwórczymi.

Wolność i protest

Problem wolności intelektualnej prowadzi nas bezpośrednio w dziedzinę polityczno-ideologicznych rozważań. Jest w tej chwili rzeczą niemożliwą wyrobić sobie zgodny z faktami pogląd na to jak dalece popularne były akty pryncypialnego antyortodoksyjnego protestu w ZSSR w późnych latach sześćdziesiątych i na

początku siedemdziesiątka⁶. W drugiej połowie 1968 roku dwa kolejne wydania „Problemów komunizmu” poświęcone były głównie podziemnej działalności pisarskiej, petycjom, protestom i apełom kierowanym przez dysydenckich sowieckich intelektualistów. Lektura tych materiałów mogła wzruszyć czytelnika głęboko podobnie jak i oddzielnie publikowane dokumenty redagowane przez ukraińskich intelektualistów, wyrażające protest przeciwko uciskowi jakiegoś ofiarą padł ich kraj. Wszystko to świadczy o aktywnym istnieniu grupy przedstawicieli środowisk intelektualnych o dość jasno sprecyzowanych celach. Siedliskiem ich są głównie Moskwa i Leningrad. W wielu wypadkach są to potomkowie sowieckiej elity rządzącej, a jeszcze częściej są to dzieci wybitnych działaczy komunistycznych wymordowanych w czasie czystek. Wprawdzie pewna liczba aktywnych opozycjonistów została skazana w czasie zamkniętych lub otwartych dla publiczności rozprawach w Moskwie lub Leningradzie, nie powstrzymało to jednak pozostałych przed kontynuowaniem działalności protestacyjnej. Z dużym osobistym ryzykiem akcja ta została wznowiona po okupacji Czechosłowacji przez Sowiety.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa zarówno intelektualiści-dysydenci jak i ortodoksyjni opozycjoniści pozostaną przez jakiś czas izolowaną grupą. Podobnie jak ich XIX-wieczni poprzednicy w obecnej chwili nie są oni w stanie znaleźć w społeczeństwie szerszego poparcia. Masę ludności miejskiej, którą dzieli tylko jedno pokolenie od wsi, charakteryzuje ortodoksyjna wiara w istniejący porządek społeczny, mieszczący się w prymitywnym schemacie internacjonalistycznej ideologii. Ponadto, ta część ludności odczuwa w jakimś sensie awans społeczny, którym obdarzył ją obecny system. Co więcej, Partia przez swoje pochodzenie społeczne i swój sposób myślenia jest bliższa masom niż intelektualiści.

Specjalnie drastyczne formy przybiera potęgujące się niezadowolenie wśród nie-rosyjskich narodowości Związku Sowieckiego. Polityczna wymowa tego zjawiska nie jest na ogół doceniana przez amerykańskich ekspertów od spraw sowieckich. W tym punkcie należy przypomnieć, że około połowa mieszkańców Związ-

6. Jest rzeczą bardzo ważną uprzytomnienie sobie różnicy pomiędzy opozycją pośrednią, taktyczną a opozycją pryncypialną skierowaną przeciw oficjalnym dogmatom Partii. Obserwatorzy zagraniczni Związku Sowieckiego tracą niejednokrotnie to rozeznanie, przypisując taktycznym dysydemtom nadmierny heroizm i ryzykanctwo, zaś pobłażanie władz interpretują jako nieomylną oznakę odejścia od leninowsko-stalinowskich tradycji. Klasycznym przykładem opozycji taktycznej jest Jewgienij Jewtuszenko. Jego „opozycja” jest w swym charakterze wybitnie taktyczna. Celem jej jest doprowadzenie do zgodnego współżycia politycznej władzy ze społeczeństwem, bez żadnych prób zaangażowania się w pryncypialną krytykę, która pociągałaby za sobą postulat rewizji istniejącego politycznego systemu władzy. W przeciwieństwie do tego, Aleksander Sołżenicyn i Borys Pasternak, którzy w swych dziełach zawarli bardziej gruntowną próbę analizy historycznych źródeł obecnego systemu, stali się przedmiotem surowej krytyki ze strony czynników oficjalnych.

ku Sowieckiego — to nie Rosjanie i że wiele z tych narodowości posiada głębokie poczucie odrębności terytorialnej, kulturalnej, własnego języka i przeszłości historycznej. Inteligencja tych nie-rosyjskich grup narodowościowych, prawie całkowicie wychowana w nowych ustroju, choć niekoniecznie w swej postawie secesjonistyczna, skłonna jest do coraz wyraźniejszego akcentowania narodowych odrębności. Zaczyna ona domagać się udziału w podejmowanych decyzjach i większych korzyściach materialnych. Wraz z tym rośnie w niej świadomość niebezpieczeństwa rusyfikacji. Wpływy rusyfikacyjne są w ogóle bądź świadomie wspierane przez Moskwę bądź stanowią naturalny skutek uprzemysłowienia i modernizacji. Oficjalne sowieckie dyskusje nad tym problemem jak również ataki czynników urzędowych i partyjnych skierowane przeciw lokalnym nacjonalizmom, świadczą o tym, że sowieckie kierownictwo uświadamia sobie rosnące niebezpieczeństwo separatyzmu. Wskazuje zresztą na to fakt, że pewna liczba zaangażowanych w sprawy narodowe intelektualistów nie-Rosjan została skazana przez sowieckie sądy. Choć do chwili obecnej rządowi sowieckiemu udało się ograniczyć nacjonalistyczne tendencje do stosunkowo niewielkich grup inteligentnych, przy dość niesprecyzowanej w tym wypadku postawie władz lokalnych, problem narodowościowy nabiera coraz większego znaczenia. Przyczyną tego jest skądinąd dobrze znany fakt, że tendencje nacjonalistyczne tolerowane czy tępiące mają tendencje wzrostu i udzielania się coraz większym liczebnie środowiskom. Okoliczności te wskazują na to, że w ciągu nadchodzących lat Związek Sowiecki może stanąć w obliczu zagadnienia, którego rozmiary przekroczą kaliber kryzysu rasowego, z jakim borykają się Stany Zjednoczone.

Ideologiczny ferment i niezadowolenie w środowiskach naukowych były wydarzeniami, które ostatnio najbardziej poruszyły kierownictwo partyjne ZSSR. Pierwszym dokumentem świadczącym o tym fermentcie, który objął sowieckie środowiska naukowe, był znany manifest napisany przez wybitnego sowieckiego fizyka nuklearnego Andrzeja Sacharowa, a który dotarł na Zachód w połowie 1968 roku. Treść manifestu została później zmieniona przez autora na skutek komentarzy publikowanych w krajach Zachodu. Fakt, że reakcja władz sowieckich nie przybrała zwykłej w podobnych wypadkach publicznego potępienia z umieszczeniem pod oskarżającą deklaracją nazwisk kolegów uczonego i że autora manifestu skrytykowano tylko pośrednio bez wymienienia jego nazwiska, wskazywałyby na to, że rząd starał się w tym całym wydarzeniu uniknąć bezpośredniej konfrontacji z opinią i publiczną dyskusją.

Dokument Sacharowa ma swą głęboką wymowę nie tylko dlatego, że stanowi wyzwanie pod adresem ortodoksyjnej ideologii Partii ale i przez to, że stara się przedstawić inną wizję przyszłości od oficjalnej, do której przywykł obywatel sowiecki. Manifest Sacharowa ukazuje rzeczywistość sowiecką taką jaką ona jest, czyniąc z niej gotowy cel dla najostrzejszej krytyki. Najważniejsze założenie Sacharowa, będące fundamentem jego manifestu, da

się streścić w jednym zdaniu: „Negowanie prawa do współistnienia na świecie nie tylko różnych narodów ale i różnych ideologii jest szaleństwem lub zbrodnią”. Sacharow kategorycznie odrzuca wszelkie ograniczenia swobody intelektualnej potępiając „skostniały dogmatyzm zbiurokratyzowanej oligarchii oraz jej ulubioną broń — polityczną cenzurę”. Piętnując podporządkowanie umysłów-woli „centralnego partyjnego aparatu i jego funkcjonariuszy”, zapytuje: „Kto może zagwarantować, że funkcjonariusze ci reprezentują w rzeczywistości interesy mas pracujących i postępu a nie są wyrazicielami swych własnych kastowych celów?”.

Dokument Sacharowa jest jeszcze dlatego godny uwagi, że zaznaja nam z spojrzeniem na świat górnych warstw naukowo-intelektualnej elity, które różni się wybitnie od perspektyw rozpatrzanych przez czynniki oficjalne. Przy tym wszystkim nie należy nadmiernie przeceniać wagi społecznej tych różnic. Poglądy Sacharowa są nie tylko niedostępne dla większości sowieckich obywateli umiających czytać ale również dla przeważającej części intelektualistów. Można przyjąć, że w takich okręgach jak Moskwa, Kijów, Leningrad, Akademiogród, Obninsk, w których jest większe zagęszczenie środowisk intelektualnych, poglądy dysydenckie rozchodzą się szerzej, ale nawet i w tym wypadku wiele zależy od tego w jakim stopniu i w którym momencie rząd gotów jest posłużyć się środkami administracyjnego przymusu, przynajmniej dla formalnej ochrony oficjalnego ortodoksyjnego światopoglądu. Przy zachowaniu całkowitej kontroli nad środkami masowej informacji i niesłabnących wysiłkach w kierunku wszczęcia oficjalnego poglądu na własne społeczeństwo i świat, rząd

7. W krytyce utrzymującego się zacofania społeczeństwa sowieckiego, ignorowanego przez rząd, który przedstawia obraz życia w Związku Sowieckim w barwach zgoła idyllicznych, Sacharow ujawnia interesujące dane, według których 45 % ludności czyli 100 milionów obywateli żyje poniżej przeciętnego standardu. Sacharow przyrównuje tę sytuację do położenia ludności Stanów Zjednoczonych, w których „około 25 % mieszkańców żyje na skraju ubóstwa. Z drugiej strony, 5 % sowieckiej ludności, należącej do górnej warstwy, korzysta z podobnych przywilejów, które są udziałem ich społecznego odpowiednika w Stanach Zjednoczonych”. Uwagi te sugerują myśl autora stwierdzającą poważne różnice społeczne w ZSSR.

Obserwacje Sacharowa są ważne, ponieważ wskazują na problematykę równości społecznych — osiągnięcia, którym Związek Sowiecki szczycił się przez długie lata. W istocie, sowieckie statystyki, a jeszcze w większym stopniu prowadzone ostatnio studia socjologiczne potwierdzają fakt, że dzieci z rodzin urzędniczych mają znacznie większą szansę życiową w porównaniu z dziećmi robotników lub kolchozowych chłopów. Przykładem tego może być skład społeczny studentów Uniwersytetu Moskiewskiego w późnych latach pięćdziesiątych. W owym czasie 75 % studentów pochodziło z rodzin urzędniczych, przy 20 % — pochodzenia robotniczego i 5 % — chłopskiego, podczas gdy strukturę społeczną ZSSR ilustrują następujące dane: 20 % — urzędnicy, 48 % — robotnicy, 31 % — rolnicy. Cyfry te, zaczerpnięte są ze zbiorowej publikacji „Rewolucja Kultury” Moskwa, 1967, s. 151. Poważne również dysproporcje istnieją w siatce płac, z obowiązującym minimum wynagrodzenia ustalonym w r. 1968 na wysokości około 65 dolarów amerykańskich miesięcznie.

i partia pozostają dla ludności sowieckiej głównym źródłem informacji i interpretacji wydarzeń.

Możliwość innych dróg

W świetle powyższych uwag należy rozważyć możliwość odmiennych dróg rozwoju polityki sowieckiej. Dla przeprowadzenia poprawnej analizy możliwości te należy ograniczyć do określonej liczby alternatyw. Stosownie do tego wypada skoncentrować nasze rozważania do pewnych dość szeroko pomyślnych wariantów z tym, że główny nacisk należy położyć na funkcje ideologiczne i polityczne Partii. Wyliczymy tu pięć takich, według nas wchodzących w rachubę, wariantów ze szczególnym uwzględnieniem polityczno-ekonomicznego rozwoju. W dużym skrócie mogą one być przedstawione następująco: *oligarchiczne skostnienie, pluralistyczna ewolucja, technokratyczny reformizm, bojowy pryncypializm i polityczna dezintegracja*.

Oligarchiczne skostnienie pociągałoby za sobą utrzymanie dominującej roli Partii z zachowaniem w zasadzie dogmatycznego charakteru ideologii. W efekcie nastąpiłoby pogłębienie obecnego *status quo* w jego izolacyjnych tendencjach. Partia nie zajęłaby żadnego aktywnego stanowiska wobec potrzeb i aspiracji społeczeństwa, które implikowałyby jakieś zmiany. Celem Partii byłoby utrzymanie dalszej kontroli nad ludnością, bez wprowadzenia jakichś szczególniejszych innowacji. Największy nacisk położono by na wszczęcie oficjalnego światopoglądu partyjnego oraz walkę z politycznymi odchyleniami. Ponieważ przy wszelkim braku świadomości inicjowanych zmian nie zachodziłaby ani żadna społeczna potrzeba ani szansa dla pojawienia się nowych wybitnych indywidualności, kolektywne kierownictwo Partii utrzymałoby się w dotychczasowej formie. W praktyce sytuacja taka oznaczałaby rządy skostniałej biurokracji, posługującej się tradycyjnie rewolucyjnymi hasłami a zainteresowanej w istocie w zachowaniu istniejącego systemu władzy.

Pluralistyczny ewolucjonizm — jako następny z kolei wariant rozwojowy, stworzyłby sytuację, w której Partia przestałaby być monolitem, tolerując we własnych szeregach dialog a nawet ferment. Byłaby to sytuacja zbliżona do modelu politycznego Ligi Jugosłowiańskich Komunistów, gdzie nastąpiło ideologiczne rozluźnienie dogmatów leninowsko-stalinowskich. W tych warunkach rola Partii ograniczałaby się do funkcji moralno-ideologicznej inspiracji, bez pretensji do nieomyślności swego stanowiska. Umożliwiłoby to społeczeństwu zajęcie bardziej aktywnej i samodzielnej postawy i pozwoliłoby mu stać się kuźnią przemian. Paradoksalną cechą tego wariantu jest to, że tradycje historyczne Partii, których logika determinuje raczej szlaki rozwojowe idące w odmiennym kierunku, w wypadku powstania wymienionej przez nas alternatywy, implikowałyby bądź wejście na arenę polityczną wybitnej, obdarzonej silnym charakterem indywidual-

ności (typu Tito), bądź też rozbięcie kierownictwa partyjnego celem zaakceptowania ideologicznego pluralizmu.

Technokratyczny reformizm zmieniłby dogmatyczno-biurokratyczną Partię w Partię świadomych technokratów. Zasadnicze akcenty położono by w tym wypadku na potrzebę naukowo-technicznych kompetencji, wydajności i dyscypliny. Nacjonalizm jako główna więź między partią a społeczeństwem wyparłaby polityczne dogmaty. Główną uwagę skierowano by — jak to ma w tej chwili już miejsce w rządzonych przez Ulbrichta Niemczech Wschodnich — na to, aby Partia stała się przede wszystkim organizacją naukowych specjalistów ze szczególnym uwzględnieniem znajomości najnowszej technologii. Członkowie Partii powinni być przygotowani do posługiwania się cybernetyką, komputerami i innymi osiągnięciami nauki dla zapewnienia bezpieczeństwa i rozwoju gospodarczego sowieckiego państwa. Młodszy — bardziej doceniający rolę społeczną współczesnej technologii — dowódca wojskowi przypuszczalnie poparliby tego typu rozwiązanie. Kierownictwo polityczne podobnie jak i w charakteryzowanym przez nas pierwszym wariantcie pozostałoby nadal kolektywne z tym, że wymagana byłaby szersza koalicja, w skład której wchodziłoby przedstawiciele reprezentujący czynnik administracyjny, partyjny, wojskowy i ekonomiczny.

Bojowy pryncypializm wymagałby mobilizacji społeczeństwa dla ponownego wzmocnienia politycznego entuzjazmu i ideologicznego ożywienia. Sytuację tę cechowałoby zrewolucjonizowanie stosunków między władzą polityczną a społeczeństwem. Idea szybszego i bardziej autentycznego zbliżenia kraju do ideałów komunizmu wymagałaby nasycenia polityki i działalności Partii treścią wyrażającą ten nowy radykalny kurs. W tych warunkach, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powstałaby potrzeba zastosowania wielorakich form przymusu nie tylko dla walki z przeciwnikami, ale dla przełamania bierności społeczeństwa. Nawet przy uniknięciu stalinowskich metod, tego rodzaju wysiłek wymagałby wybitnie scentralizowanego kierownictwa, wznowienia ideologicznej czujności a również, być może, wyraźnie zaakcentowanej wrogości postawy wobec Zachodu. To ostatnie łącznie z próbą „kuracji wstrząsowej” stosowanej wobec społeczeństwa, a skierowanej przeciwko sowieckiej biurokratyzowanej strukturze władzy, odpowiadałoby maotsetungowskiej „Rewolucji Kulturalnej”.

Polityczna dezintegracja oznaczałaby obezwładnienie rządzącej elity, alienację i wyodrębnienie się z jej łona szeregu grup zajmujących kluczowe pozycje w państwie, rozbięcie hierarchii wojskowej, niepokoje i nastroje rebelianckie wśród inteligencji i młodzieży oraz otwarte niezadowolenie pomiędzy narodami Związku Sowieckiego. Kryzys tego typu może zrodzić się w wyniku rosnących antagonizmów między społeczeństwem a systemem politycznej władzy, przybierając jeszcze ostrzejsze formy na skutek niewydolności ekonomicznego ustroju nie będącego w stanie zaspokoić rosnących potrzeb materialnych ludności. W warunkach rozwijającego się na tym tle kryzysu, skostniała doszczętnie doktry-

na polityczna Partii nie byłaby w stanie stworzyć już żadnych ideowych wartości, mogących stać się dźwignią jakiejś uzdrawiającej akcji. Rzut oka na perspektywę najbliższego dziesięciolecia, przy uwzględnieniu istniejącego podziału władzy w Związku Sowieckim, kierunków dotychczasowego rozwoju oraz charakteru nabrzmiewających problemów ekonomicznych, daje podstawę do przypuszczenia, że najprawdopodobniejsze może okazać się połączenie pierwszego i trzeciego wariantu. Tego rodzaju kombinacja w optymalnym stopniu zabezpieczyłaby interesy elity społecznej, czyniłaby zadość imperatywom oficjalnej doktryny, uwzględniając przy tym aspiracje Związku Sowieckiego jako światowego rywala Stanów Zjednoczonych.

Nie wydaje się prawdopodobne, aby w najbliższej perspektywie nastąpiła ewolucja w kierunku bardziej liberalnego pluralistycznego systemu władzy. Doświadczenia lat 1964-69 wskazują na tendencje przeciwnie. Ponadto nie ma warunków na to, aby w obecnym układzie politycznym zrodziły się przesłanki otwierające awans na stanowisko przywódcy, indywidualności większego kalibru, zdecydowanej na przeprowadzenie reformy systemu społecznego w ZSSR. Brak jest do tego warunków w postaci silnej zjednoczonej woli narodowej i aktywnej presji mas.

Eksperyment czechosłowacki udowodnił, że demokratyzacja musi być procesem organicznym, jednoczącym intelektualistów, robotników z organami hierarchii kierowniczej w ich wspólnym i świadomym wysiłku zreformowania nie tylko ekonomicznej struktury kraju ale i systemu politycznej władzy. Co więcej, proces taki musi być bądź wsparty demokratycznymi tradycjami zaczerpniętymi z historii kraju (tak jak miało to miejsce w wypadku Czechosłowacji) jeśli zaś ich brak to tradycje takie należy zapoczątkować, w szczególności poprzez nadanie wyższej rangi legalizmowi i praworządności nad normami politycznego pragmatyzmu. Dla sowieckiego komunizmu tego rodzaju zasady byłyby równoznaczne z całkowicie nowymi i obcymi koncepcjami politycznymi⁸. Ponadto, problem sowieckich grup narodowościowych stanowiłby w tego typu przemianach dodatkowy hamulec, ponieważ wielko-rosyjska większość Związku Sowieckiego obawiałaby się, że rozwijający się proces demokratyzacji skatalizuje w pierwszym stadium dążności autonomiczne, które w dalszym etapie przerodzą się w otwarte dążenia secesjonistyczne.

Uwzględniając tendencje rozwojowe Sowietów, kierunki spo-

8. Nawiązując do doświadczeń czeskich z okresu stalinizmu jeden z czechosłowackich uczonych stwierdził: „Jedną z możliwych metod zabezpieczenia kraju przed nawrotem politycznych procesów są różnorakie próby zmian w koncepcjach politycznych instytucji państwa, które mogą być początkiem narodzin nowego systemu. Osobiście mam taką koncepcję, nie dysponując jej szczegółowymi elementami ani też założeniami, dotyczącymi bazy ekonomicznej. W każdym razie na marginesie procesów politycznych można stwierdzić jedno: Procesy takie zdarzają się najczęściej w warunkach ogólnego łamania zasad praworządności. (K. Kaplan „Uwagi o sądach politycznych”. *Nowa Mysl* Nr 8, 1968).

łecznego rozwoju jak również interesy elity rządzącej, należy wątpić czy tego rodzaju demokratyczna koalicja zrodzi się w ciągu lat siedemdziesiątych.

Bojowy pryncypializm przy jednosobowej władzy dyktatorskiej, choć na krótką metę bardziej prawdopodobny niż pluralistyczny ewolucjonizm, również wymagałby przewyciężenia inercji społecznej. Ponadto powstanie takiej możliwości zmobilizowałoby oligarchię partyjną do skoordynowanej akcji przewencyjnej przeciwko przywróceniu jednoosobowego systemu władzy. Presja w kierunku wyboru tego typu alternatywy mogłaby powstać jedynie w wypadku rosnącego wewnętrznego rozprężenia lub groźby z zewnątrz. W tym wypadku warunkiem koniecznym byłby zespół dość przypadkowych okoliczności, otwierający szanse wejścia na widownię polityczną indywidualności wybitnie utalentowanej. Biurokracja sowiecka w jej obecnym charakterze i politycznym stylu rządzenia skutecznie eliminuje jednostki uzdolnione, których osobista odwaga i pomysłowość mogłyby otworzyć drogę do szybkiego awansu.

Tym niemniej wariantu bojowego pryncypializmu nie można z miejsca wykluczyć, w szczególności w warunkach, gdy stanie się on jedyną możliwą alternatywą wobec innej drogi — petryfikacji i zupełnego skostnienia całego sowieckiego systemu. Stopniowo postępujący proces rozkładu, jako rezultat nieudolności kierownictwa do rozwiązywania bieżących narastających problemów, coraz większy dystans, pozostawiający ZSSR w toczącej się rywalizacji daleko za Stanami Zjednoczonymi; rosnące niezadowolenie zagrażające organizacyjnej jedności Państwa wespół z ewentualną groźbą z zewnątrz — wszystko to w warunkach pogłębiającego się impasu i obojętności ideologicznej kierownictwa, doprowadzić może do konwulsyjnych wstrząsów w łonie elity rządzącej, której część szukać może dróg wyjścia w bojowym pryncypializmie. Tego typu wstrząsy cechują często organizmy społeczne w okresie upadku wiary w oficjalnie szerzoną ideologię.

Tak jednak jak przedstawiają się warunki wczesnego okresu lat siedemdziesiątych, pierwszy wariant oznaczałby przypuszczalnie wybór drogi, która najbardziej harmonizuje z interesami górnych szczebli hierarchicznych, należących do starszego pokolenia, jak również marszałków sowieckich, spośród których wielu ma dłuższy staż partyjny od cywilnych przywódców, a przede wszystkim zaś ideologów Partii.

Poza hierarchią watykańską i najbliższym otoczeniem Mao, przywódcy sowieccy, których średni wiek w roku 1969 był powyżej sześćdziesiątki, reprezentują najstarsze kierownictwo polityczne na świecie. Koalicja w tym składzie obejmować będzie nie tylko polityczną elitę władzy ale społeczne wierzchołki państwa. W tym sensie, poprzez swe przywileje materialne, władzę i autorytet, środowiska te są odpowiednikami plutokracji w ustroju kapitalistycznym. Tak jak każda warstwa rządząca są one z natury zachowawcze i przeciwne zmianom, które mogą zmienić lub zagrozić ich społecznej pozycji. Co więcej, a co posiada w naszych

rozważaniach szczególne znaczenie — sowiecka warstwa rządząca jest tworem socjalnym wybitnie zbiurokratyzowanym, składającym się niemal wyłącznie z funkcjonariuszy państwowych lub partyjnych. Funkcjonariusze ci, których dzieli tylko jedno pokolenie od ich chłopskich lub robotniczych antenatów, w swych obyczajach, stylu życia i poglądach są wysoce konserwatywni. Dzięki temu, warstwa ta stanowi oparcie dla zachowawczych poglądów kierownictwa.

Jednakże górne kręgi sowieckiej zawodowej i naukowej elity okazały się środowiskiem nazbyt wykształconym o zbyt rozległych horyzontach, aby w swej narodowej dumie zadowolić się zachowaniem *status quo*. Choć nieobojętni, jeśli chodzi o problem utrzymania wewnętrznej stabilizacji, są w pełni świadomi imperatywów jakie narzuca sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa w zakresie naukowych i socjalnych unowocześnień. W ciągu ostatnich lat środowiska naukowe zyskały coraz szerszy dostęp do czynników rządzących, zapewniając sobie stopniowo przynajmniej nieoficjalny wpływ na decyzje państwowe, wszędzie tam, gdzie decyzje takie musiały być poprzedzone opinią specjalistów. Organ Sowieckiej Akademii Nauk podkreśla zgodnie z faktycznym stanem rzeczy, że „ostatnio wzrosła liczba uczonych wzywanych do udziału w pracach państwowego aparatu, nawet na jego najwyższych szczeblach”. Opinia tych uczonych — stwierdza dalej cytowany organ — winna być częściej brana pod uwagę, przy należytym zorganizowaniu produkcji lub ekonomicznym planowaniu”. Wpływ uczonych łącznie z coraz bardziej docenianą potrzebą naukowej modernizacji, zwłaszcza w kontekście walki rywalizacyjnej ze Stanami Zjednoczonymi, stanowiącej kwestię ambicji narodowych i państwowego prestiżu Sowietów; zagadnienie bezpieczeństwa granic tak jak je pojmują młodszy dowódcy wojskowi, rozumiejący doniosłość badań naukowych — wszystkie te czynniki łącznie, zwiększają już obecnie presję w kierunku fuzji pierwszego wariantu z trzecim, której celem jest stworzenie nowego typu „technotronicznego komunizmu”⁹.

Przykład Niemiec Wschodnich ma pod tym względem swoją nieodpartą wymowę. W przeciwieństwie do równoległe prowadzonych w Rumunii studiów na temat rewolucji w nauce, które doprowadziły niektórych tamtejszych komunistów do wniosku,

9. Tego rodzaju proces stanowiłby formę nowej politycznej wykładni przy jednoczesnym imponującym wzroście techników zaangażowanych w prace naukowe i usługi (włączając w to tych, którzy zdobyli specjalizację techniczną w szkołach średnich) jak również przy poważnej liczbie ludzi, należących do politycznej elity z dużym doświadczeniem naukowo-technicznym. W latach 1950-66 liczba tych pierwszych wzrosła z 714.000 do 2.741.000 (OECD — Science Policy in the USSR, Paryż 1969, s. 679). George Fischer zgromadził dane, świadczące o tym, że przedstawiciele tej drugiej grupy będą liczebnie dominować wśród młodszych członków Komitetu Centralnego KPZS. (*The Soviet System and Modern Society*, New York, 1968, w szczególności ss. 125-134). Znajomość techniki jest równie powszechna w sowieckiej elicie władzy jak tradycje legalizmu w amerykańskiej.

że przełom w nauce pociąga za sobą konieczność opracowania nowych teoretycznych form dla komunizmu, opartych na szeroko pojętym pluralizmie, Ulbricht podjął próbę skrzyżowania naukowej modernizacji z absolutną wiernością dla politycznych tradycji leninizmu-stalinizmu. Kierownictwo partyjne w Niemczech Wschodnich jest całkowicie scentralizowane, zaś wszelkie odchylenia ideologiczne — najsurowiej tępię. Jednocześnie Ulbricht, prawdopodobnie bardziej niż jakikolwiek inny komunistyczny przywódca akcentuje, że „Rozwój i postęp socjalistycznego systemu, a w szczególności zaś udoskonalenie i postęp socjalistycznej ekonomii oznacza wzrost udziału czynnika naukowego w kierownictwie...”. „Wybieramy świadomie — stwierdza Ulbricht — kierunek sprawowania naukowej kontroli w kompleksowych procesach produkcyjnych i ekonomicznych, poprzez lud i dla ludu. Z tą myślą czynimy pełny użytek z cybernetyki”.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, rząd Wschodnich Niemiec podjął intensywne wysiłki w kierunku większego zracjonalizowania ekonomii i opartej na naukowych wskazaniach zharmonizowania inicjatywy oddolnej w zakładach wytwórczych z efektywnie działającym systemem kontroli i koordynacji. VII Kongres Partii podjął zadania rozwinięcia i opracowania ogólnych koncepcji w zakresie wzajemnych stosunków między wielorakimi częściowymi podsystemami, istniejącymi w poszczególnych działach gospodarki, a ekonomią Państwa jako całością. Opracowanie to miało być dokonane przy użyciu urządzeń cybernetycznych i elektronicznych w takim zakresie w jakim żaden kraj komunistyczny dotychczas z nich nie korzystał. Dwa lata później w kwietniu 1969 roku na plenum Centralnego Komitetu, członek Politbiura Kurt Hager z dumą zawiadomił zebranych — używając kilkakrotnie cytowanego sformułowania — że „Wschodnie Niemcy są nie tylko na politycznie właściwej drodze ale są „dobrze zaprogramowane”.

Zgodnie z linią „dobrego zaprogramowania”, Partia Komunistyczna Wschodnich Niemiec podkreśla wagę naukowych umiejętności wśród swych członków akcentując w szczególności potrzebę zreformowania systemu oświatowego pod kątem ścisłego powiązania wiedzy z przemysłem. W późnych latach sześćdziesiątych Wschodnie Niemcy miały już za sobą drogę, która ich dzieliła od najbardziej ekonomicznie zdewastowanego kraju do najbardziej cywilizacyjnie zaawansowanego i najbardziej naukowo kierowanego w całym Bloku Komunistycznym. Po 50 latach — połączenie pruskiej dyscypliny, niemieckich naukowych umiejętności z zasadami ideologicznymi leninizmu uczyniło komunizm niemiecki ponownie wzorem dla ich wschodnich sąsiadów.

W przeciwieństwie do Wschodnich Niemiec, warunki, które determinują rozwój historyczny Związku Sowieckiego prawdopodobnie utrudnią jego drogę do tego typu „technologizacji” systemu. Związek Sowiecki, będąc bowiem znacznie większym krajem, z wieloma terytoriami o wiele bardziej zacofanymi niż jego europejska część, jest obiektem znacznie trudniejszym do integracji.

W ciągu swego ponad 50 lat liczącego istnienia Partia rozwinęła i umocniła swe tradycje i swój polityczny styl. Chociaż zachęca swych funkcjonariuszy do zdobywania i pogłębiania technicznej wiedzy, będzie prawdopodobnie przeciwstawiać się „technologicznej” orientacji wśród swych członków, z obawy, że tego typu skłonności mogą obniżyć rangę ideologii. W związku z zaostrzającym się coraz bardziej konfliktem chińsko-sowieckim i coraz większej wagi nabierającym problemem bezpieczeństwa zewnętrznego, trudno będzie cywilnemu kolektywnemu kierownictwu przeszkodzić udziałowi czynników wojskowych w przygotowaniu lub ferowaniu decyzji politycznych. W tym wypadku skrzyżowanie pierwszego wariantu z trzecim (w kierunku powiązania politycznej ortodoksji z uwypukleniem roli nauk technicznych) mogłoby doprowadzić do przemiany obecnej dyktatury komunistycznej w komunistyczną oligarchię typu pretoriańskiego¹⁰.

Problem żywotności

Powstaje pytanie czy tego rodzaju kierunek przemian ułatwi w Związku Sowieckim rozwiązanie najważniejszych ekonomicznych i politycznych problemów. Odpowiedź nie może stanowić prognozy i z natury rzeczy musi mieć charakter spekulatywny. Ogólnie biorąc, jest rzeczą wątpliwą, aby próba skrzyżowania ortodoksyjności politycznej z podniesieniem roli nauki przy wsparciu tego mariażu elementem nacjonalistyczno-wojskowym mogła stworzyć pomyślnie warunki dla twórczości naukowej i działalności intelektualnej. Należy raczej sądzić, że tego typu układ rozpali wewnętrzne antagonizmy przy polaryzacji stanowisk „technokratów” i ideologów partyjnych zwłaszcza, gdy w grę wejdą skomplikowane problemy decentralizacji gospodarczej. Ta ostatnia, uznana jako praktyczna konieczność, budzi z reguły obawy natury ideologicznej. Rezultatem tych antagonistycznych tendencji będzie albo przejściowy kompromis (typu, który charakteryzuje postać Breżniewa) bądź drastyczne zmiany polityczne z wyraźnym zaakcentowaniem jednej z dwóch alternatyw. Powstałe w wyniku tych tarć i konfliktów napięcie zwiększy izolację między społeczeństwem a systemem politycznej władzy. W efekcie okaże się, że powstały w tych okolicznościach układ niezgodny do rozwiązania wewnętrznych problemów, powoduje rosnącą presję ze strony społeczeństwa, domagającego się zasadniczej rewizji istniejących zależności pomiędzy ideologicznymi

10. Ten punkt widzenia podzielają również niektórzy obserwatorzy jugosławiańscy. Np. V. Stanovic, pisząc w tygodniku *Kommunist* — organie Komitetu Centralnego (26 września 1968), podtrzymuje tezę, że system sowiecki okazał się niezdolny do stopniowej liberalizacji, co w konsekwencji doprowadzi przypuszczalnie do „przemiany w bonapartystowski system rządów z dominującą grupą technokratów i wojskowych, biorących na siebie funkcje określenia linii partyjnej i organizatorów społeczeństwa”.

zasadami, które zrodziły państwo sowieckie a jego aktualnie zinstytucjonalizowaną postać.

Zgodnie z tym można w obecnym dziesięcioleciu oczekiwać wstrząsów w typie zbliżonym do tych jakie rozpoczęły się w Hiszpanii, Jugosławii, Meksyku i Polsce w latach sześćdziesiątych. Liczba studentów w Związku Sowieckim podwoiła się w ubiegłej dekadzie (z tym, że między rokiem 1958 a 1965 wzrosła o 77 %) i jest rzeczą mało prawdopodobną, aby Sowietom udało się w ogóle uniknąć ruchów studenckich. W późnych latach siedemdziesiątych w większych skupiskach miejskich rozpocznie się prawdopodobnie rewolucja seksualna, wobec której ideolodzy partyjni ze swą sztywną obyczajowością okażą się bezradni. Manifestacje tego rodzaju mogą przyczynić się do rozszerzenia bazy socjalnej działających obecnie w izolacji dysydentów. W połączeniu z rosnącą świadomością narodową inteligencji, rozwijające się napięcie polityczne i socjalne zmanifestuje się w Związku Sowieckim w sposób bardziej widoczny. Należy przy tym pamiętać o jednym: czerwony sztandar wywieszony spontanicznie przez studentów uniwersytetu moskiewskiego będzie miał znacznie głębszą wymowę i symbolikę niż ta sama flaga powiewająca z murów Sorbony lub Uniwersytetu Columbia.

Pierwsza w pełni po-stalinowska generacja sowiecka zacznie pojawiać się na widowni politycznej nie wcześniej jak w latach osiemdziesiątych. Ambitny działacz lub przywódca w wieku 45 lat osiągnął 18-ty rok życia w chwili śmierci Stalina, a przekroczył wiek 21 lat w momencie, gdy destalinizacja dopiero się w Związku Sowieckim zaczęła. Choć pokolenie to znajdzie prawdopodobnie dostęp do kadry kierowniczej, blokowanej przez przywódców o dziesięć lub dwadzieścia lat starszych (w rodzaju Polańskiego, Szelepiną, Semiczastnego i Tołstikowa), nacisk dla zdobycia wpływów zacznie się na drabinie hierarchicznej o jeden szczebel niżej od Komitetu Centralnego, znacznie wcześniej. Bardziej lotna w rozumieniu wewnętrznych problemów swego kraju, bardziej dojrzała w sprawach międzynarodowych, lepiej wykształcona i hołdująca przypuszczalnie bardziej elastycznej polityce w stosunkach Związku Sowieckiego z krajami Europy Wschodniej, nowa wchodząca na widownię generacja nie będzie, być może, tak wierne uznawała nienaruszalności kanonu maksymalnej koncentracji władzy politycznej jako warunku prawidłowego rozwoju społecznego.

Mimo to, ewolucja w kierunku pluralistycznego systemu spotka się prawdopodobnie ze skoncentrowanym oporem, oszańcowanej na swych pozycjach biurokratycznej oligarchii. Wprowadzenie pluralizmu politycznego musi pociągać za sobą świadomą decyzję otwarcia szeroko wrót Związku Sowieckiego dla konkurencyjnych idei i programów; wymagać będzie pogodzenia się władz z tym, że obywatel sowiecki ma prawo do czytania tego co chce. W konsekwencji, oznaczałoby to zredukowanie partyjnej kontroli, decentralizację władzy, udział ludności w decyzjach rządu i kierownictwa partyjnego, które w ten sposób zmuszone były-

by dzielić się swymi prerogatywami ze społeczeństwem. Końcowy efekt tych zmian polegałby na przekształceniu całego systemu od góry do dołu.

Nieświadomie spowodowane skutki ekonomiczno-technologicznych korektur nie wystarczają, by spowodować zmiany o jakimś głębszym znaczeniu. Jak dowodzą przykłady Jugosławii lub Czechosłowacji (przed rokiem 1968) w pewnym momencie elita rządząca musi zdobyć się na decyzję wkroczenia w sferę politycznych reform, o ile oczywiście zamierza przeprowadzić w kraju jakieś politycznie ważne zmiany.

W konkluzji, o ile pominiemy ewentualność przewrotu, wywołanego jakimś gwałtownym wewnętrznym paraliżem, który w tym wypadku mógłby w dramatycznych okolicznościach albo otworzyć drogę społecznej demokracji, albo — co bardziej prawdopodobne — doprowadzić do przechwycenia władzy dyktatorskiej w formie reakcji na potęgujące się niezadowolenie ludności — najprawdopodobniejszą perspektywę okresu lat osiemdziesiątych będzie marginesowa zmiana w kierunku połączenia drugiego wariantu (pluralistyczna ewolucja) z trzecim (technokratyczny reformizm), co oznaczać będzie ograniczony polityczny i ekonomiczny pluralizm, w kontekście silnego i autorytatywnego rządu, reprezentującego koalicję wyższych hierarchicznie ogniw najbardziej wpływowych grup w państwie sowieckim. Tego typu układ stanowić będzie powrót do zachodnich tradycji marksizmu. W najlepszym razie jednak będzie to proces rozpoczęty powoli z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

W konkluzji powyższych rozważań, właśnie dlatego, że prawdopodobieństwo przywrócenia w Związku Sowieckim prawa do swobodnej twórczości intelektualnej i eksperymentalnej jest nikłe, atrakcyjność państwa sowieckiego jako modelu współczesnego komunizmu, który zdolny byłby oddziaływać na wyobraźnię, uczucia i etykę ludzką, będzie w dalszym ciągu wykazywać tendencje malejące.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

(Tłumaczył Z. Byrski)

Sprawy i troski

„POLKA” w Leeds

Leeds to miasto zupełnie przeciętne, położone w hrabstwie Yorkshire w północno-wschodniej Anglii, liczące ponad pół miliona ludzi. Miejscowi Anglicy mówią żartobliwie, że mieszkańcy Leeds to w połowie Żydzi, w czwartej części Hindusi i Murzyni, a pozostali to Polacy i inni. Oczywiście, jest to nieprawda, ale na słynnej Chapeltown Road jest aż sześciu rzeźników koszernych, jedna piekarnia i dziesięć sklepów żydowskich, osiem „delikatessów” polskich, trzy sklepy hinduskie, dwie pralnie murzyńskie, jeden sklep łotewski i jedna poczta angielska. Anglicy, zaś, mówią gwarą „North-country” tak niezrozumiałą dla osoby urodzonej w Londynie że, prawdę powiedziawszy, trudno ich odróżnić od reszty cudzoziemców. Leeds słynie z przemysłu tekstylnego i z pierwszorzędnej drużyny piłkarskiej. Poza tym, nie wiele wyróżnia się od innych rozrastających się miast brytyjskich, złożonych z niegustownych nowoczesnych bloków mieszkaniowych, opuszczonych, ubogich dzielnic (tzw. *slums*), wiecznych angielskich *pub’ów* i głównych arterii miejskich w trakcie poszerzania od niepamiętnych czasów.

Pojechałam do Leeds w październiku 1968 roku. Uniwersytet ten liczy około ośmiu tysięcy studentów i słynie szczególnie z medycyny i z tzw. „Textile Industries”. Dział medyczny powstał już w roku 1831, i po szybkim a szerokim rozwoju przyznano uczelni w roku 1904 miano Uniwersytetu niezależnego. Dzisiaj można przygotować się w Leeds do magisterium w 77 przedmiotach ścisłych i w 76 przedmiotach humanistycznych. Architektonicznie, budynki uniwersyteckie pokrywają wiele epok: od fasad neogotyckich do tegorocznych „pudełek od zapalek”. Obok szpitala, wydziałów naukowych, laboratoriów, sal wykładowych, są mieszkania dla 3.500 studentów, oraz nowo powiększony budynek Związku Studenckiego.

Ale „POLKA” w Leeds to nie tylko ja; to także Polskie Koło Akademickie, które rozpoczęło karierę w Leeds jednocześnie ze

mną. Zaraz po przyjeździe do Leeds, stoczyłam walkę zwycięską z biurokracją Związku Studenckiego i wywiesiłam ostentacyjne białe afisze, na których czarne litery nawoływały: „Polacy! Czy poczuwacie się do polskości?” I wkrótce powstało koło Polaków Studentów, posiadające 40 członków.

Ale z tą polskością różnie bywało. Na pierwsze zebranie przyszedł jeden „Jurek” i jeden „George”; wyszło dwóch „Jurków”. Otrzymałam bardzo miły list od Basi — która kocha Polskę i interesuje się sprawą polską — napisany po angielsku; a od Anglika Stephena był list napisany piękną polszczyzną — okazało się, że był rok w Polsce na studiach. Dowiedzieliśmy się później, że otrzymał stypendium „reżymowe”, i jak tylko spostrzegł się, że koło nasze nie ma nic wspólnego z „reżymem” w Polsce to przestał przychodzić na spotkania. Przyszli na zebranie Marek i Ziu-tek, którzy nie tylko sami przedkładali czarny chleb i bigos nad angielskie przysmaki, ale i namawiali współlokatorów Anglików do wypróbowania kuchni polskiej, a także i polskiej wódki (z dużym, można dodać, powodzeniem). A przy wejściu do ich mieszkania wisiał napis: „Ambasada Polska na Uchodźztwie”. Dołączył do nich Maciek — czynny i ideowy harcerz oraz nałogowy sportowiec, amator piłki nożnej i siatkówki. Zapisła się do koła Irena — jest to wybitnie zdolna studentka matematyki, której Ojczyzna Ludowa dała kopniaka podczas ostatniej akcji antyżydowskiej. Tym niemniej, Irena kocha Polskę taką, jaką zna, zamierza do niej powrócić, ale nie ukrywa w międzyczasie jaka tam jest rzeczywistość, i nie boi się należeć do naszego koła. Daje sobie pierwszorzędną w Anglii radę, ale czuje się obco w rodzinie swej ciotki zamężnej za tutejszym Anglikiem Żydem. Doszedł Andrzej, który zamierza zrobić karierę w parlamencie angielskim, i który w tym celu angażuje się w tzw. „Rag”. Oznacza to tydzień dziwacznych i szalonych imprez studenckich — np. dla mężczyzn odbywa się „licytacja” studentek na randki, dziewczynki mają okazję zdobycia „kompromitującej” fotografii na łóżku ze słynnym śpiewakiem w najdroższym hotelu w mieście, odbywa się sprzedaż niecenzurowanego pisma studenckiego we wszystkich większych miastach przez studentów w dzikich strojach. Z tych i z podobnych imprez jest znaczny dochód, który jest całkowicie przeznaczony dla organizacji charytatywnych. Andrzej jest aktywnym członkiem koła, ale nie widzi dla siebie żadnej przyszłości w emigracyjnej działalności politycznej. Doszły jeszcze Stefa i Bożena, obie zaręczone z Anglikami, które przychodziły regularnie na dyskusje i na zebrania o charakterze poważnym, ale nie bywały na imprezach towarzyskich. Był także i John, z którym chodziliśmy na wykłady rosyjskiego, i który raz zapytał się mnie:

- Skąd ty mówisz po polsku?
- Jestem Polką — odpowiedziałam. — Rodzice moi zamieszkali w Anglii po wojnie.
- A skąd pochodzi Twoja mama?
- Z Wilna.

— Aha! A po chwili dodał, jakby tłumacząc się. — Moja mama z Warszawy. W dzieciństwie mówiłem po polsku, ale teraz... *I couldn't be bothered...*

Zresztą, więcej już Johna nie widziałam, gdyż przestał chodzić na wykłady. A wreszcie — Rysiek. Owłosiony, w długim płaszczu „rosyjskim”, jak to w tym roku modne, przyszedł na pierwsze zebranie, powiedział, że nie interesuje się kołem i zaginał. W kilka tygodni później, zauważyłam go siedzącego w ostatnim rzędzie na dyskusji zorganizowanej przez koło, i gdy zapytałam go, skąd ta nagle zmiana postanowienia, oznajmił mi, że doszedł do przekonania, że nie może odciąć się od *Polacks* (określenie lekceważące) całkowicie.

„POLKA” rozwijała się szybko. Znalazł się prezes, wiceprezes, sekretarz — nieomal tylu funkcyjnych ilu członków — tak typowo po polsku. Zaczęliśmy się zbierać — „Andrzejki”, wieczór muzyki polskiej, dyskusja. Z początkiem roku 1969 zjawilo się zagadnienie przynależności do naszego koła studentów z Kraju, przebywających tymczasowo na studiach w Anglii — a takich jest sporo. Koło nasze powstało w ramach Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie (Z.S.A.P.U.). Statut Z.S.A.P.U. będący, oczywiście, podstawą działania naszego koła, stoi na stanowisku, że Zrzeszenie jest organizacją Emigracji niepodległościowej i w swoim zakresie dąży do odzyskania przez Polskę wolności. Kiedy sprawa statutu zjawila się na naszym zebraniu, student z Polski, kolega Pyszczyk, oznajmił, że nie może należeć do koła, które kwestionuje niepodległość dzisiejszej Polski. Usłyszeliśmy długi wywód, cały szereg haseł i formułek o charakterze propagandowym, „reżymowym”. Były one powiedziane z dużą wprawą i zrobiły znaczne wrażenie na wielu z nas, słabo zorientowanych w sprawach politycznych. Główny zarzut, to że chcemy odciąć się od Polaków w Kraju, wzbronili im wstępu do naszego koła i że Emigracja chce z Polaków w Kraju zrobić gorszą kategorię Polaków. Nie pomogły zapewnienia, że pragniemy udziału kolegów z Kraju, że mogą oni w ramach naszego koła stanowić osobną kategorię członków, którzy nie muszą wygłaszać jakichkolwiek opinii, czy też brać udziału w akcjach, które mogłyby im zaszkodzić po powrocie do Kraju. Nasz kolega był nieustępliwy. Członkowie koła, nie wprawieni w rozgrywkach tego rodzaju, nie bardzo zrozumieli na czym spór naprawdę polega i bojąc się wprowadzenia „polityki” (słowo zakazane w dzisiejszych czasach) do koła, zaczęli wołać o zmianę statutu Zrzeszenia i wycofania ze statutu artykułu dotyczącego Niepodległości Polski. Ale w końcu „POLKA” wyszła z tego kryzysu pewniejsza zasad i celów swojej działalności i bogatsza doświadczeniem. Zatwierdzono statut oraz przynależność do Z.S.A.P.U., zatwierdzono Zarząd i nazwę koła. Zresztą, kolega Pyszczyk nie pokazał się już więcej na zebraniu i wkrótce wrócił do Polski.

O ile w pierwszym okresie „POLKA” badała ostrożnie grunt,

w drugim okresie bardzo rozwinęła się jej działalność. Zorganizowaliśmy dyskusję o Szkolnictwie w Polsce, porównując polską strukturę oraz metodę nauczania z angielską, i zastanawiając się nad rolą szkół polskich w Anglii oraz nad fałszowaniem historii i nad zakłamaniem w jednym i w drugim kraju. Widzieliśmy wspólnie film Wajdy „Popiół i Diament”, urządziliśmy sobie „Zapusty” ze śledziem i z pączkami oraz wieczorek, którego tematem były „Rocznice Narodowe” przypadające w tym tygodniu: mianowicie, Wybuch Powstania w Wielkopolsce (1848), Uchwalenie Pierwszej Konstytucji Polski Odrodzonej (1921), Podpisanie Traktatu Ryskiego (1921), Aresztowanie przez Sowiety 16 przywódców Polski Podziemnej (1945) oraz urodziny I. Łukasiewicza, pioniera przemysłu naftowego w Europie (1822).

Trzeci okres był krótki i wyróżniał się gorączkowym przygotowaniem do egzaminów. Spotkaliśmy się tylko po to, aby doprowadzić do rejestracji koła polskiego w Związku Studenckim w Leeds, aby ruszyć akcję zmierzającą ku rozbudowaniu koła poprzez wciągnięcie pozostałych Polaków studentów w Leeds, aby utrwalić dotychczasowe osiągnięcia koła. Przed rozjechaniem się na wakacje letnie, powstało oficjalnie „Leeds University Union Polish Society”. Zaczęło się wypełnianie formularzy, składałam, jako sekretarka koła, podania o wynajęcie sal na zebrania, o założenie konta bankowego, o zdobycie tablicy na zawiadomienia i na ciekawostki. Wydrukowano legitymacje dla członków koła, pisano wzmianki i artykuły o kole do dzienniczka studenckiego, do różnych wydawnictw Związku Studenckiego. Związki Studenckie w Wielkiej Brytanii są tak samo czynne jak i Związki Robotnicze; rozporządzają dużą władzą i dużym majątkiem, gdyż reprezentują młodzież najbardziej „fermentującą”, nie tylko gdy chodzi o jakieś manifestacje anarchiczne, ale także w zakresie intelektualnym. I podobnie jak Związki Robotnicze, Związki Studenckie zajmują się nie tylko interesami studentów, ale także i polityką. Rzecz dziwna: Zarząd Związku Studenckiego w Leeds oprowadzony jest nieomal że całkowicie przez ultra-lewicowców, sami studenci, natomiast, jak i władze uniwersyteckie są wybitnie konserwatywni tak w poglądach jak i w postępowaniu — nowym „Vice-Chancellor”, a więc rzeczywistym kierownikiem Uniwersytetu, został niedawno Sir Edward Boyle, znany poseł do parlamentu westminsterskiego z ramienia partii konserwatywnej. Rzadko bywają w Leeds gorące manifestacje, protesty czy bojkoty: owszem, wszyscy wołają o zniesienie egzaminów, ale nikt nie bierze się do drastycznych czynów. A gdy znany poseł, konserwatysta Patrick Wall, wygłosił w Leeds kilka miesięcy temu referat o rasizmie, dostał tylko papierową strzałką w plecy od jednego z zagłuszających jego mowę słuchaczy. To wszystko.

Będąc teraz oficjalnie zarejestrowani w Związku Studenckim, możemy korzystać z pomocy finansowej oraz z przywilejów członkowskich Związku. Z drugiej strony mamy możliwość szerzenia

wiedzy, a przede wszystkim prawdy o Polsce wśród tych wszystkich, z którymi nawiązujemy kontakt: ze zdziwieniem zupełnie nawet życzliwy nam kierownik banku dowiedział się, że w ogóle istnieje zorganizowane społeczeństwo polskie w Wielkiej Brytanii. W statucie „Leeds University Union Polish Society” wyliczyliśmy następujące cele:

- (i) zjednoczyć wszystkich Polaków studentów w Leeds, celem rozszerzenia kultury polskiej w Związku Studenckim,
- (ii) zwracać uwagę ogółu na obecną sytuację polityczną i społeczną Polski i wschodniej Europy w ogóle, a szczególnie w sprawach dotyczących społeczności studenckiej,
- (iii) nawiązać i utrzymywać kontakty z innymi grupami studentów wschodnio- i środkowoeuropejskich,
- (iv) rozszerzać przyjaźń i porozumienie polsko-angielskie,
- (v) urządzać imprezy społeczno-kulturalne, celem wzbudzenia pozytywnego i aktywnego zainteresowania Polską i jej sprawami.

Program nasz na ten okres przewiduje wycieczkę do historycznego i pięknego miasta York, dyskusję na temat „Czy młodzież emigracyjna chce przejąć 'Sztandary Ojców?'”, „Andrzejki” wspólne z polskim kołem studenckim w Manchesterze oraz wieczorek koktailowy dla studentów i wykładowców naszego uniwersytetu z narodów środkowo- i wschodnioeuropejskich. Planujemy również współpracę z uniwersyteckim kołem rosyjskim (złożonym raczej ze studentów Rosyjskiego, niżli osób pochodzenia rosyjskiego), a w ramach tej współpracy, wspólne dyskusje na wspólne nam tematy oraz wystawę sztuki wschodnioeuropejskiej. Przewidujemy także udział w międzynarodowym koncercie kołód.

„POLKA” w Leeds jest tylko jednym z wielu polskich kół studenckich powstających obecnie na terenie Wielkiej Brytanii — w Londynie, Manchesterze, Keele, Oxford, Cambridge, Birmingham, Nottingham, Newcastle, Brighton.

Anna SABBATÓWNA

Leeds, listopad 1969

Prawda o Polakach

Kim jest POLSKI IMIGRANT W AMERYCE?

Jak czuje, jak myśli przeszczepiony na grunt amerykański człowiek, który 30 lat temu nie miałby wątpliwości, że jest Polakiem?

We wrześniu 1969 minęło 30 lat od chwili wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Jednym z rezultatów tej wojny była masowa emigracja Polaków

do Stanów Zjednoczonych. Opuścił Polskę cenny, wykształcony, patriotyczny element obywatelski. Cóż się z nim stało w Ameryce?

W przyszłości pokolenia emigrantów polskich doszukiwać się będą własnych korzeni i własnej historii. Nie wystarczą im książki, szukać będą faktów, statystyk, wypowiedzi naocznych świadków.

Gdzie znaleźć odpowiedź? Gdzie znajdzie odpowiedź naukowiec amerykański, badacz polski, socjolog, antropolog, polityk, na pytanie: KIM BYŁ IMIGRANT POLSKI W AMERYCE?

Opinię o Polakach tworzą ludzie, którzy nie zawsze nas znają. I może tacy nieznani, albo źle znani, przeminiemy z naszą historią?

Podjęłam się zbadania rodziny polskiego emigranta po Drugiej Wojnie Światowej, w Stanach Zjednoczonych. Będzie to obiektywne studium w ramach pracy doktorskiej na Uniwersytecie Columbia. Cel: zapoznanie nauki amerykańskiej z rodziną polskiego emigranta, z nowym typem Polaka, który pojawił się w Ameryce po Drugiej Wojnie Światowej. Dzięki pomocy finansowej Fundacji Kościuszkowskiej i Związku Węźniów Politycznych, wydrukowana została ankieta 'Transplanted Family' — Rodzina Przeszczepiona. Kwestionariusz ten będzie stanowił podstawę pracy doktorskiej. Były duże trudności w uzyskaniu zatwierdzenia tego tematu pracy. Odradzano mi, przestrzegając, że Polacy nie odesłają kwestionariuszy i że w rezultacie nie uzyskam odpowiedniej ilości materiału statystycznego. Pytano mnie również, w jaki sposób dotrę do Polaków i czy to możliwe, aby Polacy byli zorganizowani. Nikt nie mógł zrozumieć dlaczego Polak w Ameryce będzie chciał odpowiedzieć na tak długi kwestionariusz.

Podjęłam się zadania, którego jeden człowiek wykonać nie jest w stanie. Ale wierzę w silny instynkt patriotyczny Polaków w Ameryce, w głębokie przywiązanie do własnego pochodzenia, w polski charakter narodowy, który trwa przez pokolenia, którego nie zmienia ani tragizm wojny, ani dobrobyt w nowej ojczyźnie.

Czołowi przedstawiciele polskich organizacji w Stanach Zjednoczonych odpowiedzieli na mój apel o pomoc. Nakładem wielu godzin pracy, bezinteresownie rozestali i rozsyłają ankietę na posiadane adresy.

Wraz z grudniowym numerem *Kombatanta* rozeszło się 2.500 egzemplarzy do członków i przyjaciół S.P.K., 500 egzemplarzy otrzymali członkowie SWAP z Drugiej Wojny Światowej, Harcerstwo i Związek Więźniów Politycznych czynnie współdziałają, pp. Łukomscy w Chicago zajmują się rozprawianiem 1000 egzemplarzy. Przyjaciele mobilizują przyjaciół. Oby starczyło wszystkim zapachu!

Ta wspólna akcja niezależnych od siebie polskich ugrupowań i poszczególnych osób w Stanach Zjednoczonych świadczy o zrozumieniu potrzeby zbadania naukowego emigracji. Świadczy również o ogromnej sile łączącej wszystkich Polaków.

Powodzenie zamierzonej pracy zależy od każdego Polaka. Postarajmy się o kwestionariusz, wypełniamy go natychmiast, bez odkładania, a kto otrzyma dodatkowy egzemplarz niech przekaże następnej osobie, albo niewypełniony odesła lub odda na zebraniu. Odpowiedzieć powinien każdy, inaczej akcja nie przyniesie prawdziwych rezultatów. Odpowiadajmy uważnie, na wszystkie pytania, każde z nich w analizie komputerowej przyniesie ważne odpowiedzi.

KIM JEST IMIGRANT POLSKI w Ameryce? Jak czuje, jak myśli, jak wychowuje swoje dzieci, dlaczego przyjechał do Ameryki, jak dotarł do tego kraju?

Danuta MOSTWIN

Bask Lane

off 1300 Malvern Avenue
Baltimore, Maryland, 21204.

Latarnicy

Już sama notatka o dobrym malarzu zjawiającym się na emigracji warta jest tego, by ukazała się w *Kulturze*. Jednak tu chodzi nie tylko o to.

Borys Borkowski (ur. 1910 w Krzemieńcu) skończył przed wojną warszawską Akademię, studiował m.in. u profesorów Kowarskiego i Pękalskiego, a kiedy w 1939 restaurował Stary Rynek w Lublinie, podmuch bomby niemieckiej zrzucił go z rusztowania przez okno do środka kamienicy. W tym nalocie Borkowski stracił nogę, jest to ten sam nalot w którym ginie Czechowicz. O wojennych i powojennych przeżyciach Borkowskiego, o jego usiłowaniach ażeby wyjechać z kraju — można by, jak niemal o każdym z nas, napisać ważną i przerażającą książkę. Ale nie o to tu chodzi.

7 lat temu Borkowski przybywa do Brisbane, do Australii, z żoną i trojgiem dzieci, pracuje jako kreślarz. Miejscowa Polonia nie umie zdobyć się w stosunku do niego na gest życzliwości i zainteresowania. Kiedy zbudowano w Brisbane prześliczny i niemały Dom Polski, odrzucono ofertę Borkowskiego, że na froncie zrobi godło państwowe, za niecałe 200 dolarów, z kosztami materiału włącznie. Podejrzewano go, że chce zarobić.

Wykonanie orła polecono Australijczykowi. Zapłacono mu 600 dolarów. Borkowski, pracujący i poszukujący w kilku technikach, najlepszy jest może w drzeworytach i grafikach które nazywa monotypią. Wypracował własną metodę i własną mieszkankę farb akrylinowych. Rysuje na specjalnym plastiku, potem na konstrukcji rysunku maluje czy koloruje, a raczej nasycza barwami płytę, a potem robi z niej odbitkę. Jedną. Zmywa potem płytę i znówu nasycza ją innymi kolorami i w innych gęstościach, przez co na drugiej odbitce osiąga zupełnie inne efekty. Ponieważ nie ma pieniędzy na dobry materiał, takich odbitek może zrobić trzy-cztery, z których każda jest w pewnym sensie niepowtarzalnym oryginałem. Często takie grafiki, monotypie, są bardzo piękne.

Andrzej CHCIUK

P.S. Melbourneńskie Koło Przyjaciół Paryskiej Kultury uzyskało zgodę na urządzenie dwóch wystaw Borkowskiego w Melbourne. Pierwsza odbędzie się w lokalu polskiego biura podróży „Odra”, drugą przyjmie do swej wystawy ceramik Stefan Szyszko. Społeczeństwo polskie w Melbourne będzie miało okazję zapoznać się z pracami Borysa Borkowskiego i nabyć je.

O religii bez namaszczenia

Kościelne zagrożenie migracji

W dyskusjach na tematy ruchu migracyjnego podnoszą się coraz częściej głosy, że w czasach obecnych migracja przestała istnieć jako problem społeczny. Rozwój bowiem współczesnego społeczeństwa doprowadził do takiego stanu rzeczy, że nie ma potrzeby na masowe wędrówki z jednego kraju do innego. Istniejące zaś ruchy przesiedleńcze są raczej sporadyczne, a nowoczesne społeczeństwo rozwiązuje je prawie automatycznie drogą zwykłej asymilacji.

Głosy o nieaktualności migracji jako problemu społecznego dają się słyszeć również wśród Polonii. Zwolennicy poglądu o nieuchronnym i stopniowym zamieraniu życia polonijnego powołują się z jednej strony na fakt stałego zmniejszania się napływu ludności z Polski, a z drugiej strony na stały proces wynaradawiania się, zwłaszcza wśród młodzieży. Za typowy przykład „uspakajania” opinii publicznej Polonii o braku konieczności ruchu migracyjnego z Polski za granicę może nam służyć wypowiedź z „Naszej Ojczyzny”, organu sponsorowanego przez reżym warszawski. W artykule zatytułowanym „Emigracja przestała być problemem” czytamy: „Emigracja z Polski jako zjawisko masowe przestała dzisiaj istnieć. Tylko pewna liczba ludzi opuszcza kraj rocznie i to tylko ze względów na sytuację rodzinną. Obecnie Polacy nie potrzebują szukać chleba i pracy za granicą, jak to miało miejsce dawniej. Obecnie zarówno chleb jak i pracę mają zapewnioną w Polsce”. Tego rodzaju propaganda jakoś chwytą, skoro cały szereg osób z Polonii po powrocie z wizytą w Polsce wychwala pod niebiosa sytuację istniejącą obecnie w kraju. Oczywiście zapomina się przy tym, że reżym komunistyczny w sposób brutalny odmawia podstawowego prawa o decydowaniu i wyborze miejsca pobytu, prawa, które przysługuje każdemu człowiekowi na podstawie samej jego natury, jako istoty wolnej i społecznej.

Dla rządów totalitarnych konieczność uznania sytuacji migra-

cyjnej jako problemu społecznego nie jest wygodne. Przyczyną bowiem dla której najczęściej ludność zmuszona jest migrować z jednego kraju do drugiego są złe stosunki społeczno-ekonomiczne, co jest niezbitym dowodem przeciwko panującym stosunkom gospodarczo-politycznym danego kraju. I dlatego zwolennicy rządów totalitarnych, jak na przykład w obecnej Polsce Ludowej, usiłują albo zupełnie zignorować zagadnienie migracji, jako rzeczywistego problemu społecznego, albo je ograniczyć do minimum.

Ostatnio doznaliśmy innego rozczarowania, tym razem z kół Watykańskich. Instrukcja „O opiece duszpasterskiej nad migrantami” opracowana przez Kongregację dla Biskupów, a zatwierdzona przez Papieża Pawła VI jako obowiązująca cały świat katolicki, wprowadziła szereg poważnych zmian w dotychczasowe ustawodawstwo kościelne odnośnie spraw migracyjnych, i to — według powszechnej opinii — na niekorzyść samej ludności migracyjnej.

Nieco z dziejów paradoksu katolickiego pojmowania spraw migracyjnych

W literaturze poświęconej katolickiemu traktowaniu spraw migracyjnych najczęściej powołuje się na fakt specjalnej troski Kościoła o duchowe losy ludności migracyjnej. I zupełnie słusznie. Wystarczy wskazać na niektóre dane liczbowe, aby przekonać się o poważnym wkładzie Kościoła Katolickiego w rozwiązanie spraw ruchu migracyjnego świata.

Za panowania ostatnich trzech papieży Stolica Apostolska opublikowała przeszło 50 dokumentów na temat spraw migracyjnych. Dla spraw ruchu migracyjnego powołano specjalne międzynarodowe organizacje i komisje, m.in. istnieje Międzynarodowa Katolicka Komisja dla Spraw Migracji. Zagadnienie migracji stanowi główny temat specjalnych międzynarodowych kongresów. W szeregu krajów rok rocznie odbywają się specjalne kongresy krajowe i regionalne, oraz ukazują się cały szereg biuletynów i różnych czasopism poświęconych wyłącznie problematyce migracyjnej, np. *Migration News*, *The International Migration Review*, *Studi Emigrazione*, *France Migration*. W Watykanie przy Kongregacji dla Biskupów istnieje specjalny Urząd dla Spraw Migracyjnych, którego zadaniem jest koordynacja pracy duszpasterskiej wśród ludności migracyjnej. Rok rocznie w każdą pierwszą Niedzielę Adwentu obchodzi się uroczystości „Dzień Migranta”. Ponadto w ostatnim stuleciu założono szereg zgromadzeń i stowarzyszeń zakonnych, poświęconych wyłącznie pracy duszpasterskiej wśród migrantów, m.in. dwa polskie „Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego” i „Towarzystwo Chrystusowe dla Polaków Wychodźców”.

Pozytywne ustosunkowanie się Kościoła do spraw ruchu migracyjnego i poważny wysiłek Stolicy Apostolskiej w dziedzinie

planowania migracyjnego, okazują się często, w praktyce życia codziennego, mało skuteczne, a w wielu wypadkach cierpią na brak konsekwencji, zwłaszcza przy realizacji głoszonych norm i zasad. W rezultacie zaangażowanie się Stolicy Apostolskiej w sprawy ruchu migracyjnego prowadzi do powstania sytuacji kompromisu i nieustannego cofania się Kościoła z zajętego stanowiska. O braku stałości Watykanu w sprawach migracyjnych może świadczyć obecna kompletna kapitulacja stanowiska zajętego blisko dwadzieścia lat temu w Konstytucji Apostolskiej Piusa XII „*Exul Familia*”.

Konstytucja Piusa XII powołując się na istniejące z dawna przepisy kościelne nakazywała zorganizowanie dla każdej grupy etnicznej specjalnej opieki duszpasterskiej czy to przez zakładanie normalnych parafii narodowościowych czy też zorganizowanie odpowiednich placówek misyjnych. Ponadto „*Exul Familia*” zobowiązywała episkopaty poszczególnych krajów do powołania specjalnego urzędu rektorów misyjnych, osobno dla każdej grupy etnicznej. W myśl ustawodawstwa kościelnego każda parafia narodowościowa cieszy się szczególnymi przywilejami prawnymi, a jej zakładanie czy rozwiązywanie zostało wyjęte spod jurysdykcji miejscowych biskupów. Ordynariusz miejscowy miał obowiązek nie tylko przestrzegać uprawnień ludności migracyjnej, ale czynnie przyjąć z pomocą w wyszukaniu i sprowadzeniu odpowiednich duszpasterzy narodowościowych. Wreszcie Konstytucja Piusa XII dokładnie określiła władzę i zakres działania kapelanów i duszpasterzy migracyjnych, nadając im te same przywileje co wszystkim innym proboszczom, m.in. prowadzenie własnych ksiąg parafialnych, udzielanie ślubów, pogrzebów, itd.

Wskazania i polecenia Konstytucji „*Exul Familia*” zostały ogólnie przyjęte przez poszczególne episkopaty świata katolickiego, a w zależności od rozmiarów i natężenia ruchu migracyjnego wprowadzono w życie odpowiednie normy i sposoby oddziaływania duszpasterskiego. Wyjątkiem jednak pod tym względem okazał się Kościół Katolicki w Stanach Zjednoczonych. Hierarchia kościelna kraju, który posiada największą liczbę ludności migracyjnej na świecie, nie tylko zupełnie zignorowała zalecenia Watykanu w sprawie opieki duszpasterskiej wśród migrantów, ale przystąpiła do systematycznego pozbawiania poszczególnych grup etnicznych z posiadanych uprzednio przywilejów kościelnych. Wystarczy wskazać na niektóre fakty z życia Polonii Amerykańskiej, aby przekonać się o praktykowanej tutaj dyskryminacji etnicznej przez członków episkopatu Ameryki.

Od szeregu lat w diecezjach o wielkich skupiskach polonijnych biskupi miejscowi przystąpili do systematycznego zamykania polskich szkół parafialnych, a w istniejących nadal szkołach polonijnych uparcie odmawiano udzielenia pozwolenia nauczania młodzieży języka polskiego. Nie do rzadkości należą fakty przywłaszczania sobie polskich instytucji i zamieniania ich na inne cele, jak to mało miejsce w Chicago, gdzie Kardynał Cody bezprawnie odebrał Polakom zebrane fundusze na wybudowanie no-

wego kościoła polskiego i przeznaczył je na budowę... cmentarza. Duchowieństwa polonijnego prawie w ogóle nie uwzględnia się przy awansach na urzędy i godności kościelne, zwłaszcza na stanowisko biskupa. Nominacja zaledwie kilku biskupów z grupy etnicznej, która dała Kościołowi Ameryki prawie jedną piątą liczbę swoich wyznawców, najdobitniej ujawnia nastawienie episkopatu amerykańskiego wobec mniejszości narodowościowych. Zależenie członków Hierarchii kościelnej w Stanach Zjednoczonych poszło tak daleko, że mimo dziesiątków tysięcy napływającej ludności co roku do Ameryki, nie założono tu od 1928 roku ani jednej parafii etnicznej. Ponadto w ostatnich latach episkopat amerykański usiłuje zlikwidować istniejące parafie narodowościowe lub fakt ich istnienia zupełnie zignorować, jak to uczynił m.in. Kardynał Dearden, który na z górą trzydzieści istniejących parafii polonijnych w Detroit umieścił w spisie diecezjalnym tylko jeden kościół jako parafię polską.

Dążenie biskupów amerykańskich do ograniczenia praw ludności migracyjnej do samostanowienia o życiu religijnym wyrażają w Stanach Zjednoczonych najczęściej z fałszywie pojętej integracji religijnej, według której należy dążyć do „katolizacji” Ameryki przez „amerykanizację” imigrantów katolików, jak to najdobitniej określił założyciel Paulinistów amerykańskich Ojciec Hecker. Niestety, tak pojęta „katolizacja” w niczym nie różni się od wybujałego nacjonalizmu, wyrosłego na terenie Stanów Zjednoczonych z przesądów anglosaskiego rasizmu, typu teorii Gobi-neau. Na terenie USA z rasizmu anglosaskiego zrodził się tzw. „Nativism” i „Know nothingism”.

Wrocie ustosunkowanie się do grup etnicznych i niepodporządkowanie się żądaniom Stolicy Apostolskiej, Episkopat Amerykański usiłował usprawiedliwić uchwałami Soboru Watykańskiego II, zwłaszcza dekretem „Dominus Christus” i papieskim Motu Proprio „Ecclesiae Sanctae”. Otóż dokumenty te ustanawiają ogólne normy przy organizowaniu życia parafialnego i wymieniają warunki prawne wymagane przy zakładaniu, zniesieniu czy odnawianiu parafii w ogóle. W myśl wysuniętych norm prawnych w tych dekretach władza biskupa jest ograniczona w dwóch wypadkach, a mianowicie: istnienie konkordatu ze Stolicą Apostolską i niebezpieczeństwo naruszenia praw osób fizycznych czy moralnych. Jeżeli zachodzi jeden z tych wypadków, biskupi muszą przy organizacji parafii zwrócić się do Rzymu, by otrzymać odpowiednie pozwolenie do wprowadzenia jakichkolwiek zmian.

Konieczność odniesienia się do Stolicy Apostolskiej w sprawach wprowadzenia zmian w statusie parafii narodowościowych w Ameryce nie dotyczyła w zmodyfikowanym prawie kościelnym episkopatu amerykańskiego, gdyż rząd Stanów Zjednoczonych nie zawarł konkordatu ze Stolicą Apostolską, a niebezpieczeństwo naruszenia praw osób fizycznych czy moralnych można by było uznać za nieaktualne. Antycypując jednak ewentualny sprzeciw zainteresowanych grup etnicznych, Hierarchia amerykańska uznała za stosowne starać się otrzymać formalne pozwolenie od Wa-

tykanu dla samowolnego decydowania o parafiach narodowościowych, i w tym celu biskupi amerykańscy na Konferencji Krajowej Episkopatu Amerykańskiego w Chicago w 1967 roku skierowali pismo do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zwolnienie ich z obowiązku odwoływania do Stolicy Apostolskiej w wypadkach zniesienia parafii narodowościowych. Znamienny jest przy tym fakt ograniczenia petycji do jednego tylko punktu wspomnianych dekretów, a mianowicie prawa do zniesienia i to wyłącznie odnośnie parafii narodowościowych, a nie parafii w ogóle.

Polonia Amerykańska uznała petycję Episkopatu Amerykańskiego do Stolicy Apostolskiej za naruszenie prawa i zagrożenie istnienia wszystkich grup etnicznych w Ameryce. Posypały się protesty nie tylko do Przewodniczącego Krajowej Konferencji Episkopatu Amerykańskiego, ale i do Stolicy Apostolskiej. Niestety, liczne petycje Polonii Amerykańskiej nie dały żadnych rezultatów, a wysuwane propozycje ze strony grup mniejszości narodowościowych pozostały bez odpowiedzi. W ostatecznym wyniku interwencji biskupów amerykańskich powstała powyższa Instrukcja, która ustępując naciskom biskupów świata, zwłaszcza Europy Zachodniej, Australii i Ameryki Północnej, oddaje losy duchowe ludności migracyjnej samowoli miejscowych biskupów.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości że autorzy nowej Instrukcji dla Spraw Migracyjnych kierowali się troską o dobro duchowe migrantów. Z samej nauki chrześcijańskiej wynika, że w Kościele „nie masz Greka ni Żyda”. Zgodnie zaś z poleceniem Chrystusa misją Kościoła ma być „nauczanie wszystkich narodów” i poszanowanie praw wszystkich ludzi bez względu na rasę, pochodzenie i wyznanie. W sposobie jednak planowania migracyjnego Instrukcja papieska „O duszpasterskiej trosce nad migrantami” doprowadziła do sytuacji kompromisu i losy migrantów uzależniła od nacjonalizmów poszczególnych biskupów miejsca pobytu ludności migracyjnej.

Powstaje pytanie: co mogło zadecydować, że Stolica Apostolska poszła na kompromis w sprawach migracyjnych? Jak należy wytłumaczyć paradoks kościelnego podejścia do duchowej opieki na rzecz ludności migracyjnej? Odpowiedzi na te pytania należy szukać w zmianach jakie nastąpiły w Kościele Posoborowym. Po wielowiekowym panowaniu autokratycznych rządów, w Kościele nastąpiła moda na ich demokratyzację. Zdobyte Soboru Watykańskiego II pozostały jednak w rękach dawnych administratorów Watykańskich. Śmierć twórcy Soboru Powszechnego, Jana XXIII, kurialiści rzymscy uznali za znak Opatrzności Boskiej nad Kościołem, i w myśl swoiście zrozumianej ewangelicznej zasady: „Stare wino w nowych beczkach”, przystąpili do ratowania dawnego prestiżu Rzymu przed realizacją zasad soborowych. W rezultacie nastąpiło wzajemne ściąganie się i walka o rządy w Kościele. Paweł VI nie chcąc dopuścić do rozłamu w Kościele zajął stanowisko pośrednie między Kolegium Biskupów i Kurią Rzym-

ską. Stanowisko zajęte przez papieża przysporzyło mu tytułu Hamleta, a w praktyce życia kościelnego doprowadziło do kompromisów w różnych dziedzinach działalności Kościoła. W konsekwencji nastąpił poważny kryzys autorytetu w Kościele, a wielu teologów zaczęło się zastanawiać czy nie nastąpiła nowa epoka reformacji.

*Dylemat rządów kościelnych
centralizacja czy decentralizacja*

Obecny kryzys w Kościele i możliwość powstawania różnych sytuacji kompromisowych w sprawach kościelnych jest konsekwencją przesilenia jakie następuje w pojmowaniu zasady jedności wszystkich członków Kościoła w jeden organizm społeczności wiernych. W pojmowaniu, a zwłaszcza przy realizowaniu tej jedności, dają się zauważyć w Kościele dwie skrajne, wzajemnie ścierające się tendencje: centralistyczna i decentralistyczna. Oczywiście, różnice w pojmowaniu zasady jedności Kościoła Chrystusowego nie dotyczą różnic dogmatycznych, ale odnoszą się one do różnorodnego zaakcentowania w sposobie pojmowania natury Kościoła Katolickiego.

W strukturze społecznej Kościoła można wyróżnić dwie istotne funkcje i nastawienia na świat, a mianowicie jego apostołskość i misyjność. Apostołskość i misyjność jako charakterystyczne cechy Kościoła każdej epoki historycznej nie mogą być ze sobą sprzeczne, a powstające różnice dotyczą jedynie sposobu pojmowania ich przez wiernych. I dlatego w procesie rozwoju historycznego ludzkości powstają różne wizje królestwa bożego na ziemi, w zależności od danej epoki, w której Kościołowi Katolickiemu przypada istnieć i działać. Napięcie między apostołskością i misyjnością Kościoła Chrystusowego jest permanentne i towarzyszy ono od samego początku religii chrześcijańskiej.

W początkach chrześcijaństwa podkreślano z konieczności misyjny charakter Kościoła co prowadziło do decentralizacji rządów kościelnych. O tendencjach decentralistycznych wśród pierwszych gmin chrześcijańskich mogą świadczyć między innymi listy św. Pawła, adresowane zawsze do wiernych partykularnych kościołów w Koryncie, Efezie, Rzymie, czy indywidualnych osób jak Tymoteusza, Tytusa i Filomona. Wizja Kościoła jako partykularnych gmin nawróconych pogan na chrześcijaństwo wynikała z charakteru nakazu Chrystusowego: „idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody...”. Uniwersalizm więc kościołów partykularnych polegał na jedności różnorodnych ludów, złączonych ze sobą wiarą w postannictwo Chrystusa, niezależnie od pochodzenia, rasy czy narodowości.

Tendencje centralistyczne wśród pierwszych wyznawców Chrystusa przychodzą od nawróconych Żydów, usiłujących związać chrześcijaństwo z ideą żydowskiego mesjanizmu. W wyniku powstało napięcie między tendencją do judaizacji chrześcijaństwa

a jego katolizacji w sensie powszechności nauki Chrystusowej. Św. Paweł podkreślając partykularyzm i misyjny charakter Kościoła dążył do uniezależnienia religii chrześcijańskiej jako całości od określonej narodowości czy powiązań wyznaniowych, a tym samym okazał się zwolennikiem decentralizacji rządów kościelnych. W myśl tych założeń św. Paweł ograniczył swoją działalność apostołską do terenów nie objętych jeszcze działalnością innych apostołów czy uczniów Chrystusa. Św. Piotr natomiast, ulegając namowom Żydów podkreślał apostołskość Kościoła Chrystusowego i dążył do centralizacji wszystkich wiernych przez ich judaizację. Z perspektywy historycznego rozwoju ówczesnego Kościoła słusność miał św. Paweł, o której potrafił przekonać również samego Księcia Apostołów. I prawdopodobnie jedną z głównych przyczyn przeniesienia ośrodka chrześcijaństwa z Jerozolimy do Rzymu była próba uniezależnienia Kościoła od Judaizmu i nastawienie działalności apostołskiej na pluralizm całego ówczesnego świata, skonkretyzowanego w idei powszechności Imperium Rzymskiego.

Z chwilą rozdzielenia Imperium Rzymskiego i powstania dwóch ośrodków cesarskich na Wschodzie i Zachodzie, ożyło na nowo w łonie chrześcijaństwa napięcie i ścieranie się między tendencją centralistyczną Rzymu, w imię apostołskości Kościoła, a tendencją decentralistyczną Bizancjum w imię misyjnego charakteru Kościoła z jego partykularyzmem kościołów lokalnych. Chrześcijaństwo średniowiecza stanęło przed faktem rozbitcia Kościoła Chrystusowego między papieństwem Rzymu i patriarchatem Bizancjum. Oczywiście, po jednej i po drugiej stronie dokonują się dalsze zróżnicowania i podziały. U progu nowożytności reformatorzy zaczynają podkreślać ideę misyjną chrześcijaństwa a tym samym partykularyzm poszczególnych zborów Kościoła Zreformowanego. Tendencje decentralistyczne Reformacji poszły tak daleko, że uzależniły władze kościelne od władzy świeckiej w myśl zasady *cuius regio eius religio*. W odpowiedzi na protestanckie tendencje decentralistyczne Kościół Katolicki zaczyna podkreślać apostołski charakter Kościoła z jego hierarchicznością, a tym samym centralizm rządów kościelnych w osobie następcy św. Piotra. W ostatecznym wyniku dochodzi w okresie ostatniego stulecia do ponownego napięcia w Kościele Katolickim między ideą prymatu papieskiego a kolegalnością rządów wszystkich wiernych w Kościele. Sformułowanie istoty Kościoła jako społeczności wiernych pod rządami papieża, wypracowane na Soborze Trydenckim, zostało przewyciężone dopiero na Soborze Watykańskim II, gdzie Kościół został określony jako powszechny sakrament zbawienia, obejmujący wszystkich ludzi dobrej woli niezależnie od pochodzenia czy wyznania; jedynie ateści złej woli są wyłączeni z przynależności do Kościoła.

Wizja Kościoła wypracowana przez ostatni Sobór Watykański II ożywiła na nowo sprawę jedności i ujawniła świadomości wiernych istnienie zasadniczych różnic w sposobie pojmowania roli Kościoła w dzisiejszym świecie. Zwolennicy decentralizacji

rządów w Kościele zarzucają Stolicy Apostolskiej instytucjonalizm i legalizm w dziedzinie moralności i wiary oraz sztywny formalizm w oddziaływaniu społecznym Kościoła na świat. Obrońcy natomiast rządów silnej ręki i władzy centralnej w Kościele oskarżają swoich przeciwników o sprzeniewierzenie się chrześcijańskiej nauce o jedności, reprezentowanej w osobie papieża i usiłującą wizję Kościoła Posoborowego poddać na powrót pod dawniejsze zasady i reguły dyscypliny kościelnej. Ze względu jednak na wzrastające wciąż na sile prądy liberalne w Kościele, konserwatywni kurialiści rzymscy muszą stopniowo ustępować przez daleko nieraz posunięte koncesje na rzecz partykularnych dążeń i żądań biskupów. W rezultacie dochodzi do kompromisów w różnych dziedzinach działalności kościelnych między innymi również w omawianym przez nas zagadnieniu katolickiego podejścia do spraw migracyjnych.

W dobie panowania tendencji centralistycznych w Kościele ruch migracyjny Stolica Apostolska traktowała odgórnie i konsekwentnie wyjmowała prawo ostatecznego decydowania o formach opieki religijnych wśród migrantów spod jurysdykcji miejscowych biskupów. W oczach ludności migracyjnej takie planowanie migracyjne okazywało się pozytywne, gdyż pozostawiało migrantom prawo do decydowania i samostanowienia w życiu religijnym zgodnie z tradycjami własnej grupy narodowościowej. Natomiast w epoce panowania prądów decentralistycznych w Kościele decyzja planowania życia religijnego i opieki duchowej wśród ludności migracyjnej zostaje oddana do rozstrzygnięcia hierarchii miejscowej, której najczęściej brakuje właściwego zrozumienia dla odmiennych potrzeb życia duchowego mniejszości narodowościowych. W związku z tym rodzi się niebezpieczeństwo uniformizacji w pracy apostolskiej kosztem samych migrantów, a tym samym przekreślenia możliwości pielęgnowania odrębności poszczególnych grup etnicznych.

Sobór Watykański II stał się dla Kościoła rachunkiem sumienia, który doprowadził — jak to określił jeden z dostojników kościelnych — do prawdziwej „kopernikańskiej rewolucji” zarówno w sposobie myślenia jak i postępowania. Po wielowiekowym podkreślaniu apostolskiego charakteru Kościoła Powszechnego, nastąpił poważny kryzys autorytetu Stolicy Apostolskiej i konieczność przeprowadzenia rewizji dotychczasowej pewności i poczucia samowystarczalności. Nastąpiła potrzeba dowartościowania porządku przyrodzonego i konieczność nawiązania dialogu ze światem. Oczywiście, w tym dialogu dochodzi do napięcia i szeregu nieporozumień. Kardynał Suenes odróżnia dzisiejszych krytyków w Kościele od zwykłych buntowników, którzy odpadają od jedności i wspólnoty wiernych:

„Nawet jeżeli ich zarzuty (scil. krytyków) zbiegają się z zarzutami zbuntowanych, chodzi o coś zupełnie innego. Tak jak tamci, ale w Kościele, wytaczają proces jurydyzmowi, ale nie prawu; autorytaryzmowi, ale nie autorytetowi; legalizmowi, ale nie uznawaniu prawa; sklerozie, ale nie porządkowi; uniformizmowi, ale nie jedności”.

Na tle zachodzących zmian w Kościele powstaje nowa wizja rzeczywistości chrześcijańskiej. Wybitny teolog niemiecki Karl Rahner określił Kościół XX wieku jako Kościół Diaspory. Sytuacja diaspory wymaga od dzisiejszego chrześcijanina postawy misyjnej. Nie autorytet, ale świadectwo dawane życiem jest czynnikiem decydującym o prawdziwości wyznawanej wiary. Stąd troska o autentyczność w poglądach i postępowaniu na co dzień. W sytuacji diaspory odpada dziedziczenie poglądów religijnych po przodkach, a następuje osobiste kształtowanie ducha wiary i poczucie odpowiedzialności za świat.

Sytuacja diaspory, w jakiej znalazł się Kościół Katolicki, powinna z natury samej rzeczy sprzyjać ruchowi migracyjnemu. W świetle diaspory Kościół ruchu migracyjny traci charakter specjalnego zjawiska, gdyż wszyscy wierni zaczynają uświadamiać sobie fakt, że z powołania ich wiary wszyscy są pielgrzymami Absolutu i na równi z wszystkimi innymi zmuszeni są osobiście sprawować dzieło zbawienia w niepewności i ryzyku. W dzisiejszym Kościele ruch migracyjny nabiera znaczenia symbolu i staje się jedną z form sytuacji diaspory.

Partykularyzacja czy uniwersalizacja Kościoła Powszechnego

Kościół Posoborowy stanął przed koniecznością przeprowadzenia rewizji dotychczasowego sposobu postępowania i potrzebą znalezienia nowej formy jedności kościelnej. W myśl założeń Soboru Watykańskiego II jedność wszystkich wiernych w Kościele należy oprzeć na zasadach *ekumenizmu* i *kolegialności*. W związku z tym zaistniała również potrzeba wprowadzenia szeregu zmian w sposobie podejścia do spraw ruchu migracyjnego, na co także wskazuje Paweł VI w swoim *Motu Proprio* zatwierdzającym Instrukcję „O duszpasterskiej opiece nad migrantami”.

Zasady ekumenizmu i kolegialności mają w zasadzie wzajemnie się uzupełniać i doprowadzić do zjednoczenia i współpracy całej społeczności wiernych. Ekumeniczne więc pojmowanie migracji musi zostać oparte na zasadzie kolegialności. Chociaż zamierzenia i uchwały nowej Instrukcji papieskiej są owiane troską o duchowy los migrantów, to jednak w ich praktycznej realizacji powstają poważne zastrzeżenia i wątpliwości. Słabość nowego dokumentu papieskiego polega m.in. na braku równowagi w rozłożeniu uprawnień odnośnie planowania migracyjnego między poszczególnymi organami władzy kościelnej.

Kongregacja dla Biskupów, jako naczelną instancją planowania duszpasterstwa migracyjnego, zachowała dla siebie jedynie ogólny nadzór i opiekę duchową. Dawniejsze uprawnienia Stolicy Apostolskiej w sprawach duszpasterstwa migracyjnego zostały obecnie przejęte przez Konferencję Episkopatu Krajowego, która za pośrednictwem wybranego przez siebie delegata dla danej grupy etnicznej pozbawia tym samym migrantów możliwości bezpośredniego kontaktu z Episkopatem dawnego miejsca pobytu.

Całą władzę otrzymują biskupi miejscowi, którzy będą ostatecznie decydowali do jakiego stopnia ludność migracyjna przebywająca na terenie ich diecezji będzie korzystała z praw i przywilejów, przyznanych im przez Stolicę Apostolską. Tak zresztą została zrozumiana Instrukcja papieska przez prasę katolicką w Stanach Zjednoczonych.

Takie przedstawienie władzy oznacza w praktyce nie tylko ograniczenie prawa do samostanowienia o strukturze i formie duszpasterstwa migracyjnego, ale również absolutne podporządkowanie ludności migracyjnej i uzależnienia jej od nastawienia miejscowego biskupa. W ten sposób wprowadzona zasada kolegialności doprowadziła do decentralizacji rządów w Kościele, ale ze szkodą dla samych migrantów. Pozostawienie bowiem ostatecznej decyzji dla miejscowego ordynariusza czy nawet Krajowych Konferencji Biskupów kraju pobytu będzie źródłem nieustannego konfliktu i nieporozumień. Ewentualna zaś możliwość odwołania się do Konferencji Biskupów kraju pochodzenia nie będzie miała mocy wiążącej danego ordynariusza miejsca pobytu migrantów. Zresztą kompetencje Krajowych Konferencji Biskupów pochodzenia migrantów nie zostały w Instrukcji jasno sprecyzowane.

Ekumeniczne zamiary autorów Instrukcji wobec ruchu migracyjnego zostały więc zniweczone przez zastosowanie fałszywie zrozumianej zasady kolegialności. Kolegialność musi być skierowana do ortodoksyjnej jedności, a nie do samowolnego decydowania przez poszczególnych hierarchów kościelnych. Nie można bowiem uwolnić wiernych od totalitaryzmu przez zastąpienie go arbitralnością rządów poszczególnych jednostek.

Obiegowe rozumienie kolegialności sprowadza się najczęściej do pojęcia subsydiarności rządów kościelnych. Zasada subsydiarności, wypracowana przez Piusa XI w Encyklice „Quadragesimo anno” mówi, że władza wyższa nie powinna rozstrzygać spraw, które mogą zostać załatwione przez władzę niższego szczebla. W zastosowaniu do kolegialności zasada subsydiarności oznacza dążenie do udzielenia jak największej autonomii miejscowym biskupom i Krajowej Konferencji Biskupów danego miejsca. Takie pojmowanie kolegialności prowadzi jednak do powstawania niebezpieczeństwa *partykularyzacji* Kościoła Powszechnego i utraty poczucia jedności oraz zaniku wyczulenia na dobro wspólne wszystkich wiernych w Kościele. W celu przezwyciężenia niebezpieczeństwa rozbicia jedności wszystkich wiernych na odrębne jednostki kościelne, należy zasadę subsydiarności uzupełnić zasadą solidarności i współodpowiedzialności za losy duchowe wszystkich ludzi. A więc, poprawne rozumienie kolegialności wymaga aby w dążeniu do zachowania potrzebnej jedności przestrzegać odrębności Kościołów lokalnych w duchu *uniwersalizmu* chrześcijańskiego.

Naukę o uniwersalistycznym pojmowaniu zasady kolegialności możemy spotkać w wypowiedziach samych papieży. Pius XII w swojej pierwszej Encyklice „Summi Pontificatus” tak pisał:

„Kościół Jezusa Chrystusa, jako wierny stróż dobroczynnej w skutkach i Boskiej mądrości, nie dąży do tego, by osłabić albo zlekceważyć to, co stanowi cechy lub właściwości poszczególnych narodów i czego słuszenie każdy naród z petyzmem broni do upadłego, jako swojej świętej spuścizny. Kościół dąży do jedności płynącej z nadprzyrodzonej i wzniosłej miłości, która ma być pierwiastkiem działania wszystkich; natomiast obce jest mu dążenie do zrównania wszystkiego i zaprowadzenia jednolitości czysto zewnętrznej, która wyniszcza wrodzone siły. Stąd też wszelkie starania i wytyczne, które służą do mądrego i uporządkowanego rozwoju sił i zdolności wywodzących się z najgłębszych pokładów ducha każdego narodu, Kościół pochwała i otacza macierzyńską opieką, jeśli one nie są sprzeczne z obowiązkami wypływającymi ze wspólnego porządku i ze wspólnego celu wszystkich ludzi”.

Tę samą naukę spotykamy u Jana XXIII, który w swojej Encyklice „Mater et Magistra” pisze:

„Kościół, jak wiadomo, należy z prawa Bożego do wszystkich ludów: potwierdza tę prawdę fakt, że Kościół rzeczywiście jest obecny w całym świecie i dąży do objęcia wszystkich narodów...”.

Wreszcie Paweł VI w swoim Motu Proprio zatwierdzającym Instrukcję w sprawach ruchu migracyjnego podkreśla konieczność zachowania poczucia jedności w duchu uniwersalizmu chrześcijańskiego:

„Zrozumiałe jest, że nie można skutecznie otoczyć opieką duszpasterską migrantów, jeśli się nie uwzględni właściwego im dziedzictwa duchowego oraz całego ich dorobku kulturowego... Jest też rzeczą oczywistą, że należy uważać, by tego rodzaju różnice i uprawnione adaptacje różnych grup narodowościowych nie wychodziły na szkodę jedności, do której powołani są wszyscy w Kościele”.

Właściwego rozwiązania opieki duszpasterskiej nad ludnością migracyjną należy więc szukać w kolegialności, ale pojętej w duchu uniwersalizmu chrześcijańskiego. Uniwersalistyczne rozumienie kolegialności w Kościele oznacza poczucie *współodpowiedzialności* całego Ludu Bożego za losy współbraci żyjących w sytuacji migracyjnej. Ustalenie planu i programu oddziaływania apostolskiego wśród migrantów nie powinno więc być pozostawione wyłącznie do decyzji miejscowych ordynariuszy czy nawet Krajowych Konferencji Biskupów miejsca pobytu migrantów. Z doświadczenia historycznego Kościoła wiadomo bowiem, jak często miejscowa Hierarchia wykazywała brak zupełnego zrozumienia potrzeb narodowo-religijnych mniejszości etnicznych, a przez to wyrządzała niepowetowane szkody dla wiary Chrystusowej; tytułem przykładu wystarczy wskazać na historię powstania Polskiego Kościoła Narodowego.

Właściwe podejście do zagadnienia pracy apostolskiej wśród migrantów wymaga współpracy między przedstawicielami hierarchii pochodzenia jak i obecnego miejsca pobytu migrantów. Konieczność takiej współpracy wynika zresztą z ducha właściwie pojętej kolegialności rządów w Kościele. Należałoby zatem w dziedzinie spraw migracyjnych określić ściśle wzajemne kompeten-

cje Krajowych Konferencji Biskupów miejsca pochodzenia i pobytu ludności migracyjnej. W sprawach spornych zaś należałoby pozostawić ostatnie słowo decyzji Stolicy Apostolskiej, jako najwyższej instancji w Kościele. Za przykład takiego podejścia do spraw duchowej opieki nad ludnością migracyjną może służyć dawniejsza Konstytucja Apostolska Piusa XII „Exul Familia”, od której niepotrzebnie i niefortunnie odeszli pod tym względem autorzy obecnej Instrukcji „O duszpasterskiej opiece nad migrantami”.

Oparcie zasady kolegalności na uniwersalizmie chrześcijańskim i powrót do poczucia współodpowiedzialności całego Ludu Bożego za losy duchowe ludności migracyjnej, może przywrócić z powrotem utraconą równowagę w rozłożeniu kompetencji poszczególnych organów władz kościelnych i uratować ducha ekumenizmu wypracowanego w ostatniej Instrukcji. Uniwersalistyczne zrozumienie zasady kolegalności i zastosowanie ekumenizmu do ruchu migracyjnego doprowadzi do wzajemnego zbliżenia ludzi i narodów. Bogate zaś tradycje i wartości religijne różnych grup społecznych okażą się zbawienne nie tylko dla ludności migracyjnej, ale dla całej Rodziny Ludzkiej.

W realizacji właściwie pojętych założeń ruchu ekumenicznego i poprawnego ich zastosowania dla kolegalnych rządów w Kościele, podstawową rolę może i powinien odegrać laikat. Do takiej współpracy zachęca zresztą sama Instrukcja: „Wiele problemów wyłaniających się z 'Wędrowki Ludów' nie da się rozwiązać bez współpracy laikatu. Kościół więc, gdy stara się zaspokoić potrzeby duszpasterskie migrantów, równocześnie bardzo zachęca wszystkich, a zwłaszcza wiernych chętnych do apostolatu, aby podjęli się i wypełniali gorliwie przypadającą na nich część w dziele odnowienia świata i postępowali w duchu prawdy, sprawiedliwości oraz wymagań miłości”. Tak pojęty udział ludzi świeckich w planowaniu migracyjnym może otworzyć nowe perspektywy dla życia społecznego migrantów. I w tym celu był pisany niniejszy artykuł.

Andrzej WOŹNICKI

University of San Francisco
San Francisco, California

Sytuacja na odcinku emigracji polskiej jest specjalnie trudna na skutek nieszczęśliwej inicjatywy kardynała Wysznińskiego objęcia osobiście opieki nad emigracją po śmierci arcybiskupa Gawliny i wyznaczenia na swych delegatów Bpów Rubina i Wesołego, którzy są związani z konkretnymi diecezjami w Polsce. Musi to automatycznie powiększać opory hierarchii kościelnej w krajach osiedlenia emigracji i tak nam niezycielowej, która niepotrzebnie

widzi w tym ingerencję kraju pochodzenia. I to kraju, który należy do bloku komunistycznego. Stwarza to dodatkowe pole do zadrażnień i nieporozumień, a w wielu wypadkach zmusza księży przyjeżdżających z kraju do przesadnej czasem neutralności, graniczącej często ze współpracą czy propagandą na rzecz PRL. Nie ułatwia też sytuacji fakt, że Bp Rubin jest jednocześnie w Watykanie sekretarzem permanentnym Synodu co stawia go w pewnym stopniu w sytuacji zależnej od krajowych konferencji biskupów krajów osiedlenia. Nie byłoby tego wszystkiego gdyby następcą arcybpa Gawliny został Biskup niezwiązany formalnie z Polską Ludową. O ile nam wiadomo do tego rozwiązania przychylił się Papież, który uległ w końcu naciskowi Kardynała.

Redakcja

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 180 — SERIA „DOKUMENTY”

KOMUNIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ

Pełne teksty „Programu Akeji” i „2000 słów”, będących u podstaw rewolucji czechosłowackiej. Słowo wstępne Juliusza Mieroszewskiego.

Str. 88

Cena egz. F. 10 (dol. 2,25; 18 sh. 6 d.)

TOM 181 — WITOLD GOMBROWICZ

FERDYDURKE

Tom I-szy „DZIEŁ ZBIOROWYCH”, niedawno zmarłego Autora.

Str. 292

Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

Książki

Naufragio ereptis

Zawsze w najskrytszych i najcięższych chwilach swojego pisarskiego życia, myślałem o Żydzie, on dał wielu z nas przykład właściwego stosunku do sztuki i ludzkiej szlachetności.

Konstanty Paustowski

Skąd ta łacina tytułu, której nawet podstawowych elementów nie potrafiłem się nauczyć w gimnazjum?

Mój dziadek wypisał na bramie gmachu, który przeznaczyl na Muzeum Czapskich w Krakowie:

MONUMENTIS PATRIAE
NAUFRAGIO EREPTIS

Oglądając przysłany mi piękny, bogaty album poświęcony twórczości Zygmunta Waliszewskiego uporczywie wracały mi na pamięć dwa ostatnie słowa napisu:

NAUFRAGIO EREPTIS

Te 80 reprodukcji obrazów i rysunków Waliszewskiego świadczą o uratowanych jego pracach — nie mogę zagłuszyć w sobie gorzkiego żalu, że to tylko drobna część ogromnego dorobku krótkiego życia artysty, dorobku, który zginął w „naufragio Patriae”, to także szczątki uratowane po zniszczeniach i grabieżach ostatniej wojny. Wspomnieć chcę na wstępie o tych stratach tylko, o których tu z daleka od kraju — wiem.

Z. Waliszewski. Jerzy Wolff. Wydawnictwo „Ruch”, Warszawa 69. 80 reprodukcji, 25 kolorowych, tekst Jerzego Wolffa. Wspomnienia przyjaciół, krytyki, urywki listów artysty, bibliografia i kronika wydarzeń. Wybrała i opracowała Hanna Górka.

Seria jego ostatnich obrazów z ostatniego okresu krakowskiego oddana przez żonę na przechowanie jednemu z kustoszów na Wawelu — zginęła.

Wielka seria gwaszów „Don Kichot i Sancho Pansa” (reprodukowane w albumie dwa gwasze, to wypadkowo ocalona drobna część tej serii). Spłonęły w 1944 roku w Warszawie setki rysunków i przez Waliszewskiego ilustrowanych jego listów ze zbiorów Marii Czapskiej (wśród nich były wszystkie szkice do księcia Józefa Poniatowskiego i te rysunki morza i Konstantynopola z 1921 roku, po zobaczeniu których prof. Weiss w Krakowie powiedział „niczego już się pan tu nie nauczy, musi pan jechać do Paryża”).

Zginęło parę najlepszych portretów Waliszewskiego z kolekcji Jerzego Łubieńskiego w Warszawie.

W tych samych latach ginie w Stanisławowie teka Wandy Waliszewskiej z najcenniejszymi rysunkami i listami męża — oddana przez nią na przechowanie w najpewniejsze, jak wówczas się zdawało ręce.



„Album” Waliszewskiego dzięki ilości i jakości reprodukcji, danych o artyście, krytyk, ocen jego dzieła, będzie źródłem informacji nieodzownym dla wszystkich którzy zechcą poznać nie tylko malarstwo Waliszewskiego, ale malarstwo tamtej epoki i jej problemy.

Wśród tekstów książki miejsce centralne zajmuje duże studium krytyczne Jerzego Wolffa. Wolff, sam malarz, był przyjaciелеm kapistów, szczególnie Waliszewskiego, to on w okresie najcięższym jego życia otaczał go codzienną opieką, gdy Waliszewski już po amputacji drugiej nogi pozostał jeszcze w Paryżu — sam.

Przyszły czytelnik, zwłaszcza ten, który go już znać nie mógł, stworzy sobie o nim pojęcie z zawartych w albumie reprodukcji (bardzo dobrych, ale przecie reprodukcji), jak również na podstawie tego tekstu krytycznego, pełnego i wiadomości i ciekawych rozważań. Obraziłbym jednak autora, gdybym tu użył „taryfy ulgowej”, parę zasadniczych tez i wniosków tego studium budzi we mnie najdalejze zastrzeżenia.



Samo ustawienie dzieła Waliszewskiego, ocena jego dorobku, zdaje mi się nie tylko nie wystarczająca, ale krzywdząca, pomimo, że autor nie szczędzi mu coraz to wielkich pochwał i pisze o nim jako postaci „ze złotej legendy malarstwa polskiego”.

Jednym z elementów podstawowych krytyki Wolffa jest akcent główny położony na rysunki, obrazy tyfliskie wczesnej młodości i dzieciństwa — odbija się to również na doborze ilustracji z przewagą tamtych rysunków. Wolff powraca parokrotnie do tego, że Waliszewski, cudowne dziecko Tyflisu, po zetknięciu z wielką sztuką Paryża (1924-1931) już nie odnalazł tej pewności, decyzji oka i ręki, cechującej wczesne rysunki tyfliskie, jak by wszystko co potem stworzył nie było na miarę obietnic cudownego dziecka.

Rzeczywiście w rysunkach, obrazach najwcześniejszej epoki odnajdujemy już wszystkie ziarna jego sztuki wielorakiej, nasyczonej jakąś miłością mistrzów i iluz wpływami. Niektóre z tych, które zostały w albumie umieszczone, jak np. „Zdaniec z królikiem” (1916) w ostrej, czujnej precyzji przekazu godne są rysunków młodego Degasa, inne — teatralne, ilustracyjne, dekoracyjne zadziwiają śmiałością, polotem, wirtuozją, są też inne o wiele słabsze, po portret szwagra, w stylu klasycznie bohaterskim, zły pastisz złego malarstwa.

Jerzy Wolff słusznie analizuje zmiany u Waliszewskiego po zetknięciu z Paryżem: „onieśmienie”, przyciszenie barw w pierwszych we Francji pejzażach, ten kontrast z krzykiem prac wcześniejszych. Ale Wolff zdaje się nie widzieć w tym chlubnego świadectwa inteligencji, twórczej pokory i odwagi artysty, który w zetknięciu ze wzorami najwyższymi, o których przez lata marzył, znając je wyłącznie z reprodukcji — był gotów wszystko na nowo przemyśleć i zacząć pracę od nowa. Ocena autora studium prac paryskich i poparyskich jest coraz to nieporozumieniem. Przecieram oczy czytając krytykę pysznego rysunku piórkiem „Most w Villeneuve St-Georges” (1928), jakby w tym rysunku właśnie artysta „nie mógł się zdobyć na decyzję powiedzenia mocno tego, co jednakże musiał chcieć powiedzieć, skoro do pracy ostatecznie się zabrał”. Ten sam zarzut, który traktuje autor widać najpoważniej, ilustruje zestawiając dwa rysunki „U Figara” (1917) i „Pierrotka i arlekin” (1933).

„Teraz w roku trzydziestym i trzecim po tak długim swoim pobycie w Paryżu zdobyć się nie może (moje podkreślenie) na decyzję, kreśląc po papierze kreskę takim samym piórem jakim kiedyś władał tak zdecydowanie”.

O co tu chodzi? Po pierwsze oba rysunki to różne światy plastyczne. „U Figara” to świetny rysunek kolorowany o kaligraficznej wirtuozji, dla dwudziestoletniego artysty zadziwiający, drugi zaś ma inne całkiem założenie, jest już rysunkiem gdzie plama dominuje, kreska zaś szuka świadomie jak tę typowo malarzką improwizację zbudować w obrazie!

Decyzja w późnych rysunkach artysty? Ileż przykładów tej

decyzji znaleźć możemy w samym albumie: weźmy chociażby rysunki „Pacanów” 1932, „Promenada” 1931, autoportrety — 1928, 1933. Gdzie tu mówić o niezdecydowaniu oka i ręki?

Mam przed sobą, jedyny w naszym posiadaniu rysunek Waliszewskiego, (piórko na brązowym papierze) „Lew i Zółw” sygnowany z dopiskiem (o zawsze typowej ortografii Zygi!) „we-dłóg Delacroix Paryż 1929”. Za każdym razem, gdy patrzę na ten rysunek uderza mnie czujnością, błyskawicznością właśnie decyzji, życiem każdej kreski tego rysunku, który można zestawiać bez wahania z rysunkami mistrzów.



Nieraz zaskakiwała przyjaciół Waliszewskiego rozmaitość jego prac, jego „pisma”, próbował on sił na najróżniejszych, pozornie wykluczających się, szlakach.

Wolff, jak zresztą przed nim Maciej Masłowski¹ podkreślają przewagę inspiracji błyskawicznych płócien malowanych krótko (Waliszewski — to była wieczna gorączka i pośpiech „bo ja to prędko umrę” — mawiał). Nie trzeba jednak zapominać wypraw artysty w świat długiej, upartej pracy nad jednym płótnem, wypraw częstych — nie ma ani jednego płótna tego typu w albumie, czyżby one wszystkie poginęły? Namietną miłością darzył nie tylko malarzy typu Maneta, czy Toulouse-Lautrèca, kochał się nie mniej w Rafaelu, w Holendrach, tajemnice ich sztuki próbował wykryć przez tygodnie całe malując martwe, w każdym szczególe przestudiowane. W albumie ta strona jego twórczości — brakuje.

Wola, upór, rzutkość niesłabnąca, pomimo niejednej porażki, które go nigdy nie zniechęcały iść na wszystkie słońca z motyką, dar asymilacji, „zakochania” w każdej wielkiej sztuce, zakochania, bynajmniej nie platonicznego, bo czuliśmy to zaraz u niego pod pędzlem, to była jedna z cech zasadniczych tej iskry geniuszu, którą w sobie nosił. We wczesnej młodości w Tyflisie, nawet jeszcze w Krakowie, ulegał czasami wpływom drugo- i trzeciorzędnym². Było to wszystko przed inicjacją paryską, gdzie ze swymi prawdziwymi mistrzami zmierzył się wręcz.

Jego bezwzględne wycucie hierarchii wartości było uderzające. Świetną scenę opisuje Jerzy Wolff, gdzie jedno słowo uznania dla złego malarza wprowadziło Zyge w z trudem tłumioną pasję. Nie tyczyło to tylko malarstwa, jego lektury, pasja Szekspira, zaczytywanie się w Balzaku, przejęcie Conradem — ten sam odruchowy maksymalizm w ocenach „jak wy możecie czytać Ze-

1. Z. Waliszewski, Wydawnictwo „Arkady”. Warszawa, 1962.

2. Duży mój portret węglem i sangwiną z lat krakowskich, z kolekcji M. Czapskiej (zaginął).

romskiego, gdy jest Szekspir!" — wybuchał. Dar rozróżnienia, walka Waliszewskiego do śmierci o wartości najwyższe — nie wyczuwamy jej poprzez tekst Wolffa, odnajdujemy go jednak w tekstach, urywkach, listach przyjaciół tak pięknie i szeroko dobranych w albumie.

Chcę tu zareagować jeszcze na drugi zarzut, zupełnie nieoczekiwany, Diany i Afrodyty, uczyty renesansowe, Don Kichoty, nawet walki byków świadczyć by miały, że artysta nie umiał widzieć *swojej* epoki, a to miało osłabiać jego wyobraźnię, „staje bezradna” wobec takiej tematyki!! „Ucztom” Wolff zarzuca brak realizmu, nie widząc, że artysta w tych kompozycjach wcale go nie szukał, a tworzył widowisko, teatr i bajkę. Przecież Waliszewski był człowiekiem teatru — wykazał to, jak wykazał, gdy dano mu możliwości tworzyć dla teatru dekoracje, kostiumy (krakowskie „Cricot” Józefa Jaremy).

Dla Waliszewskiego jego ogromne „Musée imaginaire” od greckiej mitologii i Biblii po renesans, po epokę Napoleona, Włachy, Hiszpanię, po cały francuski wiek XIX, ta zadziwiająco szeroka kultura historii, stylów tylko wzrokiem zdobyta była nie-
równanie płodną podniętą jego sztuki.

Czy Delacroix przyjaciel Chopina, Baudelaire’a, Georges Sand, którego dziennik czytamy dziś jakby był wczoraj pisany, był poza swym czasem, bo malował „Zdobycie Konstantynopola” czy „Śmierć Sardanapala”? Czy Daumier był poza swym czasem, gdy z takim umiłowaniem tyle razy malował Don Kichota i Sancho-Pansę? Czyżby zachwyty Waliszewskiego nad przeszłością dyskwalifikowały wagę malarza naszej epoki? „W tym dawnym świecie — pisze Wolff — byłby Zyga, rękę, dał ze siebie wszystko, czego można było czekać od talentu na tak dużą miarę”. Jak rozumieć takie zdanie i porównanie inaczej jak „delikatną” aluzję, że Waliszewski, zamurowany w zmarłej przeszłości, przeżył w sztuce pół porażkę. Ten biedny Zyga, taki miły i taki kiedyś obiecujący.

Gdzie widzi przy tym Wolff to wyobcowanie z dnia dzisiejszego artysty? Który malarz bardziej świat otaczający obserwował i bardziej nim był urzeczony?

Wolff słusznie wiąże twórczość Waliszewskiego z Delacroix. Może najtrafniej pisze o tym Paustowski w jednym z urywków dotyczących Zygi, a umieszczonych w albumie:

„Kochał Delacroix i zapewne pracując zawsze rozmawiał w duchu z tym romantycznie nastrojonym, a tak zarazem trzeźwym artystą. Kochał i rozumiał farby i ich życie na płótnie nie gorzej,

niż Delacroix i Van Gogh, ale jednocześnie podbił swoim wspólnym realizmem wszystkich, co widzieli serię jego rysunków zrobionych ołówkiem...”

I cóż nam mogą tutaj wyjaśnić słowa zacytowane przez Wolffa, „podobno” wypowiedziane przez Maneta, że artysta powinien malować tylko to co widzi! Nie przeszkodziło to Manetowi namalować swe arcydzieło „Umarłego torreadora”, którego na pewno z natury nie malował i „Rozstrzelanie cesarza Maksymiliana”, którego nie widział.

Wspomnieć bym chciał tu jeszcze o darze opowiadania ołówkiem i pędzlem, który już cechował Zyga-dziecko i do śmierci go nie opuścił. To była jego droga do wielkiego malarstwa, pomimo że w okresie najwyższej symbiozy (i walk) kapistów, szafu „peinture, peinture”, naszej walki ze złą literaturą złego malarstwa, ten dar Waliszewskiego był przez niejednego milcząco przyjmowany jak *péché mineur* Zygi, który — bo był Zyga — tolerowano. W tej słusznej wówczas, bo oczyszczającej ze śmiecia pseudomalarskiego, walce o czysto malarskie walory obrazu kapiści w tym, co się dzisiaj kapizmem nazywa prowadzili prosto w kierunku czysto abstrakcyjnego malarstwa, które było *organicznie* przeciwne malarstwu kapisty Waliszewskiego³.

Do zarzutów braku decyzji i passeizmu studium Wolffa dochodzi trzeci jeszcze: Waliszewski tworząc swe uczyty, walki byków, czy Don Kichotów nie umiał przekonać widza w istnienie realne postaci zaludniających jego kompozycje, bo te formy, które tworzył, jawne groteski, były tylko dowcipami: „chciał się sztuką bawić, chciał aby innych bawiła”. Autor tego tekstu dochodzi do wniosku, że „dowcip Zygi jest raczej dowcipem, niż groteską w sensie Bruegela, Bosch’a, czy Daumiera. Stąd wydaje mi się jego krótkotrwałość... Bo ten dowcip wykwił barwnością chwili, by natychmiast zgasnąć... To efemerydy te dowcipy Zygi”.

Więc to jest malarstwo Waliszewskiego? Krótkotrwały dowcip, którego celem było tylko bawienie siebie i innych?

Ależ naturalnie, Waliszewski „chciał się sztuką bawić i chciał, aby innych też bawiła”, Waliszewski miał tę siłę ducha, że w latach cierpienia i kalectwa, podczas i po pięciu amputacjach umiał naprawdę się bawić i innych bawić, nigdy szczudła patetycznych, nigdy kontemplacji swego własnego cierpienia, wciąż życie pełne,

3. Wystarczy przyrzeć się obrazom Cybisa, a obok jego ucznia Dominika, żeby związek wyczuć między tym, co się dzisiaj kapizmem zowie, a czystą abstrakcją liryczną.

w akt twórczy przemieniane. Ale za tą zabawą, która zdaje się dla Wolffa umniejszać dzieło artysty była śmiertelna powaga i taka wyłączność, takie oddanie dziełu swego życia, że gotów był w każdej chwili poświęcić mu wszystko, siebie i sobie bliskich.

W pośpiechu, w gorącej twórczej, w świadomości bliskiej śmierci przeżył Waliszewski swe krótkie życie urzeczony jednym — malarstwem.



Jest w całym tonie tego tekstu Jerzego Wolffa coś czego przyjąć nie można, coś co mi zbyt przypomina ocenę Baudelaire'a a przez Sainte-Beuve'a: *un gentil garçon*.

Sainte-Beuve nie zauważył, że Baudelaire był genialny.

Józef CZAPSKI

Uwagi o książce Pauliny Preiss

„BIUROKRACJA TOTALNA”

Książka Pauliny Preiss jest chaotyczna, nieporządna i wysoce interesująca. Miejskami, zwłaszcza we wstępie cytując Webera, autorka podejmuje próby uogólnień i odnalezienia prawidłowości typowych dla wszelkich biurokracji, po czym, poniesiona temperamentem pisarskim, przechodzi do bogatych i świetnie uchwyconych spostrzeżeń charakteryzujących życie w warunkach komunistycznej biurokracji. Dla nieznającego Polski, książka Pauliny Preiss jest kopalnią informacji o obyczajach, stylu życia mieszkańców miast, hierarchii partyjnej i problemach codziennego życia, z którymi borykają się, w warunkach totalnej władzy, obywatele PRL. Ci, którzy Polskę Ludową znają, znajdą w książce Preiss klucz do uporządkowania i powiązania ze sobą wielu zjawisk, tworzących system wynikający z charakteru totalnego państwa. To, że Paulina Preiss nie doprowadziła rzeczy do końca, w tym sensie, że nie napisała solidnego i wyczerpującego studium naukowego, należy w ostatecznym efekcie zapisać na jej dobro. Element reporterski, dowcip (nie zawsze udany a miejscami wulgarny) czyni jej rzecz łatwą w czytaniu, a jednocześnie umożliwia czytelnikowi głębsze zrozumienie pewnych spraw, nawet, jeśli cytowane przez autorkę fakty nie są mu obce. Lektura książki

* Instytut Literacki, Paryż 1969, Tom 179 „Biblioteki Kultury”, str. 224 (F. 18,50; dol. 4,00).

Preiss dzięki różnorodności opisywanych zjawisk i wskazaniu źródeł zmusza czytelnika do samodzielnych uogólnień. Zresztą, być może, że w warunkach w jakich Paulina Preiss pisała swą książkę była to jedyna rzecz praktycznie możliwa. Jej studium wywołuje u czytelnika uczucia różnorakie. Czasami książka robi wrażenie próby syntezy, kiedy indziej — reportażu, improwizowanego i pisanego w pośpiechu, w którym autorce chodzi przede wszystkim o dosadność, a nawet lapidarną formę spostrzeżeń.

Istnienie totalnej biurokracji, zjawiska bijącego w oczy wszystkim nawet postronnych obserwatorów, nie podobna ukryć. Nieznane są natomiast daleko idące konsekwencje systemu w kształtowaniu osobowości obywateli, żyjących w warunkach zbiorowości, której codzienne życie i stosunki międzyludzkie oparte są na nowych prawach. Polska Ludowa w swych zjawiskach przemian psychiczno-obyczajowych jej obywateli, rządzącej nią hierarchii komunistycznej i nowej moralności czy antymoralności jest wielką niezbadaną dżunglą. Jej niepoznawalności nie chroni ani natura ani dzikie zwierzęta, ale jej twórca i strażnik — komunistyczny biurokrata oraz oficjalny i obowiązujący mit, że władza spoczywa w rękach ludu i że wykonawcami jego woli są ciała ustawodawcze, Rząd i Partia. Naiwność tego przestarzałego mitu jest wprawdzie ogólnie znana, ale zdemaskowanie kłamstwa nie wystarczy jeszcze, żeby poznać prawdę. Jeśli Paulina Preiss ukazuje choćby jej fragment, zasługa jej jest nieoceniona. Polska Ludowa podobnie jak i inne kraje Demokracji Ludowych są wielkim laboratorium przemian — zamkniętym dla badaczy, do którego nie mają dostępu socjologowie, a jeśli mają, to jedynie w charakterze funkcjonariuszy pełniących czynności usługowe w stosunku do aktualnie istniejącej władzy i doraźnie obowiązującej polityki. Dla rzetelnych badań socjologicznych nie ma w Polsce miejsca. Potrzebna jest do nich nie tylko znajomość ekonomii i struktury społeczeństwa, ale gruntowne badania terenowe, rozmowy z tysiącami ludzi, poznanie wewnętrznego mechanizmu i sprzężyn monopolu ekonomiczno-politycznego, który sprawuje Partia i który rozmaicie oddziałuje na różne środowiska ludzkie w zależności od ich roli ekonomicznej i pozycji w Państwie. To wszystko dla socjologów polskich jest owocem zakazanym. Cóż wobec tego czynią? Jedni, jak nestor socjologii polskiej kilkakrotnie skłóceni, a obecnie pogodzony z reżymem — Chałasiński, służy kłamliwemu mitowi. Inni — jak Szczepański — szukają drogi pośredniej między kłamstwem, a uchYLENIEM RĄBKA PRAWDY, wreszcie — największa liczba — milczy. Milczy albo „pisze do szuflady”. „Szuflada” zresztą nie chroni przed konsekwencjami. Do więzienia można iść w Polsce nie tylko za publikowanie lub próby publikowania niebezpiecznej dla komunizmu prawdy, ale za ukrywanie jej na dnie bieliźniarki.

Paulina Preiss, pisząc zapewne w pośpiechu, w warunkach wykluczających systematyczność i uporządkowanie swych myśli, ukazała klimat w jakim żyje społeczeństwo polskie. To, że pewne sprawy uwypukliła nadmiernie, inne — pominęła, jest zrozu-

miała, choć nie może jej chronić przed krytyką. Piszac o dysfunkcji rozmaitych organizacji, które w dziejach zorganizowanych społeczności sprzeniewierzyły się swym celom, którym miały służyć, stając się celem samym w sobie, Paulina Preiss cytuje we wstępie jeden z nich — komunistyczną biurokrację. W pewnym więc sensie stawia ją w jednym rzędzie ze zjawiskami, mającymi wielokrotny historyczny precedens. Niemniej, już w pierwszym rozdziale podkreśla jej specyfikę. Swoistość dysfunkcji komunistycznej biurokracji wywodzi się bowiem z bezprecedensowego w historii monopolu jaki sprawuje nad narodami totalitarna władza. W ciągu 25-lecia PRL — doprowadziło to do pogłębiających się zmian w profilu rządzonych i rządzących. Mimo wszystko autorka demonizuje nieco komunistyczną biurokrację i stworzony przez nią system. Kiedyś w Polsce popularny był żart, mający stanowić pseudo-definicję komunizmu: Komunizm — to tyrania złagodzona bałaganem — mówiono. Była w tym jakaś pocieszająca ludzi prawda.

Totalitaryzm komunistyczny nie może działać z precyzją naoliwionej maszyny. Realizują go ludzie, otrzymujący niejednokrotnie niewykonywalne polecenia, unikający jak ognia odpowiedzialności, a ponadto opłacani źle. Będąc kółkami w wielkiej komunistycznej maszynie ucisku, często sami są jej ofiarami. To błędne koło, powodując nawarstwiający się ujemne skutki, jest przyczyną chronicznej dezorganizacji, która zwykłemu obywatelowi daje czasami ograniczoną szansę oddechu, spryciarzowi zaś — znacznie więcej: możliwość całkowitej adaptacji, a nawet bogacenia się. Podziemie gospodarcze — normalny produkt komunizmu — jest zjawiskiem, o którym Paulina Preiss nie wspomina wcale. Oczywiście autorka nie może w niewielkiej książeczce wyczerpać wszystkich zagadnień, tym bardziej, że wspomniany problem jest tematem wartym napisania osobnego dzieła. Za to recenzent ma prawo wytknąć jej szereg nieścisłości, spośród których warta jest zacytowania przynajmniej jedna. Na str. 72 autorka pisze, że „zdobycie 10 dkg kiełbasy wymaga jakichś bez mała nadludzkich wysiłków”. Jest to nieścisłe. Przy ustawicznych trudnościach aprowizacyjnych, braku wielu artykułów, łatwo osiągalnych na Zachodzie, Polska nie głoduje. Wiele rodzin, zwłaszcza wielodzietnych, jest, być może, niedożywionych, ale stwierdzenie, że „zdobycie 10 dkg kiełbasy wymaga nadludzkich wysiłków” oznacza nic innego jak głód.

Jednym z fundamentów panowania komunizmu jest kłamstwo. Prawda — ta bezkompromisowa w rozumieniu najszerszym, nie zważającą na przydatność czy szkodliwość społeczną jest jego śmiertelnym wrogiem. Ale prawdy obawiają się nie tylko komuniści. Innymi słowy, nie mają oni monopolu na kłamstwo. Wszyscy walczący z komunizmem winni pamiętać o jednym — nie można zamienić komunistycznego kłamstwa na antykomunistyczną nieprawdę. Ta ostatnia uwaga nie dotyczy Pauliny Preiss. Jej książka, poza drobnymi uchybieniami, jest dokumentem prawdy. Nasuwa się ona natomiast pod adresem wielu ludzi przybyłych

do krajów kapitalistycznych wraz z nową falą emigracyjną, którzy rozpoczynając życie na nowo i przyjmując zmienioną postawę, kłamią dalej. Tyle tylko, że kłamią inaczej. Nie przyspieszy to ich rehabilitacji ani wobec samych siebie, ani wobec nowego społeczeństwa, w którym żyją.

Zbigniew BYRSKI

Europa Wschodnia w IX stuleciu

Monografia Imre Boba'y* posiada tę szczególną wartość, że wypełnia w pewnej mierze dotkliwą lukę w zakresie syntezy historii kształtowania się politycznych organizmów Wschodniej Europy.

Rzecz paradoksalna, że jakkolwiek literatura dotycząca poszczególnych krajów tego regionu jest wcale bogata, prób dokonania opracowania całościowego było dotąd niewiele i to przeważnie dalekich pod względem jakości od wielu, często znakomitych, studiów dotyczących poszczególnych zagadnień. Wśród polskich historyków od dawna kursuje powiedzenie, że historia Polski składa się z początków państwa polskiego, Odrodzenia i Oświecenia. Można by też rzec, że w różnych wariantach prawda ta odnosi się również do historii wszystkich krajów Europy Wschodniej, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że ich historycy od dawna kładli szczególny akcent na badanie powstawania poszczególnych państw, i że materiał w tej dziedzinie zgromadzony jest często imponujący.

Dotąd jednak szerzej zakrojonych prób dokonania syntezy nie podjęto. Ważnym bez wątpienia tego powodem jest sytuacja polityczna humanistyki wschodnioeuropejskiej, a szczególnie historii. Od momentu gdy przestały obowiązywać stalinowskie dogmaty ma ona dość znaczną swobodę w sposobie przedstawiania szczegółowych zagadnień, natomiast próba stworzenia syntezy w oparciu o międzynarodową współpracę specjalistów musiałaby stanąć wobec konieczności przyjęcia oficjalnego, sowieckiego, punktu widzenia, opartego zazwyczaj bardziej na dążeniach hegemonistycznych niż na przesłankach ściśle naukowych.

Zresztą z tego samego powodu wielu rosyjskich historyków woli poświęcać się badaniom szczegółowym, zwłaszcza w dziedzinie historii kultury materialnej, niż podejmować szersze zagadnienia, gdzie skrepowanie przesłankami „marksizmu” i zgodnością z oficjalną historiografią jest ze zrozumiałych powodów szczególnie duże.

* *Nomads, Northern and Slavs, Eastern Europe in the Ninth Century.* Mouton-The Hague, 1967.

Na istniejący stan rzeczy wpłynęły także ogólne czynniki sytuacji panującej w „bloku wschodnim”, w pierwszym rzędzie oparcie wszelkich relacji międzynarodowych na porozumieniach dwustronnych i słabym rozwoju inicjatyw angażujących jednocześnie przedstawicieli wielu krajów. (Wyjątkiem są tu jedynie nauki ścisłe o zastosowaniu praktycznym i dyscypliny techniczne gdzie współpraca międzynarodowa jest bezpośrednim odbiciem inicjowanych przez ZSSR tendencji integracyjnych).

W dziedzinie historii więc do rzadkości należą inicjatywy wykraczające swym zasięgiem poza problematykę jednego kraju i realizowane w warunkach szerszej współpracy międzynarodowej. Pewien wyjątek stanowi tu zespół badaczy zgrupowanych wokół praskiego czasopisma specjalistycznego „Byzantinoslavica”, mającego bardzo dawną tradycję, wywodzącą się jeszcze z „panslawistycznych” tendencji. Inicjatywy te mają zresztą dość wąski zasięg, ograniczając się do problematyki kultury skrytykowanego już kręgu kościoła obrządku słowiańskiego, oraz jego związków z kulturą bizantyjską.

Syntezy historycznej początków państw Wschodniej Europy nie podjęto też dotąd na szerszą skalę na Zachodzie, czego zresztą trudno oczekiwać, choćby ze względu na znikomą ilość badaczy posiadających odpowiednie przygotowanie lingwistyczne, oraz na rozpowszechnioną wśród zachodnich historyków tendencję do traktowania problematyki regionu w perspektywie spraw rosyjskich.

W tej więc sytuacji książka Boba'y wnosi szereg istotnych wartości. Autor nie tylko dąży do przedstawienia problematyki badanego zagadnienia bez jakichkolwiek z góry przyjętych preferencji, ale posiadając gruntowną znajomość języka węgierskiego, polskiego oraz możność korzystania z literatury w większości języków słowiańskich był w stanie oprzeć swą pracę na w pełni reprezentatywnej bibliografii przedmiotu.

Temat omawianej publikacji nie obejmuje jednak problematyki całości regionu określanego dziś mianem Europy Wschodniej. W zasadzie autora interesują jedynie procesy zachodzące między dorzeczem Dniepru i Donu oraz w pasie położonym wzdłuż południowego zbocza Karpat, miejscu przez stulecia będącym celem wędrówek ludów koczowniczych: Hunnów, Awarów a następnie Węgrów.

Z metodologicznego punktu widzenia tego rodzaju systematyzacja zagadnień jest z pewnością do przyjęcia, gdyż kształtowanie się Zachodniej Słowiańszczyzny jest procesem opartym na odrębnych przesłankach i choć przebiegało równoległe miało ono niewiele związków z problemami Wschodniej Europy *sensu stricto*. Koncentracja zagadnień wokół powstania Państwa Kijowskiego, najpoważniejszego wczesnośredniowiecznego organizmu politycznego Wschodniej Europy, nie wynika więc w tym wypadku z „rusocentryzmu”, ale z prawidłowego odtworzenia przebiegu procesów historycznych.

Boba nie koncentruje zresztą uwagi na procesie formowania

się państw słowiańskich, ale równie szczegółowo traktuje problematykę ludów koczowniczych dając szczegółową charakterystykę mechanizmu politycznego ich organizacji, opartą na bogatym materiale źródeł bizantyjskich i arabskich.

Zagadnieniem które zasługuje tu na szczególną uwagę a którego szczegółowe opracowanie stanowi cenny i oryginalny wkład autora, jest analiza tego co nazywa on „Pax Chazarica”, czyli trwającej dwa stulecia (od VII do IX wieku) dominacji Chazarów na terenie który moglibyśmy nazwać „przedmurzem” Europy Wschodniej, która chroniąc ją od fal napływających z głębi Azji ludów koczowniczych sprzyjała rozprzestrzenianiu się słowiańskiej kolonizacji na znacznych obszarach i powstawaniu pierwszych państw plemiennych. Warto przy tym zaznaczyć, że termin „Pax Chazarica” zaczerpnął autor z pracy Ananiasza Zajackowskiego: „Ze studiów nad zagadnieniem Chazarskim” (Kraków 1947).

Innym zagadnieniem, w szczególnej mierze uwypuklonym przez autora, jest wpływ na rozwój Słowiańszczyzny długotrwałego istnienia państwa Awarów, położonego po południowej stronie Karpat i roli jaką odegrało ono w powstaniu Państwa Samana, a następnie trwalszych już organizmów w postaci „Państwa Wielkomorawskiego” i Kroacji.

Wykorzystując na szeroką skalę bogatą literaturę węgierską, Boba przeprowadza również szczegółową analizę właściwości organizacji państwowych stworzonych przez ludy koczownicze, struktury ich władzy, oraz wpływu jaki wywarły na kształtowanie państwowości ludów osiadłych posiadających już trwałe byt historyczny.

Dużo miejsca autor poświęcił też Węgom, co jest uzasadnione z jednej strony późniejszą historyczną rolą państwa węgierskiego jak i faktem, że spośród ludów koczowniczych badanego okresu jedynie Węgrzy osiągnęli trwałość i ciągłość historyczną. Tym samym też dzieje ich mogły stać się przedmiotem badań i dostarczyć wniosków wyjaśniających mechanizm powstawania i funkcjonowania organizmów państwowych stworzonych we wczesnym średniowieczu przez różne ludy koczownicze. Na podstawie analizy źródeł (serbskie i bułgarskie przekłady historyków bizantyjskich, traktaty geograficzne perskie i arabskie oraz „Geograf Bawarski”) Boba wysuwa twierdzenie, że pojawienie się Węgrów na widowni dziejowej było wynikiem federacji ludu określanego słowiańską nazwą Węgrów-Ugrów, od dawna osiadłych nad Dunajem jako element federacji Awarów, oraz Madziarów, ludu przybyłego z północnowschodnich krańców Europy, którego język (ugrofiński) stał się następnie językiem całej federacji, której początki umiejscawia Boba około roku 890.

Ostatnim wreszcie procesem poprzedzającym stabilizację stosunków politycznych na badanym obszarze, któremu Boba poświęca szczególną uwagę, jest założenie państwa Kijowskiego i rola jaką w tym procesie odegrać mieli przybyli w połowie IX stulecia Normanowie. Boba nie tylko występuje tu jako zwo-

lennik teorii o skandynawskim pochodzeniu twórców państwa Kijowskiego (Rusów), ale przyjmuje też historyczność relacji kronik o „zaproszeniu” ich przez słowiańskich mieszkańców celem sprawowania władzy. Opinię tę argumentuje w przekonujący sposób powszechną we wczesnym średniowieczu praktyką opierania obrony krajów lub miast o jednolite i silne grupy najemników, które często stawały się organami władzy, a ich wodzowie założycielami dynastii.

Zresztą przedstawienie sytuacji Rusi w okresie od połowy wieku IX do początków chrześcijaństwa i powstania pierwszych kronik należy do najlepszych i najbardziej samodzielnych partii książki, w pierwszym rzędzie dzięki wnikliwej analizie filologicznej tekstów. Przyjmując też o skandynawskim pochodzeniu ruskiej dynastii, Boba przedstawia również proces syntezy tradycji organizacji państwowej pochodzenia normandzkiego i tradycji słowiańskiej przebiegającej równolegle z asymilacją językową początkowo w znacznej części normandzkiej „drużyny” książęcej.

W całości książka Boba'y w kontekście anglojęzycznej literatury poświęconej historii Wschodniej Europy zajmuje istotną pozycję, w pierwszym rzędzie dzięki szerokiemu zakresowi dokonanej syntezy i bogactwu podstawowych informacji. Monografia ta powstała zasadniczo jako obszerna dysertacja doktorska, stąd też może wiele w niej miejsca zajmuje materiał „erudycyjny”, bardzo zresztą przydatny czytelnikowi, nie mającemu ze względu na barierę językową bezpośredniego dostępu do cytowanych źródeł i większej części bibliografii.

Niewątpliwym mankamentem jest natomiast oparcie monografii wyłącznie o analizę źródeł pisanych z pominięciem niemal całkowitym wyników prac archeologicznych, które w wielu wypadkach pozwalają na definitywne rozstrzygnięcie problemów, a zawsze nasycają dane kronik bogatą i konkretną treścią. Jest jednak oczywiste, że takie potraktowanie zagadnienia musiałoby z natury rzeczy wyjść daleko poza zakres gatunku jakim jest historyczna dysertacja uniwersytecka.

Lektura monografii Boba'y przynosi czytelnikowi nie tylko znaczny zakres przejrzyście usystematyzowanych i syntetycznie ujętych istotnych wiadomości historycznych. Może być ona również punktem wyjścia do refleksji na temat roli jaką mają do spełnienia przebywający na emigracji wschodnioeuropejscy humaniści. Działanie ich może i winno stać się zasadniczym czynnikiem wzbogacenia znajomości ich krajów na Zachodzie, znajomości wciąż bardzo dalekiej od stanu zadawalającej.

Adam SUTKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Przebity światłem. Pożegnanie z Wierzyńskim. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969). Obejmuje przedruk Nru *Wiadomości*, poświęconego pamięci poety i artykułów o nim z *Kultury*, *Orla Białego*, *Na Antenie* i *Tygodnika Polskiego*.

CZAPSKI (Józef). *Na nieludzkiej ziemi.* Nowe wydanie uzupełnione II częścią pt. *Walka*. Str. 418 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

PIASECKI (Sergiusz). *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy.* T. I. — str. 238 i 2 nlb., T. II. — str. 233 i 7 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

CHCIUK (Andrzej). *Atlantyda.* Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku. Str. 233 i 7 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

TOMASZEWSKI (Adam). *Młodość została nad Obrą.* Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

KRZYWICKA (Irena). *Mrok, światło i półmrok.* Opowiadania. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969).

MÖLLER (Joseph). *Człowiek w świecie.* Zarys antropologii filozoficznej. Przeł. z niemieckiego M. Kaczmarkowski. (Kolekcja „Znaki czasu”, (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1969).

WERON (Eugeniusz, ks.). *Świeccy w Kościele.* Dekret soborowy o apostołstwie świeckich. „Apostolicam Actuositatem”. Str. 172 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1970).

DE LUBAC (Henri). *Ateizm i sens człowieka.* Przeł. z francuskiego Olga Scherer. Str. 121 i 7 nlb. (Kolekcja „Znaki Czasu”, Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1969).

WYSZYŃSKI (Stefan, Kardynał, Prymas Polski). *List do moich kapłanów.* Cz. I.: Wspólnie z Trójcą Świętą, str. 103 i 1 nlb.; Cz. II.: Wspólnie z Kościołem, str. 165 i 3 nlb.; Cz. III.: Wspólnie z moim biskupem, str. 212 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1969).

ILINSKA (Zofia). *Wichry w zbożu.* Wiersze. Str. 82 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).

LURCZYŃSKI (Mieczysław). *Trzy sztuki:* *Alte Garde*, *Matka*, *Horyzont*. Str. 115 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).

Czwarty Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego, Bruksela 19-20. X. 1968. Str. 128 (Nakł. Polskiego Stron. Ludowego, Londyn, 1969).

MICHNIEWICZ (Ladislas). *Opération Haïfa.* Adaptation de Jacques Helle. Str. 206 i 2 nlb. (Wyd. Casterman, Paryż, 1969).

KONCZEWSKI (C.). *La psychologie dynamique et la pensée vécue.* Vers la philosophie de la sympathie créatrice. Préface du dr H. Baruk. Str. 347 i 3 nlb. (Wyd. Flammarion, Paris, 1970).

BORWICZ (Michel). *Auschwitz selon Varsovie ou Chambres à Gaz „déludaisées.”* Str. 27 i 1 nlb. (Wyd. Ass. Indépendante des Anciens Déportés et Internés Juifs de France, Paris, Janvier, 1970).

MOND (Georges H.). *Les communications de masse dans les pays socialistes.* Première partie. Str. 82. (Powielacz). (Institut Français de Presse, Université de Paris, Année 1969/70).

WYTRWAL (Joseph A.). *Poles in American History and Tradition.* Str. 498. (Wyd. Endurance Press, Detroit Mich. USA, 1969, cena dol. 6,75).

Kronika kulturalna

NAGRODY FUNDACJI IM. ALFREDA JURZYKOWSKIEGO Przyznane 30 stycznia 1970 r.

W dziedzinie literatury nagrody przyznano w tym roku trzem pisarzom przebywającym na wychodźstwie. Otrzymali je: Wacław Grubiński, dramaturg i krytyk literacki; satyryk i poeta — Marian Hemar (obaj mieszkający w Londynie) oraz Wacław Iwaniuk, poeta, eseista i tłumacz, zamieszkały w Toronto.

Muzykę i plastykę reprezentują: osiadły w Ameryce kompozytor — Feliks Łabuński, profesor Konserwatorium w Cincinnati oraz malarz i karykaturzysta Feliks Topolski z Londynu.

Wśród nagrodzonych w Kraju jest trzech lekarzy: pediatra, doktor Henryk Brokman, emerytowany profesor Akademii Medycznej w Warszawie, chirurg — profesor Kazimierz Czyżewski z Akademii Medycznej we Wrocławiu i badacz chorób raka — profesor Józef Laskowski z „Instytutu imienia Marii Curie-Skłodowskiej w Warszawie”. Nagrodzeni też zostali: Tadeusz Kotarbiński, profesor filozofii Uniwersytetu Warszawskiego i profesor Julian Krzyżanowski z Warszawy.

W dziedzinie bibliografii i bibliotekarstwa otrzymała nagrodę Maria Danilewiczowa, dyrektorka Biblioteki Polskiej w Londynie.

Specjalne nagrody za tłumaczenia literatury polskiej na języki obce i propagowanie kultury polskiej wśród obcych przyznano: Norbertowi Gutermanowi z Nowego Jorku, tłumaczowi m.in. Mickiewicza, Wierzyńskiego, Hłaski, Tadeusza Nowakowskiego i prof. Bronisława Malinowskiego na język angielski oraz wybitnemu sławiście włoskiemu, Carlo Verdiani z Florencji.

Nagrody „Fundacji Jurzykowskiego” dla uczonych, pisarzy i innych przedstawicieli sztuki wynoszą tysiąc dolarów a dla tłumaczy — pięćset.

NAGRODY FUNDACJI IM. KOŚCIELSKICH

Rada Fundacji imienia Kościelskich, zebrana w Genewie w dniu 19 grudnia 1969 roku uchwaliła, po dłuższej dyskusji, przyznać na rok 1969 pięć nagród literackich, które otrzymali:

Alina Witkowska, historyczka literatury polskiej, autorka studium o „Kazimierzu Brodzińskim”, przedstawionym na tle epoki — FS. 3.000

Jerzy Kwiatkowski, krytyk literacki — za całokształt działalności pisarskiej — FS. 3.000.

Urszula Kozioł, poetka i powieściopisarka — za całokształt swej twórczości — FS. 3.000.

Jan Darowski, poeta i tłumacz poetów angielskich — FS. 2.000.

Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk emigracji polskiej w Anglii — FS. 2.000.

WYRÓŻNIENIA LITERACKIE W KRAJU

● *Kurier Polski* rozstrzygnął doroczny plebiscyt czytelników na Książkę Roku 1969. Laureatem został Marian Brandys, autor „Kłopotów z panią Walewską”. Na drugiej pozycji znalazła się „Mała Encyklopedia Powszechna”, potem Bullocka „Hitler — studium tyranii”, Wańkowicza — „Od Stołpców po Kair” i Twardckiego „Szkoła janczarów”.

● Po raz pierwszy przyznała swoją doroczną nagrodę warszawska *Kultura*. Otrzymał ją prof. dr Konstanty Grzybowski za książkę „Rzeczy odległe a bliskie”, wydaną przez „Książkę i Wiedzę”.

● Najlepsze 10 książek 1969 r. wyróżnił zespół redakcyjny „Nowych Książek”. Oto lista: „Wrzesień” — T. Jurgi (Omega), „Poezje zebrane” — Urszuli Kozioł (LSW), „Mały na Kaukazie” — W. Kubackiego (Czytelnik), „Życie wśród wielu” — S. Lama (PIW), „Z mojego obserwatorium” — W. Machejka (KiW), „II wojna światowa” — B. Maszlanki (MON), „Baldyn” — J. Putramenta (KiW), „W ślady Kolumba” — M. Wańkowicza (Iskry), „Sny pod Fumarolą” — S. Zielińskiego (PIW) i „Nauczyciele i uczniowie — młode pokolenie wsi polskiej” (LSW).



Natomiast w dyskusji przeprowadzonej przez FE w Monachium na temat najlepszych książek które ukazały się w Polsce w 1969 r. wyróżniono Teodora Parnickiego: „Inne życie Kleopatry”, K. Wyki: „O potrzebie historii literatury”, A. Sandauera: „Liryka i logika” oraz T. Konwickiego: „Zwierzęcko-upiór”.

PLASTYCY W KONGRESIE KULTURY

Sekcja Plastyczna Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na obczyźnie komunikuje, że skład jury wystawy malarstwa, rzeźby, grafiki i ceramiki, która odbędzie się w ramach Kongresu, został ukonstytuowany jak następuje: Marian Bohusz-Szyszko, Stanisław Frenkiel, Adam Kossowski, Tadeusz Terlecki i Zygmunt Turkiewicz. Ze względów technicznych nie udało się uzyskać udziału w jury artystów zamieszkałych poza Londynem. Przypomina się, że termin prekluzyjny dostarczenia prac do lokalu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, 9 Princes Gardens, S.W.7. stanowi data 20 czerwca 1970 r.

Komisja Organizacyjna Sekcji Plastycznej składa się z następujących osób: Marian Bohusz-Szyszko, Janina Baranowska, Stefan Stachowicz i Halina Sukiennicka.

WYRÓŻNIENIE PROF. W. S. SWORAKOWSKIEGO

The Hoover Institution on War, Revolution and Peace przy Stanford University zawiadamia o powstaniu „W. S. Sworakowski Collection on Poland” („Zbiory dotyczące Polski im. W. S. Sworakowskiego”). W ten sposób uczczono b. zastępcę Dyrektora Instytutu, który przeszedł na emeryturę po 23-letniej pracy. W. S. Sworakowski pozostaje jednakże w Hoover Institution jako doradca w biurze Dyrektora. Po całkowitym przejściu na emeryturę W. S. Sworakowski otrzyma tytuł Profesora Emeritus Uniwersytetu Stanfordzkiego.

AMERICAN COUNCIL OF LEARNED SOCIETIES NEWSLETTER PROBUJE POMÓC INTELEKTUALISTOM POLSKIM I CZESKIM

ACLS otrzymała ostatnio wiele zapytań ze strony czeskich, słowackich i polskich naukowców, poszukujących tymczasowych zajęć czy też doraźnej pomocy na terenie Stanów Zjednoczonych.

Jednocześnie wiele uniwersytetów i zakładów naukowych zgłosiło chęć przyjęcia z pomocą uchodźcom w sensie ich przejściowego zatrudnienia jako wykładowców. W ten sposób ACLS stała się centralą informacyjną zajmującą się pośrednictwem w tej dziedzinie.

Aby usprawnić wykonanie tego zadania podajemy poniżej wykaz osób, które zgodziły się służyć jako ogniwo pomiędzy uchodźcami a amerykańskimi instytucjami, jeżeli chodzi o sprawy zatrudnienia.

Wspólnym naszym celem jest znalezienie pracy dla socjologów, humanistów etc. mogących pracować w środowiskach akademickich.

ACLS ma nadzieję, że środowiska akademickie znajdą drogi prowadzące do pełnego czy też częściowego zatrudnienia, umożliwienia zainteresowanym prowadzenia badań naukowych etc. i oczekuje wiadomości od odpowiednich instytucji, które mogą przyjąć z konkretną pomocą.

Zapytania i informacje prosimy kierować do:

Gordon B. Turner, Vice President American Council of Learned Societies lub do osób niżej wymienionych:

American Literature

Professor Edwin H. Cady, Department of English, Ballantine Hall, Indiana University, Bloomington, Indiana 47401.

Art

Dr. William R. Hutchinson, Associate Dean, College of Fine Arts, University of California, Los Angeles, California 90024.

Economics

Professor Fritz Machlup, Director, International Finance Section, Department of Economics, Princeton University, P.O. Box 644, Princeton, N.J. 08540.

Geography

Professor George W. Hoffman, Department of Geography, The University of Texas, Austin, Texas 78712.

History

Professor Charles Jelavich, Department of History, Ballantine Hall, Indiana University, Bloomington, Indiana 47401.

Law

Professor Kazimierz Grzybowski, Rule of Law Research Center, Duke University School of Law, Durham, North Carolina 27706.

Music

Professor E. A. Cykler, School of Music, University of Oregon, Eugene, Oregon 97403.

Philosophy

Professor Max Black, The Society for the Humanities, Cornell University, 308 Wait Avenue, Ithaca, New York 14850.

Political Science/International Relations

Professor Zbigniew Brzezinski, Director, Research Institute on Communist Affairs, Columbia University, 622 West 113 Street, New York, N.Y. 10025.

and

Professor William E. Griffith, Center for International Studies, Massachusetts Institute of Technology, Cambridge, Massachusetts 02139.

Slavic languages, literature and linguistics

Professor Dean S. Worth, Secretary, American Committee of Slavists, Department of Slavic Languages, University of California, Los Angeles, Cal. 90024.

Sociology

Dr. Irwin T. Sanders, Vice President, Education and World Affairs, 522 Fifth Avenue, New York, N.Y. 10036.

GRANDEURS ET MISÈRES...

W Nr. 12 *Twórczości*, z grudnia 1969 p. Jarosław Iwaszkiewicz ogłosił szereg listów Witolda Gombrowicza do niego. W liście z 17. VII. 1968 r. Gombrowicz pisał: „... dość niemądra mnie spotkała przygoda, albowiem w moim ostatnim *Dzienniku* nie zamieszczono w passusie o Tyrmandzie samego zakończenia, w którym potępiał jego ataki na pisarzy krajowych, co zmienia sens całego ustępu. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarza, głupio to wypadło, ale nie z mojej winy i zamierzam powrócić do tego w następnych *dziennikach*. ... właściwie chciałem Ci tylko to o Tyrmandzie napisać, żebyś tego ile nie zrozumiał — ale tylko do Twojej wiadomości, gdyż zamiast sprostowania zamierzam do tego tematu powrócić w dalszych *dziennikach*”.

„Fragment z *Dziennika*”, o którym pisze Gombrowicz, był zamieszczony w *Kulturze*, w nrze 6/248-7/249 (czerwiec-lipiec 1968). Redakcja nie wprowadzała żadnych skreśleń. Jedyne skreślenie było zrobione przez samego Gombrowicza, który wykreślił jedno zdanie, raczej nieprzyjemne dla „oficjalnego Olimpu warszawskiego”. *Kultura* z zasady nie zmienia tekstów autorów bez ich zgody i nigdy nie było „sprawy Tyrmanda” między Gombrowiczem a Redakcją. Zamieszczamy kłiszę maszynopisu Gombrowicza.

Nawiasowo pragniemy zauważyć, że dziwią nas obyczaje ogłaszania prywatnej korespondencji bez zgody spadkobierców W. Gombrowicza, w tym wypadku wdowy po nim p. Rity Gombrowiczowej, która nadesłała nam kopię listu wysłanego do J. Iwaszkiewicza. Zamieszczamy ją również *in extenso*.

REDAKCJA

Paris, le 2 Février 1970.

Monsieur le Directeur
Twórczość
Wiejska, 16
Varsovie

Monsieur le Directeur,

Vous avez publié dans le dernier numéro de *Twórczość*, les lettres que vous avez reçues de Witold Gombrowicz. Je tiens à vous dire que je suis héritière de l'œuvre de Witold Gombrowicz et que sa correspondance ne peut être publiée sans mon autorisation. Or, Witold Gombrowicz m'a expressément demandé de n'accorder d'autorisation pour la publication en Pologne d'aucun de ses textes, y compris ses lettres, avant que toute son œuvre, et en particulier son Journal, ne soit intégralement publiée là-bas. J'élève donc une protestation formelle contre votre façon d'agir et je me réserve le droit d'en tirer des conséquences légales. Je vous prie de publier cette lettre dans le prochain numéro de votre revue.

Avec mes salutations distinguées.

Rita GOMBROWICZ

Witold Gombrowicz

FRAGMENT Z DZIENNIKA

29.III.68

Sprzedałem za dwieście czterdzieści tysięcy dolarów, z przyległościami, z panoramą, z synem i mulatką. Nic nie pozostało!

3.IV.68

Przypominam sobie, pisząc o "Złym" Tyrmanda przed laty tak zacząłem "Tyrmand! Talent!". I dziś jest mi cenny ten poemat w kaszkiecie, wodą śmierdzący i klęską, z romantycznym księżycem nad rozdołami sterczącej przedziwnie Warszawy. Łatwe? "Kryminalne"? Popularne? Uliczne nieomal? Ależ tak! I dlatego, że ten śpiew w mordzie rozkwąszonej, z dziurą od wybitych zębów, nie ogląda się na nic, nie chce być ani wyższą literaturą, ani ludową, czy proletariacką, a tylko rodzi się z trywialnego, ulicznego, gustu, z genius loci, z wyobraźni, jak kot po tych ruderach spacerującej, dlatego, powiadam, to godne admiracji, twórcze na swój sposób dzieło. I żywotne.

Jest więc prawdopodobne, że Jeleński i inni przesadzają podejmując w stosunku do tego ~~nieznanego~~ szczerbatego poety ton lekceważący, jakim go już w Polsce częstowano. ~~Nie przesadza, czy obiektywny ślęczył w Warszawie, czy on, to jeszcze nie jest~~ tak ~~proste~~. Że Tyrmand, wydostawszy się na swobodę, załatwia przy sposobności porachunki osobiste? Jesliby nawet tak było, czyż każdy proces wytoczony obecnemu ustrojowi polskiemu nie jest także, nie jest przede wszystkim, porachunkiem osobistym? Pozatym cechą Tyrmanda, jak ich wszystkich, urobionych przez Polskę powojenną, jest brak krystalizacji, oni są jak płyn

zmacony, który nie zdołał osiąść wartówami, ich najlepsze wartości są niejako bezbronne, bo zanadto życiem zakłócone. To może nie jest takie złe w czasach, gdy nauczyliśmy się dobrze wyodrębniać wartości i posługiwać się nimi. Hłasko, Tyrmand, młode do tego, najbardziej dziś może oryginalnego i największymi osobistymi trudnościami najeżonego, odłamu naszej literatury. Jaby Tyrmandowi zezwolił wojować, czym chce i jak chce, i śledziłbym co też się ukazuje w iskrach tej walki - bo jego "Życie towarzyskie i uczuciowe", choć jest poniekąd satyrą i analizą wyszczerbionego tenora lirycznego, wprowadza przecież w rzeczywistość... w pewną rzeczywistość specyficzną polską... i staje się niezwykle, wyjątkowo, charakterystyczna. Dlaczego? Wskutek czego nawet pewne słabości stają się tutaj siłą? Ależ dlatego, że tu czyta się jednocześnie i książkę i jej autora, autor jest "stamtąd", jest stworzony przez to, co opisuje, związany ze swoim opisem niewidzialną powiną, jest wciąż synem tego, czego się wypiera, choć się oderwał, choć zwalcza. To wyciska na utworze piętno ^{nierówności} autentyczności. Widać to najlepiej w zdankach najbardziej niewinnych, ubocznych tych najmniej zaangażowanych politycznie, mimowolnych.

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX

VII. Ślub i Trans-Atlantyk

Straty kultury polskiej

Mieczysław Grydzewski

Pragnę przyłączyć się do hołdu składanego pamięci Mieczysława Grydzewskiego przez wszystkich, których obchodzą losy polskiej kultury. Nie potrafię napisać o nim artykułu, bo znaczyłyby to pisać kronikę wydarzeń literackich, jakich był sprawcą: jest tego mnóstwo. *Skamander* i *Wiadomości Literackie* pozostają najważniejszymi pismami literackimi międzywojennego dwudziestolecia i wszyscy wiele im zawdzięczamy. Zasługi Grydzewskiego są naprawdę niezwykle. Był on przykładem cnoty rzadkiej w Polsce: nazwałbym ją cnotą kontynuacji. Nawet kraje o szczęśliwszych losach historycznych nie często mogą pochwalić się istnieniem pism literackich ukazujących się bez przerwy od 1924 do 1970 roku, jak redagowane przez niego *Wiadomości*. Ludzie tacy jak on potrafią okupić wiele strat dając wzór uporczywości i niemal fanatycznej służby sprawie polskiego piśmiennictwa.

Czesław MIŁOSZ

(W jednym z najbliższych numerów „Kultury” zamieścimy studium poświęcone Mieczysławowi Grydzewskiemu).

Wiktor Żółtowski

Wiktor Żółtowski należał do nielicznej grupy Polaków paryskich, którzy w ciągu długiego okresu pobytu we Francji, włączyli się w życie naukowe i kulturalne tego kraju, wyrabiając sobie poważną pozycję w środowisku uniwersyteckim.

Kolejne losy Wiktora Żółtowskiego są ściśle związane z historią Polski XX wieku. Urodzony 10 lutego 1900 r. w Warszawie, Wiktor był synem Wacława Żółtowskiego, znanego adwokata, i wnukiem Antoniego, powstańca z 1863 roku. Wychowanek gimnazjum im. Zamoyskiego w Warszawie, Wiktor wstępuje do wojska polskiego w 18-tym roku życia, uczestnicząc w kampanii

przeciwko Sowietaom w 1921 roku. Po demobilizacji i maturze, zdanej w trudnych warunkach powojennych, studiuje filozofię na uniwersytecie warszawskim, interesując się w szczególności nauką profesora Petrażyckiego. Po ukończeniu studiów, w 1924 roku wyjeżdża do Paryża, gdzie pracuje początkowo w Konsulacie polskim, uzyskując w 1926 r. stypendium rządu polskiego. W latach 1930-1932, Wiktor Żółtowski pracuje w Międzynarodowym Biurze Pracy, pod kierownictwem Alberta Thomasa, po czym, w latach 1930-tych, aż do wojny jest korespondentem Polskiej Agencji Prasowej w Paryżu. W roku 1938, odwiedza Polskę spędzając pewien czas w Warszawie, we Lwowie i w Wilnie. W 1940 r. zaciąga się do Armii Polskiej we Francji, skąd w czerwcu udaje mu się w ostatniej chwili wyjechać do Anglii.

W Anglii, Wiktor Żółtowski zostaje wysłany do Szkocji, skąd wyjeżdża w 1941 r. do Londynu, biorąc udział w polskim życiu politycznym. W Londynie wchodzi w skład redakcji dwujęzycznego pisma *Sprawa — Common Cause* gdzie publikuje różne artykuły polityczne i z dziedziny socjologii, przewidując układ jałtański, który krytykuje w sposób gwałtowny. Kontynuuje jednocześnie prace naukowe w British Museum. Do Paryża wraca w 1945, jako delegat Polskiego Ministerstwa Informacji w Londynie, ale wnet podaje się do dymisji oddając się całkowicie pracom naukowym.

W okresie międzywojennym, praca zawodowa, nie zahamowała pasji naukowej Wiktora Żółtowskiego. Wkrótce po przyjeździe do Francji, w r. 1924, uczęszcza na wykłady profesorów Bouglie i Fauconnet. W 1926 r. wyjeżdża do Strasburga, gdzie pracuje pod kierownictwem Maurice Halbwachsa, socjologa i specjalisty od statystyki, stosowanej do zagadnień społecznych i Charles Blondela, psychologa. Po rocznym pobycie w Strasburgu, wraca do Paryża, gdzie pracuje przez wiele lat pod kierownictwem ekonomisty i socjologa François Simianda. Po jego śmierci w 1935 r. nawiązuje kontakt z socjologiem i historykiem Georges Bourgin oraz z ekonomistą i socjologiem Edouard Dolleans. Już przed wojną inicjuje się w badaniach bibliograficznych, studiując statystykę publikacji, dotyczących Montaigne'a. Zainteresowania jego są szerokie. W latach 1930-1931 studiuje historię astronomii, a w 1934 r. publikuje tłumaczenie *De Moneta Cudenda ratio* Mikołaja Kopernika (Paryż, wyd. Alcan). Swoje podstawowe badania na temat dynamiki zjawisk społecznych rozpoczął Wiktor Żółtowski po wojnie, w ramach sekcji socjologicznej francuskiego Centre National de la Recherche Scientifique, gdzie pracował od 1948 r. pod kierownictwem Dziekana Georges Davy i profesora Georges Bourgin.

Jako socjolog, głęboko przejęty koncepcjami Auguste Comte'a i inspirowany metodami stosowanymi przy badaniu praw przyrody, Żółtowski poszukuje praw, którym podlegają zjawiska społeczne. Dla niego, jak i dla Comte'a, Durkheima i Simianda, właściwą metodą nauk społecznych winno być poszukiwanie regularności czy praw, które można odnaleźć poprzez badania histo-

ryczne zjawisk społecznych, jakimi są wyobrażenia zbiorowe, produkcja intelektualna i kategorie myślenia. Oryginalność jego polega na zastosowaniu w formie pionierskiej badań bibliograficznych, jako środka pozwalającego uchwycić statystycznie realność społeczną wyobrażeń zbiorowych.

Metodę swoją, zapożycza Żółtowski od François Simianda, który ją stosuje do badań długookresowych ewolucji cen. Simiand przedstawia ewolucje cen w formie fluktuacji długookresowych składających się z faz alternatywnych A i B. Dla Simianda jednak, uchwycenie statystyczne zjawisk społecznych i wyobrażeń zbiorowych nie jest możliwe. Żółtowski uważa ten pogląd za niesłuszny, podkreślając, że bez wytłumaczenia zjawisk społecznych nie można wytłumaczyć faktów ekonomicznych, które są ich częścią składową.

Pracę swoją rozpoczyna Żółtowski, badaniem statystycznym produkcji intelektualnej pozwalającej uchwycić zainteresowania czasem i przestrzenią. Jako wskaźnik zainteresowania czasem, wybiera prace dotyczące historii, a jako wskaźnik zainteresowania przestrzenią, prace dotyczące geografii i podróży. Jako podstawowe źródło przyjmuje *Bibliographie de la France* od 1812 roku, co nie jest pracą łatwą, biorąc pod uwagę zmiany prezentacji i klasyfikacji przeprowadzone w ciągu półtora wieku.

Pierwsze badania Żółtowskiego pozwalają odtworzyć cykle zainteresowań historią i geografą, podobne do cykli rozwoju cen obserwowanych przez Simianda. W fazach ekspansji — A — dominuje zainteresowanie geografą (1850-1875; 1900-1930); w fazach zwolnienia tempa — B — dominuje zainteresowanie historią (1818/20-1850; 1875/80-1900). Cykle te są według Żółtowskiego spowodowane faktem że energia intelektualna jest ograniczona i zainteresowanie czasem czy historią odbywa się kosztem zainteresowań przestrzenią. W okresach zainteresowań historią, czas staje się „głębszy” i ilość prac dotyczących czasów odległych się zwiększa. W okresie zainteresowań geografą, przestrzeń się rozszerza i zainteresowania dotyczą obszarów odległych. Rewolucje tłumaczy Żółtowski jako okres w którym zarówno czas i przestrzeń się zwężają, energia intelektualna koncentruje się na chwili obecnej i „wybucha”, wyzwalając się, łamiąc ciągłość historyczną. Wojny, tłumaczy on jako formę utraty równowagi, spowodowanej zainteresowaniem przestrzenią odległą.

Tezy swe opublikował Żółtowski już w 1947 roku, z okazji prelekcji w Institut Français de Sociologie¹. W dalszych pracach rozszerzył swe badania na produkcję intelektualną i artystyczną w której uwzględnił cztery kategorie: Teatr, Literaturę, Grafikę i Muzykę². W pracy tej, Żółtowski rozwija swe poglądy na Cykle.

1. Victor Żółtowski, *La fonction sociale du temps et de l'espace. Contribution à la théorie expérimentale de la connaissance*. Librairie Marcel Rivière, Paris 1947, 25 stron.

2. Victor Żółtowski, *Les cycles de la création intellectuelle et artistique*, L'Année Sociologique, 1952, strony 163-206 (tirage à part, Presses Universitaires de France, 1955).

Wprowadza pojęcie „wieku socjologicznego” (130 lat), który dzieli na fazy pięćdziesięcioletnie (A) i osiemdziesięcioletnie (B). Wprowadza też ideę, że istnieje nie jeden ruch ewoluujący cyklicznie, a kilka ruchów odrębnych, które na siebie oddziaływują, powodując wahania w obrębie faz A i B (te wahania określa on przez „a” i „b”, próbując uchwycić je statystycznie). W pracy tej Żółtowski wprowadza też pojęcie ruchów półtysiącletnich (520 lat) i ekstrapoluje swe fazy na okres bardziej odległy. Interpretacja fluktuacji staje się też bardziej solidna. W okresie ekspansji, jaką jest faza A, przeważają zainteresowania w formie „czystej”, tzn. dotyczące tylko jednej dziedziny. Ilość prac na temat literatury, grafiki i muzyki wzrasta pokaźnie. Maleje natomiast znaczenie prac o charakterze syntetycznym, reprezentowanych przez sztuki teatralne. W fazie B, odpowiadającej pewnej refleksji i potrzebie syntezy, zainteresowania autorów zmieniają się zasadniczo: ilość sztuk teatralnych, syntetycznych *par excellence* wzrasta szybko, podczas gdy proporcja prac graficznych, muzycznych i literackich maleje.

Tezy Żółtowskiego spotkały się z dużym zainteresowaniem, ale też i z oporem niektórych socjologów, których charakter pionierski i abstrakcyjny jego poszukiwań drażnił i którzy lansowali prace opisowe i badania częściowe, analityczne. Żółtowski zmuszony był kontynuować swe badania często samotnie, bez większej pomocy. Walcząc o przyszłość swych badań, napisał w 1959 r. cenny raport, pt. *Quelques aspects de la dynamique sociale* (Kilka zagadnień dynamiki społecznej), w którym rozwija swe tezy. Konieczność okresów ekspansji i regresji w dynamice społecznej tłumaczy związkiem pomiędzy dwoma dziedzinami aktywności intelektualnej: *épistémé* i *praxis*, czyli związkiem pomiędzy koniecznością refleksji i spekulacji intelektualnej z jednej strony i koniecznością eksperymentowania i konkretnego działania (akcji) z drugiej strony. W fazie B, dominuje *épistémé* a w fazie A, *praxis*. Tezę swą udowadnia przykładami zaczerpniętymi ze swych badań bibliograficznych i z prac nad historią nauki i literatury, które podjął i kontynuował w tym celu.

W tej samej pracy, Żółtowski próbuje zakreślić nowe perspektywy swych badań: rozszerzenie cykli zjawisk społecznych na okres obejmujący ok. 4.000 lat, oraz przyjęcie jako przedmiot fluktuacji, już nie tylko produkcję intelektualną, zarejestrowaną w bibliografiach, ale kolejne fazy rozkwitu i upadku cywilizacji i religii. Jako hipotezę, przyjmuje cykl połowy tysiąclecia (520 lat) i kolejny rozwój cywilizacji celtyckiej, greckiej, łacińskiej i germańskiej. Badane hipotezy rozwoju religii przedstawione jest na przykładzie religii judaistycznej i chrześcijańskiej. Chociaż chodzi tu nie o wyniki badań szczegółowych, a raczej o kadry przyszłych prac naukowych, całość koncepcji przedstawia się niezwykle interesująco i sugestywnie.

Główną ambicją Żółtowskiego w ostatnich latach jego życia, było znalezienie formuły matematycznej, wyrażającej prawa czy prawidłowości, które by z dokładnością podobną do prawa gra-

witacji Newtona (na które się często powoływał) pozwoliły interpretować zjawiska społeczne. Prac tych niestety nie zakończył, ale pozostawił niezwykle cenny materiał, który będzie jeszcze długo fascynował socjologów.

Inspirowany przez wielkie nazwiska socjologii i filozofii francuskiej, Żółtowski był pełen entuzjazmu dla prac młodszych kolegów z dziedziny nauk społecznych. Temu entuzjastowi zawdzięczałem, pełne wnikliwości wprowadzenie w problemy środowiska naukowego i uniwersyteckiego. Jego teza o pozornym liberalizmie tego środowiska i rzeczywistymi stosunkami, będącymi kontynuacją systemu feudalnego, była często kluczem do zrozumienia i oceny motywów decyzji. Żółtowski był w rzeczywistości doskonałym obserwatorem i badaczem środowiska w którym się obracał. Próby stosowania swych prac do przewidzenia ewolucji społecznej Francji, zadziwiała zawsze jego przyjaciół swą trafnością. Sam pamiętam, jak w początkach wojny koreańskiej, kiedy wszyscy obawiali się rozszerzenia wojny, odpowiadał spokojnie, że wchodzimy w fazę „historyczną”, refleksji, w której rozkazy mające na celu rozszerzenie działań wojennych nie byłyby wykonalne. W tym okresie, przewidywał zamieszki rewolucyjne „pod koniec dziesięciolecia” (koniec czwartej Republiki), oraz wybuch silniejszy ok. lat 1966-1967! W ostatniej z nim rozmowie, w czerwcu 1969 roku, przewidywał następny wybuch rewolucyjny za około 10 lat, ale podkreślał, że znajdujemy się w fazie B, która powinna trwać ok. 80 lat (1950-2030), odpowiadającej długofalowym tendencjom refleksji, syntezy i zainteresowań historycznych, w której wszelkie wybuchy rewolucyjne mają charakter złagodzony.

Przedwczesna śmierć Wiktora Żółtowskiego w dniu 25 września 1969 r. przerwała jego program badań przerastających siły jednego człowieka. Charakter pionierski jego prac nie uszedł jednak uwagi specjalistów nauk społecznych i nie jest wykluczone, że badania, którym oddawał się z niezwykłym zapałem i energią, zostaną kontynuowane w niedalekiej przyszłości przez ekipy historyków, socjologów i ekonomistów dysponujących niezbędnymi środkami dla badań tych rozmiarów.

E. ZALESKI

List o St. Czerniku

Londyn, luty 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

Jak pochwalić człowieka wyjątkowej skromności? Chyba skromnymi uwagami, które ten list zawiera. W grudniu ub. roku zmarł w Polsce Stanisław Czernik, przedwojenny redaktor *Okolicy Poetów* (1935-39), teoretyk i apologeta *autentyzmu*, swoistego zaprawdę kierunku w poezji, który jednak prze-

trwał, zachował świeżość i tą świeżością przyciąga teraz młodych krytyków. Z nazwy *autentyzm* przypomina pozornie jakiś importowany izm, a przecież w ostatnim półwieczu była to bodajże jedyna rodzima próba określenia twórczości nie wygórowaną abstrakcją, ale tekstami sprawdzalnymi zarówno w przeżyciu jak i w języku.

Z początku łatwo było wykipić szczerze intencje Czernikowej szczerości, ale ktokolwiek dziś bada kulturę poszlachecką, nie może już drwić zbywać *autentyzmu*, który przez dokładne obserwowanie drobiazgów w zmiennych układach codzienności stwierdzał to co uderzało każdego w oczy, jeśli na chwilę zdjął okulary snobizmu. Ze Polska była prowincją, krajem małych miast i wsi. Dla Czernika jednak prowincja nie miała pogardliwego znaczenia; przeciwnie, ukazywała niewykorzystane zasoby kultury. Jego miesięcznik wychodził nie w Warszawie, czy choćby w Poznaniu, ale w nieznanym Ostrzeszowie Wielkopolskim. Młodzi poeci, którzy drukowali w *Okolicy*, wyrosli z nowego podglebia, potwierdzali organiczną zmianę w samym twórcywie, która zaczęła się na dobre od Kasprowieca. Po nim nie ma już dużych luk w ciągłości tego nieuniknionego procesu. *Mój świat* (według mnie instynktowna jakby zapowiedź *autentyzmu*) ukazał się dziewięć lat przed *Okolicą Poetów*. Pierwszy tom Ożoga, *Wyjazd wnuka*, wydany w 1937 r., nie ma owych przymileń czy wygłazzeń, które po latach nudzą swoją typowością: jest chropowaty, czasem nieporadny, ale własny, tkwi w konkretności. To samo można powiedzieć o najlepszych wierszach *autentystów*.

Czy był Czernik wybitnym krytykiem? Mógłby nim być na pewno, gdyby nie powojenne karczowanie niezależnej myśli w Polsce. Biedny Czernik, musiał czasem potrzasać metryką klasową, swoją i byłych współpracowników *Okolicy*, ale urzędnikiem literatury nie został, ani pieczę Wielkiego Budowniczego Łagrów. W artykułach o *autentyzmie* nie powtarzał cudzych poglądów, nie udawał że wiedział więcej niż wiedział, nie próbował tworzyć Braetwa Wzajemnej Arogancji, żeby użyć powiedzenia Irzykowskiego. Myślał po swojemu. Po latach ujmuje naturalność jego głosu. Ten na miarę tematu. A to w krytyce polskiej dość rzadkie.

Od historyków romantycznych począwszy, co i rusz ktoś krzyczy na własną tradycję, której w pełni nie pojmuje, a właściwie krzyczy przeciw sobie. Zgaga historii, odbijają mu się nieszczęścia narodowe, czkawka za Miliony. A teksty jakby nie istniały, leżą odłogiem. Potrzeba potem uważnego i spokojnego Pigionia, Krzyżanowskiego czy Borowego, żeby przywrócić tekstom, to znaczy rzeczywistości literackiej, prawo pierwszeństwa.

Czernik wierzył w *autentyzm*, bo ufał sprawdzalności tekstu. Gdyby był kustoszem muzeum albo archiwum (a tacy do dziś dnia ratują Polskę przed barbarzyństwem), przeprowadzałby zapewne drobiazgową dokumentację jakiegos zakątka prowincji. Należał do tych, którzy są ubodzy duchem. Bogactwo kultury im tylko powinno się oddawać w opiekę. Chylę czoło przed pamięcią skromnego człowieka, dobrego prowincjusza.

Z serdecznością,

Jerzy PIETRKIEWICZ

P.S. Z kroniki *autentyzmu*: dopisek. Poeci Ożóg i Frasiak mieszkają w Krakowie. Ożóg, który ma teraz 57 lat, ogłosił tom wierszy zebranych w 1965 r. Jeden z ostatnich debiutantów w *Okolicy*, Bolesław Kobrzyński przebywał od wielu lat w szpitalu angielskim, ale nadal pisze. Bliski *autentyzmowi* Stanisław Piętał popełnił samobójstwo w 1964 r. Dziewiętnastoletni niegdyś autor *Prowincji* wydrukował już swój *Ostatni wiersz. De mortuis nil nisi bene*.

J. P.

Humor krajowy

Przegląd prasy polskiej - czerwiec 1972

10. VI. 72. *Życie Warszawy*. „Do łaski marszałkowskiej wpłynął projekt ustawy, na mocy której we wszystkich teatrach PRL dopuszczone będą do wystawiania jedynie dwie sztuki: „Panna rekrutem” oraz „Żyd w becze”. Projekt referował przewodniczący sejmowej komisji kultury i sztuki, tow. Alojzy Gęgorek (PZPR). Projekt nasz — oświadczył mówca — raz na zawsze kładzie kres panowaniu się snobistycznych gustów w naszym ludowym teatrze. Ma on na celu jeszcze większe zespolenie naszego społeczeństwa w walce o wspólne cele. Polska klasa robotnicza, chłopstwo i postępową inteligencja w twórczym trudzie wykuwają gmach nowego życia. Chcemy, aby kultura nasza, otoczona zawsze pieczołowitą troską partii i rządu, brała udział w tym wielkim pochodzie. Sztuka nie może być oderwana od życia mas pracujących. Sztuki „Panna rekrutem” oraz „Żyd w becze” zostały troskliwie wybrane przez najlepszych specjalistów jako najbardziej zgodne z tradycjami kultury narodowej, jak też najlepiej odbijające ducha postępu”.

Posel klub ZNAK pozwolił sobie w związku z tym na wystąpienie wyraźnie nie licujące z godnością poselską. Oświadczył mianowicie, że klub jego wprawdzie głosować będzie za przyjęciem ustawy, aby nie sprawiać wrażenia, że rozbija jedność narodową, jednakże z drugiej strony jest zdania, iż ustawa ta może spowodować w polskim teatrze pewne niebezpieczeństwo ograniczenia swobody wyboru artystycznego. Odpowiadał posłowi premier PRL Józef Cyrankiewicz: „Rząd nasz i partia — oświadczył mówca — nigdy nie zamierzały i nie zamierzają krępować swobody twórczej artysty. Nie chcemy narzucać teatrom repertuaru, chcemy jedynie, aby to był repertuar twórczy, który nie będzie przeszkadzać w budownictwie socjalistycznym, lecz mu pomagać. Czy teatr nie ma wyboru? Każdy teatr, stosownie do własnych tradycji i możliwości, może wybrać albo „Pannę rekrutem” albo „Żyda w becze”. Nie zamierzamy również ingerować w projekty

inscenizacyjne, byleby tylko one odpowiadały potrzebom ideowym naszego społeczeństwa i zasadom myśli postępowej. Czyż, skoro jest wybór, to nie ma wyboru?” — zapytał mówca. Ta DOWCIP-NA replika wywołała huraganowe brawa i śmiechy na ławach poselskich oraz wśród licznie zgromadzonych przedstawicieli społeczeństwa i prasy. Posel klubu pos. PAX oświadczył, że klub jego w pełni i gorąco popiera projekt ustawy, która kładzie wreszcie kres nabrzmiałym problemom ideowym naszego teatru i zgodna jest z najgłębszymi pragnieniami społeczności chrześcijańskiej polskiej. Przedstawiciele klubów pos. PZPR, ZSL i SD oświadczyli, że ich kluby będą głosować za projektem. Ustawa przyjęta została jednogłośnie.

Tegoż dnia wieczorem radio Wolna Europa poświęciło audycję napiętnowaniu nowej ustawy. W audycji podkreślono z uznaniem śmiałe i bezkompromisowe stanowisko posłów ZNAK. Jednocześnie podano, że Jerzy Andrzejewski wysłał do premiera PRL pismo, protestujące przeciw nowemu gwałceniu swobody twórczej w Polsce.

12. VI. 72. Repertuar teatrów warszawskich: Teatr Narodowy — *Panna Rekrutem*; Teatr Polski — *Panna Rekrutem*; Teatr Współczesny — *Żyd w Becze*; Teatr Komedia — *Panna Rekrutem*; Teatr Dramatyczny — *Żyd w Becze*; Teatr Ludowy — *Żyd w Becze*; Teatr Klasyczny — *Panna Rekrutem*.

12. VI. 72. *Życie Warszawy*: „Nowo mianowany dyrektor Teatru Współczesnego, tow. Alojzy Gęgorek, udzielił wywiadu przedstawicielowi naszej redakcji. „Teatr nasz — powiedział nasz rozmówca — zrywa wreszcie z fałszywą praktyką dostosowywania się do guścików drobnomieszczańskie pseudo-inteligencji. Poparcie, z jakim nowa polityka repertuarowa spotkała się w szerokich rzeszach, napawa nas radością. Teatr z narodem — oto nasze nowe hasło. Nie mogliśmy dłużej obojętnie patrzeć na staczanie się polskiego teatru w objęcia cynizmu i szmiry reklamującej się zachodnim pochodzeniem. Nowe wytyczne partii i rządu pozwalają nam stworzyć teatr zdrowy ideowo, zgodny z duchem narodowej tradycji i na wysokim poziomie artystycznym”.

W tymże numerze recenzje z nowej inscenizacji „Panny rekrutem” w Teatrze Polskim zamieszcza krytyk Alojzy Gęgorek. Píše, że sztuka spotkała się z zasłużonym uznaniem licznej publiczności. Na spektaklu obecni byli m.in. sekretarz i członek Biura Politycznego PZPR, Ryszard Strzelecki, oraz sekretarz i członek Biura Politycznego PZPR, Bolesław Jaszcuk. W przyjacielskiej rozmowie ze sprawozdawcą naszej gazety podkreślili oni zalety inscenizacji i oświadczyli, że doskonale sztukę rozumieją, czego nie można powiedzieć o „dziełach” granych tam poprzednio.

W *Trybunie Ludu* pisze Jaszcuk: „Ktokolwiek nie jest doszczętnie zaślepiony nienawiścią do wszystkiego, co nowe, nie mógł opuścić wczorajszej inscenizacji „Panny rekrutem” w Teatrze Narodowym bez głębokiego przeświadczenia o głębokiej słuszności ostatnich głębokich decyzji partii i rządu. Huraganowe śmiechy i oklaski ciągnęły się bez mała przez cały spektakl, na któ-

rym zresztą obecni byli członkowie kierownictwa partii i wielu wybitnych działaczy. Nie tylko scena (zresztą znakomita), ale i widownia była dla nas dobitnym dowodem, jak bardzo potrzebne i słuszne były te poważne zmiany. Ta głęboko humanistyczna, a zarazem pełna humoru sztuka, nawiązująca głęboko do najlepszych tradycji naszej kultury, pozostawiła głębokie i niezapomniane wrażenie".

13. VI. 72. W piśmie *Kultura* Julian Przyboś w artykule pt. „Piękno mowy ojczystej” subtelnie analizuje bogaty język utworu pt. „Żyd w becze”. „Pyszny ten język — pisze — zabrzmiał mi echem Kochanowskiego, nie tylko tego z „Odprawy”, ale i tego z jędrnych fraszek”. W tym samym numerze *Kultury* Janusz Wilhelmi w artykule pt. „Czas powiedzieć prawdę”, pisze: „Oto, do czego doprowadziła nasza wieloletnia chwiejna polityka teatralna. Każdy krok na drodze postępu okupujemy dziś ogromnym wysiłkiem, który byłby wielokrotnie mniejszy, gdyby niezbędne zmiany zdecydowano się przeprowadzić wcześniej. Płacimy za skutki opóźnionego postępu”. W tymże numerze *KTtoeplitz* w swoim felietonie pisze, iż po prostu do rozpuku się śmieje, niepowstrzymanie się śmieje, do bólu brzucha się śmieje, kiedy pewni znajomi mówią mu, że w Polsce życie teatralne jest zagrożone ostatnią ustawą „Zagrożone? — pyta. Kto komu grozi? Rząd teatrowi? Czy teatr rządowi? Stuknijmy się w czoło”. W drugiej części swego felietonu popularny autor (zwany „Słonimskim dnia dzisiejszego”) pisze, że po prostu do rozpuku się śmieje, niepowstrzymanie się śmieje, do bólu brzucha się śmieje, kiedy pewni znajomi nie podają mu ręki.

14. VI. 72. W *Polityce* artykuł redakcyjny pt. „Porozmawiamy na serio”. „Musimy się zdobyć na spokojną, wolną od zaciętrze-wień ocenę — pisze tygodnik. — Minęły już 4 dni od chwili przyjęcia ustawy i pierwsze jej wyniki możemy na gorąco zanotować. Świat się nie zawalił — to jest fakt pierwszy. Teatry się nie zawaliły — to fakt drugi. Ludzie się bawią i śmieją — to fakt trzeci. Fakty są nieodparte i fakty są uparte. Może kogoś to martwi, ale nie nas. Spójrzmy obiektywnie: ta zmiana była nieuchronna, konieczna, zdrowa. Jeszcze raz przekonaaliśmy się, że postępu powstrzymać nie sposób”.

W tymże numerze *Polityki* Artur Sandauer (zwany „Irzykowski dnia dzisiejszego”) ogłasza artykuł pt. „O co chodzi naprawdę?”. W pierwszej części artykułu autor wyjaśnia, że nadal nie zamierza poddawać się terrorowi polityczno-literackich koterii oraz że bez względu na skutki nie liczy się z żadnymi politycznymi względami. W drugiej części dowodzi, że J. Andrzejewski jest i zawsze był grafomanem.

15. VI. 72. W *Życiu Warszawy* artykuł Jerzego Putramenta pt. „Oszukani prorocy”. „Już stary Bebel mawiał — pisze Putrament — że kiedy prawica klaszcze, to znaczy, że się pomylił. I to racja. Ale ta racja ma dalszy ciąg: kiedy prawica się wścieka, to znaczy, że my mamy rację. Kto najgłośniej krzyczy, że nasza ustawa 'niszczy kulturę polską', 'rujnuje teatr' itp.? Któżby, jak nie pa-

nowie z Wolnej Europy! Czego to dowodzi? Że uderzyliśmy celnie. Celnie, aż jęknęło w gabinetach panów agentów. Oni pękają ze złości, a my się cieszymy. I cóż w tym dziwnego? Dziwne chyba to, że jeszcze trzeba tłumaczyć takie rzeczy, które należą do abecadła myślenia politycznego. Oczywiście, że matadorom z Pentagonu nie w smak poszło, że gramy w Polsce nasze narodowe sztuki „Żyd w becze” i „Panna rekrutem”. Oni by chcieli, żebyśmy grali sztuki wzywające do linczowania Murzynów i do wojny atomowej. A my nie. I cóż się dziwić, że krzyczą? Ich sprawa krzyczeć, a nasza — splunąć”. Tę CIĘTĄ i DOWCIPNĄ wypowiedź J. Putramenta przedrukowały prawie wszystkie pisma w Polsce.

Tegoż dnia młody pisarz z Pruszkowa, Alojzy Gęgorek, pisze w *Trybunie Mazowieckiej* w artykule pt. „Czas zdechrzcić maski”: „To oni wrzeszczeli jak opętani, że w Polsce się dławi kulturę. A sami zarabiali krocie. A my? Dość tego! Polski teatr nie będzie służył Ciemnogradowi ani agenturom syjonistyczno-neohitlerowskim. To jest bitwa ideowa! I my tę bitwę wygramy!”

W piśmie *Żołnierz Polski* analizuje z kolei nową ustawę pułkownik Alojzy Gęgorek: „Toczy się bój o nowy kształt polskiego społeczeństwa — pisze płk Gęgorek. Wojsko nie pozostanie na uboczu od tego boju. Nasz obowiązek obywatelski to także nasz obowiązek żołnierski. Sprawa ideowego teatru jest sprawą nas wszystkich — od rekruta do generała”.

16. VI. 72. Wczoraj załoga Zakładów Nagrobków Gipsowych spotkała się z warszawskimi pisarzami. Na spotkaniu zabrał głos m.in. pisarz Bogdan Czeszko, który oświadczył: „O co chodzi w tym krzyku? Ja wam powiem, towarzysze! Chodzi o pieniądze. Oni by chcieli, żebyśmy grali ich sztuki i jeszcze więcej naszego grosza, zdobytego waszym ciężkim trudem, sypali do ich pełnych kieszeni. To jest cały problem. Ale my chcemy sztuki dla nas wszystkich, dla was, dla mnie, dla społeczeństwa, dla Polski”.

17. VI. 72. Repertuar teatrów w Warszawie: Teatr Narodowy — *Żyd w Becze*; Teatr Polski — *Żyd w Becze*; Teatr Współczesny — *Panna Rekrutem*; Teatr Komedia — *Żyd w Becze*; Teatr Dramatyczny — *Panna Rekrutem*; Teatr Ludowy — *Panna Rekrutem*; Teatr Klasyczny — *Żyd w Becze*.

18. VI. 72. Młody socjolog, Alojzy Gęgorek, pisze w piśmie *Współczesność*, w artykule pt. „Rzeczywistość i socjologiczna futurologia”: „Powierzchniowa analiza domniemywać by pozwalała, że nowa ustawa objawić się może w przejściowym choćby kryzysie życia teatralnego, które nader pośpiesznie przeobrażać powinno swoje dotychczasowe, anachroniczne modele. Tymczasem rzeczywistość okazała się być sprzeczna z tymi przewidywaniami, które zaiste nie przynoszą chluby naszej socjologii. Teatr tętni życiem, jak o tym przekonać może każdego ostatnia inscenizacja „Żyda w becze” w Teatrze Klasycznym. Symptomatycznym zjawiskiem wydaje się być fakt, że życie artystyczne naszego społeczeństwa uległo stałemu pogłębieniu i wzbogaceniu na przestrzeni ostatnich dni”.

20. VI. 72. W dniu wczorajszym odbyło się plenum KC PZPR. Referat Biura Politycznego wygłosił pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka. Mówca powiedział: „Nieśmiertelne idee marksizmu-leninizmu są nieśmiertelne, jak zresztą sama nazwa wskazuje. Partia nasza, zjednoczona jak nigdy i uzbrojona w te nieśmiertelne idee, stoczyła właśnie zwycięski bój z reakcją mikołajczykowską i wszelką inną o nowy, piękniejszy kształt naszego życia kulturalnego. Musimy podnosić ideowy hart młodego pokolenia. Właśnie w tym celu postanowiliśmy ogłosić nagrody za najlepsze i słuszne ideologicznie prace z zakresu teatrologii oraz krytyki teatralnej. Imperialistom nie uda się naruszyć nie-wzruszonej jedności światowego ruchu robotniczego — oświadczył mówca, nawiązując do ostatnich wydarzeń w Kazachstanie (gdzie, jak wiadomo, zginęło ostatnio 200.000 żołnierzy chińskich oraz 40.000 radzieckich — przyp. red.). „Nie uda im się dlatego, że takie są prawa postępu historycznego. I tak samo partia nasza, która jest sumieniem narodu, kierowała się właśnie tymi prawami postępu historycznego, kiedy usunęła z teatrów głęboko niesłuszne sztuki, a na ich miejsce wprowadziła głęboko słuszne sztuki, jak na przykład „Panna rekrutem” i „Żyd w beczce”. To nie jest nasze widzimisię, ale obiektywny i prawidłowy postęp społeczny i historyczny”.

Z ostatniej chwili: Teatr Dramatyczny zawiadamia, że z powodu choroby aktora dzisiejsze przedstawienie sztuki „Panna rekrutem” nie odbędzie się. Zamiast tego wystawiona zostanie sztuka „Żyd w beczce”, albo kasa zwróci bilety.

Teatr Polski uprzejmie zawiadamia, że z powodu trudności technicznych jutrzejsze przedstawienie sztuki „Żyd w beczce” nie odbędzie się. Zamiast tego odegrana zostanie sztuka „Panna rekrutem” lub kasa zwróci bilety.

Z ostatniej chwili: dowiadujemy się, że jury komisji do nagród za najlepsze prace teatrologiczne, obradujące pod przewodnictwem kierownika wydziału kultury KC PZPR, Alojzego Gęgorzka, ogłosiło wyniki swych narad. Pierwszą nagrodę zdobył młody polonista z Wrocławia, Alojzy Gęgorek.

Do druku podał

Alojzy GĘGOREK
(na wszelki wypadek)

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-12-69

Z. Gł. Związku Literatów skreślił ostatnio z listy członków osoby, które na stałe opuściły kraj. Wśród nich znajdują się m.in.: Leopold Tyrmand, Henryk Grynberg, Arnold Słucki, Stanisław Wygodzki, Roman Karst, Adam Tarn, Eugeniusz Żytomirski, Hanna Szumańska-Grossowa, Alicja Lisiecka, Andrzej Wirth, Kalman Segal i Krystyna Żywulska.

20-12-69

Miesięcznik społeczno-kulturalny *Zwrot*, ukazujący się w Czeskim Cieszynie, obchodził 20-lecie swego istnienia. Miesięcznik ten odegrał wielką rolę w rozwoju życia kulturalnego na Śląsku Cieszyńskim — mimo najbardziej nie-sprzyjających warunków.

28-12-69

Polski Plan Gospodarczy na rok 1970 zakłada wzrost globalnej produkcji przemysłowej o 7,3 proc., czyli poniżej przeciętnej wzrostu w ostatnich latach. Najszybciej wzrastać będzie nadal produkcja przemysłu maszynowego, chemicznego i elektronicznego, zwolnieniu ulegnie tempo wzrostu przemysłu przetwórczego. Znacznemu ograniczeniu ulegną inwestycje; w ostatnich latach wzrastały one przeciętnie o 9 proc., w przyszłym roku przewiduje się wzrost o 2,5 proc., ograniczeniu ulegną wydatki ponoszone z bezosobowego funduszu płac, delegacji służbowych, honorariów, wydatki reprezentacyjne i administracyjne.

Na skutek złych warunków hodowlanych pogłowia owiec w PRL spadło o przeszło milion sztuk. Polska jest zmuszona importować duże ilości skór baranich z zagranicy. ■ Z dniem 31. 12. 1969 r. utraciły ważność paszporty wydane przed tym dniem serii AA i BA (w sztywnej okładce), na ich podstawie nie można wyjechać z Polski. Posiadacze tych paszportów, którzy z jakiegokolwiek przyczyn nie mogli wyjechać z Polski przed 31. 12. 1969 r., powinni zgłosić się do Komendy MO, która paszport wydała, z prośbą o jego wymianę na nowy serii PA. Osoby przebywające za granicą mogą powrócić do kraju na podstawie starego wzoru paszportu (serii AA i BA) do dnia 31. 12. 1970 r.

1-1-70

Od nowego roku wchodzi w życie wyższe ceny skupu trzody połączone z ulgami podatkowymi. Przyrost pogłowia spadał systematycznie w ostatnich latach. ■ „Lot” zapowiada uruchomienie linii lotniczej Warszawa-Madryt. ■ Zachodnoniemiecki koncern Mannesmann-Thyssen ma dostarczyć Zw. Sowieckiemu 1,2 miliony rur o wielkim (1,42 m) przekroju. Rury mają służyć do budowy rurociągu gazowego (przez Bratysławę) do NRF. Spłata należności nastąpi — począwszy od 1973 r. — dostawami gazu ziemnego. Podobną umowę na okres 20 lat zawarł Zw. Sowiecki z Włochami. ■ Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii zagranicznej sprawuje opiekę duszpasterską nad 200 tys. Polakami, zamieszkającymi we Francji, Włoszech, NRF, W. Brytanii, USA, Kanadzie, Brazylii, Australii i Nowej Zelandii. Po roku 1956 wyjechało z kraju 80 kapłanów i 5 braci zakonnych. Ogółem wśród Polonii zagranicznej pracuje 103 księży i 7 braci. Obecnie w Studium Duszpasterstwa Emigracyjnego w Puszczykowie przygotowuje się do wyjazdu grupa 10

chrystusowców. ■ Jednym z przejawów życia religijnego w Polsce jest wielka ilość kandydatów do kapłaństwa. Wszystkie diecezje — z wyjątkiem archidiecezji w Lubaczowie, która kształci swoich kleryków w Przemyślu i Tarnowie — mają własne seminaria duchowne. W 24 seminariach diecezjalnych przygotowuje się do kapłaństwa 3.327 alumnów, z tego na pierwszym kursie — 743. W roku ubiegłym na pierwszym kursie było 706 alumnów. Najliczniejsze seminaria mają diecezje: tarnowska (278 alumnów), katowicka (265), krakowska (243), wrocławska (242). Pierwsze kursy są najliczniejsze w seminarium krakowskim (59 alumnów) i tarnowskim (58). Kleryków zakonnych na studiach filozoficzno-teologicznych jest 998, z tego na pierwszym kursie 264. Najliczniejsze seminaria zakonne posiadają księża zmartwychwstańcy — 58, północna prowincja księży salezjanów — 57, i południowa prowincja — 55. ■ Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich skreśliło z ewidencji: Helenę Lemańską, Hedde Perską, Władysława Forberta — Wytwórnia Filmów Dokumentalnych, Irenę Windholz — Polskie Radio, Mieczysława Jakubowicza — „Forum”, Ajzka Szechtera — „Gospodarka Planowa”, Henrykę Schabowską — „Chłopska Droga”, Ryszarda Teadlinga, Józefa Cywiaka, Aleksandra Drożdżyńskiego, Henryka Himmelfarwebra, Jerzego Kowalewskiego, Michała Łuckiego, Leopolda Ungera oraz Krystynę Miłotowską-Krzysztofiak.

2-1-70

Zmarł w Warszawie Piotr Rytel, jeden z najstarszych polskich kompozytorów.

4-1-70

Nowym naczelnikiem ZHP na miejsce Wiktora Kineckiego został jego zastępca Stanisław Bohdanowicz. ■ Ludność Polski wydaje na loterie i gry liczbowe 1,5 miliarda złotych rocznie. ■ W Polsce funkcjonuje 16 tys. prywatnych sklepów (w tym 9 tys. to sklepy spożywcze), 1.450 prywatnych zakładów gastronomicznych. Wśród prywatnych zakładów usługowych najwięcej jest magli, bo aż 1.800.

8-1-70

W Czechosłowacji zamrożono na okres co najmniej roku wszystkie ceny we wszystkich dziedzinach. Oznacza to równoczesne faktyczne zamrożenie płac. Przed ogłoszeniem tej decyzji podniesiono opłaty za przejazdy w komunikacji miejskiej. ■ 100 tys. Polaków mieszka w Czechosłowacji, 4.500 — w NRD, ok. 5 tys. na Węgrzech, ok. 10 tys. w Rumunii i 1.380.000 w ZSSR. ■ Rozpoczęto produkcję pierwszej polskiej (na szwedzkiej licencji) maszyny do pisania o nazwie „Prema 101”. ■ W Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie odbyło się doroczne walne zgromadzenie. Wybrane zostały nowe władze Klubu. Do Prezydium Zarządu weszli: Konstanty Łubieński (prezes), Hanna Przeciszewska (wiceprezes), Andrzej Wielowiejski (wiceprezes), Wacław Aulejtnier (sekretarz) i Krzysztof Morawski (skarbnik). ■ *Chrześcijańsin w świecie* — pod takim tytułem ukazał się nr 1 zeszytów Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych. Naczelnym redaktorem nowego przeglądu jest Janusz Zabłocki, poseł na Sejm, członek Koła *Znak*. Czyżby początek secesji? ■ O. Sylwester Pajak, polski werbista, został rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Ledalero w Indonezji. Seminarium to należy do Zgromadzenia Słowa Bożego i liczy ok. 150 kleryków; na wykłady uczęszczają tu również alumni (ok. 100) z diecezjalnego seminarium duchownego w Ritapiret. ■ W wydawnictwie „Istituto Saveriano Missioni Estere” (Parma) ukazał się szkic japońskiego pisarza Matsui Toru na temat

życia i charytatywnej działalności Polaka, Zenona Zebrowskiego, franciszkańskiego misjonarza w Japonii. O. Zebrowski w ciągu swego prawie 40-letniego pobytu w tym kraju najpierw współpracował z o. Maksymilianem Kolbe, a po wojnie zasłynął jako opiekun sierot i starców, organizując dla nich zakłady i schroniska. Tytuł włoskiego przekładu brzmi: „*Zeno non ha tempo di morire*” („Zenon nie ma czasu umrzeć”). ■ „Biblioteka Narodowa” Wydawnictwa Ossolineum zakończyła 50-lecie swej działalności wydawniczej. W tym okresie wydała 360 tytułów w ponad 4,5 milionowym nakładzie arcydzieł naszej literatury. Dziełem inauguracyjnym ten cykl były „*Treny*” Jana Kochanowskiego.

13-1-70

Papież mianował biskupem ordynariuszem diecezji wrocławskiej ks. bpa dra Jana Zarębę, dot. administratora apost. tej diecezji. Ponadto ks. Henryk Gulbinowicz został mianowany bpem tyt. Accia i administratorem apost. w Białymstoku. ■ W stoczni gdańskiej obchodzono uroczystości 2-milionową toną zbudowaną przez stocznice dla Zw. Sowieckiego. Stocznia gdańska wyprodukowała 523 statki z tego 404 jednostki zamówione przez Zw. Sowiecki. ■ Ks. St. Smoleński został mianowany bpem tyt. Alawy i wyznaczony na sufragana archidiecezji krakowskiej, ks. Albin Małysiak bpem tyt. Bładii i również sufraganiem krakowskim. ■ W PRL jest obecnie ponad 1.100 spółdzielni produkcyjnych, do których należy prawie 24.000 rodzin. Ogólny areal użytków rolnych, na których prowadzi się zespołową gospodarkę, przekroczył 261.000 ha. ■ Produkcja węgla w Polsce ma wzrosnąć o 5 milionów ton osiągając poziom 140 mln ton i przekroczyć o 6 mln ton pierwotne założenie planu pięcioletniego. Łączna produkcja paliw w tym roku zwiększy się o 4 proc. Mimo to przyrost produkcji paliw w roku 1970 będzie o 2 proc. niższy od osiągniętego w roku ubiegłym. Na zaopatrzenie rynku przeznaczono o 1 proc. węgla więcej niż w roku ub.

14-1-70

Przy końcu trzeciego kwartału ub. roku wartość niezagospodarowanych maszyn i urządzeń pochodzących z importu z krajów kapitalistycznych była w całej gospodarce o 78 proc. wyższa niż w 1968 roku. Maszyny stoją bezużytecznie w magazynach i na placach, mimo że importerzy uzyskali na nie przydział dewiz, przedstawiając swe wnioski jako niezwykle palące. Na tej liście przoduje resort leśnictwa i przemysłu drzewnego, gdzie wartość maszyn importowanych z krajów kapitalistycznych wzrosła o 400 proc. w porównaniu z rokiem 1968. Dalsze miejsca na tej liście zajmują resorty budownictwa i materiałów budowlanych oraz komunikacji.

20-1-70

Zmarł w Warszawie Teofil Bobrownicki, beliniak, historyk, był naczelnym redaktorem *Chemika*.

21-1-70

We Wrocławiu zmarł dr Franciszek Pajczkowski, długoletni dyrektor biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

25-1-70

Na sesji soboru biskupów polskiego autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Warszawie dokonano nominacji kanonicznej — a następnie konsekracji

— księpa archimandryty Aleksego Jaroszuca na biskupa lubelskiego, sufragana archidiecezji warszawsko-bielskiej. Sobór dokonał również wyboru biskupa Bazylego Doroszkiewicza dotychczasowego ordynariusza prawosławnej diecezji wrocławsko-szczecińskiej na wakuujące stanowisko metropolity głowy polskiego autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. ■ W Związku Sowieckim rozpoczął się powszechny spis ludności. W czasie ostatniego spisu ludności — 10 lat temu — Rosjanie stanowili 55 proc. całej ludności ZSSR. Obecnie największą dynamikę populacyjną wykazuje ludność sowieckich republik Środkowej Azji. ■ O znaczeniu działek przyzagrodowych na Węgrzech świadczy to, że 47 proc. bydła, 52 proc. trzody chlewnej i 83 proc. drobiu hodowane jest na tychże działkach. ■ Międzynarodowa Komisja Kontroli w Kambodży (w skład komisji wchodzi: Indie, Polska i Kanada) zawiesza swoją działalność na czas nieograniczony ze względów finansowych.

26-1-70

Radio Moskwa oskarżyło przywódców chińskich o zlekceważenie setnej rocznicy urodzin Lenina. Radio sowieckie stwierdziło, że Chiny nie tylko nie podjęły żadnych przygotowań do uczczenia tej rocznicy, ale że „propaganda chińska próbuje nauczać proletariatu chińskiego iż leninizm jest przestarzały i nie stanowi już podstawy dla międzynarodowego ruchu komunistycznego”.

1-2-70

Polska po NRD i ZSSR jest trzecim z kolei partnerem handlowym NRF w Europie Wschodniej. W 1968 r. Polska wyeksportowała do NRF towary na sumę 478 milionów marek a importowała towary wartości 592 miliony marek. ■ Moskiewska *Pravda* donosi o aresztowaniu studentów zachodnich, którzy rozpowszechniali ulotki protestujące przeciwko aresztowaniom intelektualistów. Dwoje studentów włoskich aresztowano w moskiewskim GUMie, studenta belgijskiego w teatrze moskiewskim, a studenta norweskiego w leningradzkim domu towarowym. Skazani na rok łagrów. Włochów — zwolniono. ■ W Moskwie ukazał się pierwszy numer miesięcznika pt. „USA — gospodarka, polityka, ideologia”, wydawanego przez Instytut USA Akademii Nauk ZSSR. Charakterystyczne, że w okresie wzmożenia propagandy sowieckiej na USA w USA jest proces wręcz odwrotny. ■ 850 tys. rodzin czeka obecnie w Polsce na spółdzielcze mieszkania. Natomiast w ciągu najbliższej 5-letki będzie wybudowanych najwyżej 700 tys. mieszkań. ■ Na moskiewskiej konferencji poświęconej walce z antykomunizmem, Polskę reprezentowali: Andrzej Werblan, Kazimierz Kąkol, Janusz Koleczyński i in.

6-2-70

Wł. Gomułka został odznaczony orderem Lenina z okazji 65-lecia swoich urodzin. Dekoracja przypominająca dekorowanie po powstaniu 1863 r. medalem „*Za uśmienie polskawo miatieża*”. Jedyna różnica że w tym wypadku i „*czeskawo*”. ■ Prasa sowiecka alarmuje z powodu stałego odpływu ludzi z Syberii. Np. w okresie siedmiolatki przybyły na Syberię 4 mln ludzi i jednocześnie tyleż samo, jeśli nie więcej, wyjechało stamtąd. Syberia — bez Dalekiego Wschodu — stanowi ok. połowy całego terytorium Związku natomiast ma zaludnienie 10-cioкратно mniejsze. ■ Z redakcji *Nouveau Mira* liberalnego miesięcznika sowieckiego usunięto 4 redaktorów zastępując ich ludźmi o wyraźnym obliczu stalinowskim. Redaktor naczel. *Nouveau Mira* Aleksander Twardowski podał się do dymisji, która została przyjęta.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-12-69

Zmarł w Londynie gen. bryg. Ludwik de Laveaux, żołnierz 1 Brygady. ■ Zarząd Domu Polskiego zakupił teren pod budowę centralnego ośrodka polskiego w Adelaidzie.

17-12-69

W Brukseli odbyło się Walne zebranie Naczelnego Komitetu Wolnych Polaków w Belgii. Władze Komitetu wybrano w poprzednim składzie z prof. St. Glaserem jako prezesem. ■ Związek Pisarzy Polskich na Uchodźstwie zorganizował odczyt W. Włochouta „O Jerzym Stempowskim”.

21-12-69

Polska Misja Katolicka w Anglii i Walii obchodziła 75-lecie założenia. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się o śmierci — w dniu 8 grudnia 1969 — Marii Kastorskiej, pisarki i publicystki, zamieszkałej w Paryżu. ■ Jury powołane przez Zarząd Gł. Koła b. Żołnierzy Armii Krajowej przyznało dwie nagrody dla książek, które ukazały się w 1968 r. a były tematycznie związane z Polską Podziemną. Nagrodę ufundowaną przez Koło AK w Manchesterze otrzymała Wanda Kiedrzyńska za książkę „Na granicy życia i śmierci. Listy więzienne Krystyny Wituskiej”. Nagrodę ufundowaną przez Koło AK w Detroit przyznano Stanisławowi Truszkowskiemu za „Wspomnienia partyzanckie”. Obie książki były wydane w kraju. ■ Melania Arciszewska, wdowa po Tomaszu Arciszewskim została dekorowana krzyżem kaw. Polonia Restituta przez gen. Andersa. P. Arciszewska była założycielką i długoletnią prezeską *Twa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży*.

1-1-70

Nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie za r. 1969 została przyznana zespołowi Teatru ZASP, występującemu w Ognisku Polskim w Londynie w sztuce Agnieszki Osieckiej „Apetyt na czereśnie”. Krystyna Dygat — 70 £, Witold Scheybal — 35 £, kompozytor i akompaniator Andrzej Marek — 15 £. ■ W seminarium polskim w Orchard Lake powstał ośrodek liturgiczny pod kierownictwem ks. Juliusza Piątkowskiego.

4-1-70

W Winnipeg zmarł Adam Synowiecki redaktor *Czasu*. A. Synowiecki był ostatnim konsulem R.P. ■ Adwokat Edward F. Wren, syn emigrantów — Wrześciańskich — urodzony w Toronto, został mianowany sędzią York County, w skład którego wchodzi Toronto. Jest to trzeci sędzia pochodzenia polskiego w Kanadzie (Windsor, Vancouver). ■ Radio Genewskie nadało Chorał Bacha w orkiestracji Zygmunta Mycielskiego.

9-1-70

Zmarł w Londynie dr Mieczysław Grydzewski, redaktor i wydawca *Skamandra*, *Wiadomości Literackich*, *Pologne Littéraire* w Polsce, *Wiadomości Polskich* i *Wiadomości* na emigracji. Żył lat 76. ■ W Londynie (Royal Academy of Arts) otwarta została wielka wystawa pt. „1000 lat sztuki w Polsce”. Stanowi ona kontynuację zapoczątkowanych w 1960 r. w Chicago ekspozycji milenijnych. Wystawa londyńska obejmuje 598 eksponatów po-

chodzących ze zbiorów państwowych i prywatnych. Komisarzem wystawy jest Jerzy Banach, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Ekspozycja „1000 lat sztuki w Polsce” wzbudziła duże zainteresowanie publiczności. ■ W Atenach — staraniem p. Sabiny Feluzaki, prezeski Stowarzyszenia Polaków w Grecji — odbył się wieczór autorski Pawła Łyska, na którym p. Łysek czytał fragmenty swoich książek: „Z Izdebniej w świat” i „Przy granicy”. W dniu 10 I. 70 w radio ateńskim mówiono o twórczości p. Łyska.

10-1-70

Zmarł w New Yorku dr I. A. Langnas. Ur. w Łodzi był z zawodu historykiem, dziennikarzem i tłumaczem. Żył lat 58.

12-1-70

Delegacja PAN podpisała w Paryżu z Francuskim Ośrodkiem Badań Naukowych protokół w sprawie dwuletniej współpracy naukowej na lata 1970-71.

13-1-70

W Mannheim odbył się odczyt Güntera Hornunga, poświęcony Gombrowiczowi. Odczyt był wygłoszony z okazji wystawienia „Ślubu” w miejscowym teatrze miejskim.

16-1-70

W USA zmarł, w wieku 73 lat, znany pisarz i publicysta Louis Fischer. Był on jednym z wybitniejszych znawców Związku Sowieckiego i problemów azjatyckich.

18-1-70

W Rzymie odsłonięto pomnik Jana Palacha dłuta znanego włoskiego rzeźbiarza Vittorio Colbertaldo. Pomnik powstał z inicjatywy pisma *Il Tempo*. Plac na którym stanął pomnik został nazwany placem Jana Palacha (dawna dzielnica olimpijska).

22-1-70

W Londynie odbyło się Walne Zebranie Instytutu Badań Zagadnień Krajowych. Przed zebraniem J. Ostrowski wygłosił odczyt o „Filozofii Leszka Kołakowskiego”. ■ Foreign Office zażądało odwołania w ciągu 48 godzin dwóch dyplomatów PRL, oskarżonych o szpiegostwo. Nazwiska dyplomatów nie były ogłoszone.

24-1-70

W Brukseli w Galerie Montjoie, miała miejsce wystawa Jana Lebensteina.

26-1-70

Zmarł w Londynie Jerzy Wendel, dziennikarz i publicysta.

27-1-70

Ota Szik, były wicepremier rządu czechosłowackiego, poprosił władze szwajcarskie o azyl.

29-1-70

Congressional Record ogłosił nową listę awansów w armii USA. Na liście awansowanych do stopnia gen. brygady znajdują się dwa nazwiska polskie: gen. E. Piklika i gen. Leona Dulaski. ■ W Orędzie wydanym na zbliżające się 90-ciolecie Zw. Narodowego Polskiego, Prezes ZNP mec. A. Mazewski stwierdził, że w obecnych czasach działalność ZNP funkcjonuje zadowalająco jedynie w dziale ubezpieczeń na życie i wskazał na konieczność rozszerzenia pracy oświatowo-społecznej ZNP wśród młodzieży polonijnej.

30-1-70

Zmarł w New Yorku, w wieku lat 73, znany malarz, rysownik i karykaturzysta Zdzisław Czernański.

1-2-70

Rozpoczął się w Londynie walny zjazd Zjednoczenia Polskiego. ■ W Londynie odbyło się doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Historycznego. Prezesem został gen. prof. M. Kukiel. Gromadzony jest materiał do XVI tomu *Tek Historycznych*. W ub. roku ukazał się tom XV za lata 1966-1968. ■ *Przemiany* dwumiesięcznik myśli katolickiej wychodzący w Rzymie pod patronatem ks. bpa Rubina, od stycznia 1970 r. przestał się ukazywać. ■ Czołowy tenor polonijny, Stefan Wicik, otrzymał medal „Dobrego Amerykanina” w uznaniu jego pracy artystycznej w Chicago.

2-2-70

Lord Bertrand Russell, filozof, matematyk, pacyfista, zmarł w swej posiadłości w Walii, w wieku lat 98. ■ W Paryżu Théâtre National Populaire gra z dużym powodzeniem w Salle Grenier „Operetkę” W. Gombrowicza. ■ Teatr paryski Butte Chaumont przygotowuje wznowienie „Tanga” Mrożka w reżyserii Jean Kerchbrona i Martine Kelly w roli głównej.

3-2-70

Zmarł w Londynie, w wieku 68 lat, znany kompozytor, dyrygent i pianista Ludo Philipp. ■ Kongresman R. Puciński wystąpił w Izbie Reprezentantów z wnioskiem, by Rząd USA interweniował w Bonn w sprawie wypłacenia odszkodowań Polakom — ofiarom hitleryzmu.

5-2-70

W Fouquières-les-Lens miała miejsce katastrofa w kopalni węgla, w której zginęło 16 górników, w tym dziesięciu Polaków. W tej samej kopalni miała miejsce katastrofa w 1906 roku, w której zginęło 1.101 osób. ■ W Warszawie rozpoczęły się rokowania polsko-niemieckie.

7-2-70

Zmarł w Londynie płk Ludwik Bociański b. wojewoda wileński i poznański. Żył lat 78. ■ Znany i popularny aktor Ludwik Lawiński obchodził w Londynie 60-lecie pracy scenicznej i 83-cie urodziny. ■ Zw. Akademików Polskich w Chicago wraz ze Zw. Studentów Polskich Uniwersytetu Illinois zorganizowali naradę dyskusyjną na temat — „Młodzież Polonijna wobec rzeczywistości w Polsce”. Dyskutanci doszli do wniosku, że rozwijanie stosunków kulturalnych z Polską jest koniecznością dla Polonii, jak również pożądane są odwiedziny kraju swojego pochodzenia, z wykluczeniem oficjalnych kontaktów z czynnikami rządowymi PRL.

10-2-70

Otwarcie wystawy Jana Lebensteina w galerii Desbrière w Paryżu. Będzie trwała do 3 marca rb.

12-2-70

Rada Trzech w Londynie powołała nową egzekutywę Zjednoczenia Narodowego. Przewodniczącym został ponownie p. K. Sabbat. W Egzekutywie nie bierze udziału Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy.

15-2-70

Zmarł w Londynie, w wieku lat 68, Franciszek Białas, działacz socjalistyczny i syndykalistyczny. Białas odgrywał dużą rolę w Polsce w czasie okupacji. ■ W Izraelu zaczął funkcjonować rurociąg naftowy między Ashdod a Eilat. Jest on długości 262 km. Przepustowość wynosi obecnie 20 mln ton, w przyszłości 60 mln ton. Koszt transportu jednej tony wynosi 1,05 dol.; transport przez Kanał Sueski — jeśli będzie on uruchomiony — wynosi 3,20 dol. zaś drogą morską, naokoło Przylądka Dobrej Nadziei — 4,90 dol. Produkcja własna Izraela wynosi obecnie 3 mln ton.

DYWERSJA WŚRÓD SOKOŁÓW WE FRANCJI

Narodowiec z dnia 19 lutego br. zamieścił następujące oświadczenie Okręgu XI Związku Sokołów we Francji:

Delegacje Okr. XI. (Wschodnia Francja) Związku Sokołów Polskich we Francji zebrane w dniu 8. II. 70. stwierdzają z bólem serca odstąpienie Związku od podstawowych zasad Sokolstwa polskiego.

Wybór dh Leona Słojewskiego, prezesa gniazda Carvin, na nowego prezesa Związku Sokołów Polskich we Francji, równa się bowiem zatwierdzeniu przez Walny Zjazd związkowy — co prawda tylko trzema głosami większości — oficjalnego udziału gniazda Carvin w obchodzie 25-lecia narzeczenia Polsce dyktatury moskiewskiej.

Okręg XI (Wschodnia Francja), wierny ideałom moralnym, narodowym i ludzkim, przyświecającym od przeszło 100 lat naszemu ruchowi, uważa tę akcję za niezgodną z założeniami sokolimi zaangażowanie się po stronie obecnego reżymu dyktatorskiego w Polsce.

W tych warunkach Okręg XI (Wschodnia Francja) zmuszony jest wystąpić ze Związku, w imię wierności ideałom sokolim.

Za Zarząd Okr. XI. (Wschodnia Francja):

Prezes Okręgu XI-go:

Kowalski Wacław

Skarbnik Okręgu XI-go:

Kostyk Bernard

Wiceprezes Okręgu XI-go:

Wachowiak

Sekretarz Okręgu XI-go:

Karmelita

W liście do Redakcji druh Wacław Kowalski, prezes Okręgu XI (Wschodnia Francja) zaznacza, że w związku z powyższą decyzją Zarządu Okr. XI zarówno on sam jak i druh Michał Bilczewski rezygnują jednocześnie z funkcji wiceprezesa względnie zastępcy naczelnika Związku, jakie dotychczas sprawowali. Druh Kowalski dodaje ponadto, że decyzje powyższe będą obowiązywać dopóty, dopóki Związek nie powróci do tradycyjnej ideologii sokolej.

Do chwili obecnej opuściły więc szeregi Związku Sokołów Polskich we Francji, dwa Okręgi: Nord i Wschodnia Francja oraz 7 gniazd: Paryż, Lens, Dechy, Macou-Condé, Metz, Hayange i Nilvange.

CZARNA LISTA

St. Gales: „Niepodzielna jest polska krew”, *Trybuna Opolska*, 27. 12. 1969. *Gazeta Zielonogórska*: za całokształt publicystyki, ostatnio art. „Na tropach ideologicznej dywersji”. 31. 12. 1969 - 1. 1. 1970.

Halina Dudowa: „Zapis ocalenia”, *Czego?*, *Współczesność*, 1. 2. 1970.

Edmund Moszyński: „Za parawanem oskarżeń o antysemityzm”. *Za i Przeciw*, 8. 2. 1970.

Jerzy Milewski: „Kim są naprawdę...”, *Słowo Powszechne*, 3. 2. 1970.

Aleksander Tarnawski: „Sprawozdanie z procesu studentów”. *Radio W-wa*, 10. 2. 1970.

A. Kłodzińska: „Proces M. Kozłowskiego i innych”, *Życie Warszawy*, 8/9. 2. 1970.

W. Zieliński: „Dalekosiężne plany 'księcia' Gedroycia”, *Żołnierz Wolności*, 11. 2. 1970.

Tadeusz Fajdy: Sprawozdawca z procesu studentów, *Ekspres Wieczorny*, 14. 2. 1970.

Dobroslav Kopecky, Korespondent Telewizji Czeskiej na procesie pięciu w Warszawie.

Listy do Redakcji

Melbourne, 22 stycznia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. B. Korpowskiego (a nie Koprońskiego, jak mylnie podano) wydrukowanym w podwójnym numerze *Kultury* (styczeń-luty br.) proszę o zamieszczenie następujących wyjaśnień:

O artykule *Kultury* („Skandal w Australii”) dowiedziałem się dopiero po jego wydrukowaniu, nie ja posłałem redakcji mój list otwarty skierowany do Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii (opublikowany w *tutejszym Tygodniku Polskim*) — więc nie ja ponoszę odpowiedzialność za ton tego artykułu. Ale jak wygląda meritum sprawy?

Pomijam wytworne złośliwości p. Korpowskiego. Jak sprawa wyglądała naprawdę oceni tylko Czytelnik, zawsze ostatnia instancja dla uczciwych i nieuczciwych publicystów.

Flirt Związku Polskiego w Newcastle z sydneyjskim konsulem PRL (wizyty tu i tam działaczy, konsula i Frankowskiego kiedy tu był) są sprawą znaną od lat i od lat również wiadomo że Rada Naczelna na to nie reagowała. I oto w tych warunkach pojawia się broszura zrobiona na chybcika i w tajemnicy przez ludzi którzy, jako organizacja należąca do Rady i jako emigracja, nie powinni nagle rozgłaszać w kiepskiej zresztą angielszczyźnie iż miliony Polaków ratowały Żydów w czasie wojny, a wszyscy Żydzi to niewdzięczne szuje, dowodem czego mają być Światło, a nawet Tyrmand, Wygodzki i Grynberg, którzy teraz niby szkalują dobre imię polskie, choć niby polski chleb jedli. Rewelacje Światły, które przyczyniły się do pewnego odbandycenia reżymu Bieruta, tu są przedstawione jako zdrada Polski, to samo odnosi się do twórczości literackiej wspomnianych, bo wreszcie wolna twórczość zagranicą, opisująca ucisk i świństwa kryminalnego systemu, będzie na emigracji przedstawiana jako „zdrada i niewdzięczność za polski chleb”. Do tego dodajmy mowy Gomułki i różne *Żołnierze Wolności* w broszurze z Newcastle cytowane. I tego emigracyjna Rada Naczelna nie potępia, emigracyjny dziennikarz nie potępia, ba, nawet na nieczytanego niemal chwali a potem jeszcze chce zbagatelizować i mnie zarzuca naginanie rzeczywistości do dramatycznych efektów. Zarzut masowego rozprzestrzeniania broszury p. K. wykpiwa że według wiadomości („któreśmy zebrali”) nakład wynosił tylko 300 egz. Wysokość nakładu nigdy nie została podana; w chwili kiedy zaatakowałem broszurę, wiedziałem, iż rozeszła ją do kilkudziesięciu moich zna-

jomych w Melbourne. Prezes Z.P. z Newcastle w swoim liście prywatnym do mnie dawał wprawdzie „przedwojenne harcierskie słowo honoru”, że nie chciał źle a chciał bronić dobrego imienia polskiego, jednak nigdy na pytania — publiczne i prywatne — nie odpowiedział kto broszurę robił, z jakich materiałów korzystał, kto dał na to pieniądze i jaki był nakład. Złapany na kłamstwie przyznał się do tego i tylko żalił się już po całej sprawie: „Nie rozumiem tylko czemu pan tak broni tych Grynbergów, Tyrmandów i Wygodzkich?”

P. Korpowski pisze, że przyczyny mojego ataku na Radę Naczelną „nie będą przez niego roztrząsane”. Owszem mogą być roztrząsane. Teraz mogę ujawnić że przed laty dla Rady Naczelnej zorganizowałem pozakulisowo połączenie niemal wszystkich organizacji polskich w Wiktorii i za tę akuserską robotę otrzymałem podziękowanie z Prezydium Rady, a także mam na to kilku świadków. Więc nie występuję przeciw Radzie a tylko przeciw jej apatii i klajstrowaniu.

Chwali się broszurą na nieczytanego, ażeby tylko konkurencyjnemu *Tygodnikowi Polskiemu* wsadzić szpilę, że broszura „Saving Jews in War-torn Poland 1939-1945” się przeciąga, a tu niby ktoś inny bez rozgłosu szybko wydał właściwą i wartościową rzecz. Bo z okazji pewnego artykułu szkalującego Polskę przy *Tygodniku Polskim* powstał komitet, który zebrał nadesłane przez Żydów i Polaków zeznania o ratowaniu Żydów w Polsce i za pieniądze zebrane przez Żydów i Polaków wydał broszurę gdzie ten ponury okres potraktowano z obiektywizmem. Echa jakie po broszurze otrzymaliśmy z Ameryki i Kanady wskazują, że robota była na czasie i dobrze zrobiona, a w Australii wydatnie przyczyniła się do uspokojenia umysłów i wśród Żydów uciszyła głosy nam niechętne, bo i wśród Żydów nie brak endeków i szowinistów, którzy Niemców wybielają, a szkalują nas. Ponieważ „konkurencyjne” pismo polskie zdobyło się na coś takiego a pisma w którym pracuję p. Korpowski nie stać było na taką akcję ani na przyłączenie się do niej — stąd te szpilki. A jednocześnie p. Korpowski nie miał czasu na dokładne opisanie nowej akcji reżymowej, bo oto Eugeniusz Bajkowski wydaje nowe luksusowe graficznie pismo *Panorama* o wyraźnym obliczu proreżymowym.

Teraz jedno zapytanie do Redakcji: Odnotowaliście naszą broszurę, ale omówienia jak dotychczas nie ma. Czy nie uważa Pan, że jeśli Melbourne stać było na taką akcję, to może i inne ośrodki polskie powinny zająć się zebraniem zeznań od Żydów i Polaków — ratowanych i ratujących — na temat prawdziwego stosunku Polaków do Żydów. Świadkowie wymierają, zaś na naszych oczach ośrodki reżymowe fałszują prawdę i historię, wybielają Niemców naszym kosztem na skutek nowej głupiej antysemickiej hecy Gomułki i Mocзара, walczących o władzę. P. Korpowski kpi sobie, że niby uważam plamę antysemityzmu za domniemanie najpotworniejszą skazę na naszym charakterze narodowym. Nie, głupotę uważam za gorszą skazę, ale antysemityzm jak i antypolonizm niektórych kół jest wystarczająco zły i szkodliwy i dlatego z jednym i drugim trzeba walczyć. Nie myślę, że Naród Polski musi się do końca świata wstydić za kilka tysięcy swych szmalców-ników, bo ani Niemcy nie wstydzą się swego Gestapo i swych zbrodni, ani Żydzi swych policjantów w getcie. Szumowiny są wszędzie. Ale obojętność emigracji na antysemityzm Gomułki tak samo uważam za szkodliwą jak i obojętność na niektóre zagrania szowinistów żydowskich, o których my tylko najwyżej bardzo delikatnym i szalenie przez rękawiczki artykułem Ciołkosza damy znać, że coś się tu złego dzieje. Dla oczyszczenia atmosfery trzeba walki o prawdę i trzeba by za Polakami co chcą pisać o swych błędach i kłaść swe gniazdo, znalazł się Żyd, który o swym gnieździe krytycznie napisze. Nasza broszura w Melbourne wykazała właśnie, że jeśli się uczciwie walczy o prawdę i nie przesadza ani w jedną ani w drugą stronę, zyskuje

się uspokojenie umysłów i uzyskuje z powrotem wzajemny szacunek Żydów i Polaków, obu grup pozostających nieraz pod presją niektórych koł szowinistycznych, których w żadnym narodzie nie brak.

Łączę wyrazy szacunku,

Andrzej CHCIUK

P.S. W dniu 24 stycznia br. Rada Naczelna Organizacji Polskich w Australii ponownie zawiesiła Związek Polski za utrzymywanie kontaktów z konsulem PRL.

A. C.

Paryż, 10 lutego 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Będąc przejazdem w Paryżu zauważyłem list kpt. Korpowskiego, który wymaga pewnych komentarzy i sprostowań.

Siedząc codziennie w lokalu Redakcji *Wiadomości Polskich*, które on *de facto* redaguje, winien był kpt. Korpowski sprawdzić pewne dane z wydawcą pisma, a zarazem wiceprezesem Rady Naczelnej Organizacji Polskich, p. Janem Karwiczem.

Dowiedziałby się on na pewno, tak jak i ja się dowiedziałem, iż owa obrzydliwa broszurka; którą *Kultura* tak słusznie zaatakowała, była w rękach Redakcji pism polskich i przywódców organizacji polskich na wiele tygodni (o ile nie miesięcy), zanim się nie zaczął ruch w kolonii polskiej na ten temat, 'Jakoś' nie było czasu, by się tą sprawą zająć, a może i nie było chęci lub istniały — u niektórych działaczy obawy, iż zaatakowanie tego plugastwa antysemitckiego może okazać się nie bardzo popularne?

Faktem jest, iż sprawa wniesiona była na Prezydium Rady Naczelnej przez kogo innego, że p. Karwicz i inni przywódcy odnieśli się do niej bardzo chłodno. Merytorycznie potępiali oni tę broszurkę, ale 'po co zadzierać'? Przecież jest tyle ważniejszych i donioślejszych spraw na wokandzie Prezydium — jak nauczyć londyńskich Polaków, by się pogodzili?, lub jak zacząć zbierać na jeszcze jeden fundusz, skoro na poprzednie nikt nie daje... Potrzeba było pewnej presji ze strony tej części kolonii — i to zarówno zorganizowanej, jak i nie zorganizowanej, by przekonać p. Karwicze i tych, którzy go zwykli słuchać, że brak akcji może być gorszy w tym wypadku, niż akcja. Do elementów tej presji należała również wiadomość, iż niezależnie od postępowania Prezydium Rady Naczelnej — Andrzej Chciuk już był gotów ze swym artykułem w *Tygodniku Polskim* w Melbourne.

Mimo, iż sama broszurka jest mało inteligentnym skrótem wypocin 'dra' Walichnowskiego (niegdyś referenta od spraw antyżydowskich w warszawskiej bezpiece), komunikat napisany przez jej autorów ukazał się bez słowa komentarza w *Wiadomościach Polskich*. Jest niemal pewne, iż puszczony on został do gazety przez kogoś, kto albo nie czytał tej broszury lub przeczytałszy ją nie zrozumiał jej treści i znaczenia, ale po co zaprzeczać istnieniu przychylnego komunikatu?

Gdy Prezydium Rady Naczelnej uchwaliło wreszcie rezolucję atakującą autorów jej broszury za jej wydanie w porozumieniu lub przy pomocy czynników reżimowych (ale nie zajmując merytorycznego stanowiska odnośnie jej treści), p. Karwicz chciał usilnie przeredagować jej i tak spokojną treść zastępując słowo 'antysemitcki' lepiej widocznie brzmiącym słowem 'antysyjonistyczny'.

Spółeczeństwo polskie w Newcastle odpowiednio zareagowało wobec autorów broszurki i ta reakcja zmusiła ich do taktycznego odwrotu; przeproszeń i zapewnien na przyszłość. Te jednak zostały już podobno odwołane...

Z poważaniem,

Ryszard KRYGIER

New York, 15 stycznia 1970.

Do Redakcji Kultury.

Redaktorze —

październikowy numer *Kultury* dotarł do mnie z opóźnieniem i stąd teraz dopiero pozwalam sobie na kilka uwag w związku z notatką na mój temat.

Jestem pisarzem amerykańskim, członkiem P.E.N.-Clubu i Związku Literatów U.S.A. Wydałem kilkanaście książek, powieści i monografii, recenzowanych pozytywnie przez czołową krytykę amerykańskich i europejskich w pismach o uznanym autorytecie — że powołam się, przykładowo, na Maxwella Geismara czy Emila Copouya. Nie stawiam sobie jednak za cel dowodzić szczegółowo rangi moich prac literackich, albowiem nie o to przecież Panu idzie.

Idzie Panu o moją wizytę w Polsce.

Jestem obywatelem amerykańskim, lecz przede wszystkim jestem Polakiem. Pan zapewne także uważa się za Polaka. Mniejsza o to. Mnie łączy z Krajem związki serdeczne i bliskie, których ani się wstydić ani wypierać nie zamierzam. I czuję się szczęśliwy, będąc w ojczyźnie mile widzianym gościem.

Mam podstawy aby sądzić, że stosunek do mnie w Kraju oparty jest zarówno na znajomości moich prac jak i tego co pisze o nich prasa światowa. Być może nie wzięto tam pod uwagę rozdartych szat pana Zygmunta Nowakowskiego, który, nawiasem mówiąc, prosił mnie o pieniądze na ich kupno. No cóż: wolno każdemu brać pod uwagę to, co uważa za słuszne, a niesłuszne odrzucać.

Potrafię dowiedzieć, iż każdy fakt wymieniony przeze mnie w wywiadzie dla warszawskiej *Kultury* jest prawdziwy. Zarówno to, że w momencie uzyskania matury byłem studentem III roku Wydziału Humanistyki Uniwersytetu Lwowskiego jak i to, że Prezydent Roosevelt zaprosił mnie do Białego Domu. I dowiodę tego, jeśli zajdzie potrzeba.

Antoni GRONOWICZ

Nowy Jork, 10 lutego 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Spotkał mnie niebawem „zaszczyt”! — mianowicie *Tygodnik Demokratyczny* w Warszawie w dniu 25 stycznia 1970 roku rozpoczął drukowanie fragmentów mojej książki „Z generałem Władysławem Sikorskim na obczyźnie”.

Nie bardzo bym się dziwił temu, bo zapewne dla społeczeństwa w Kraju byłoby — i jest — wysoce interesujące poznanie działalności dla Polski poległego w Gibraltarze śp. Naczelnego Wodza i Premiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej.

To bardzo pięknie...

Tymczasem redaktor *Tygodnika Demokratycznego* postąpił wbrew prawom autorskim, obowiązującym w całym świecie cywilizowanym. Książka „Z gen. Sikorskim na obczyźnie”, wydana była w roku 1968 przez Institut Littéraire w Paryżu, który nabył tę książkę ode mnie.

Prawo autorskie nakazywałoby zwrócić się do wydawcy (lub przynajmniej do autora) o zezwolenie drukowania nawet fragmentów. Jednak *Tygodnik Demokratyczny* po prostu zlekceważył to. Tytuł użyty przez niego brzmi: „Leon Mitkiewicz. Z gen. Sikorskim na obczyźnie”...

Nie po raz pierwszy spotyka mnie ten „zaszczyt” w sensie drukowania moich prac — często w zmienionym brzmieniu, dogodnym dla panujących w reżymie warszawskim prądów.

Cóż? Mogę jedynie wypowiedzieć moje zdanie na łamach Pańskiego miesięcznika.

Leon MITKIEWICZ

Santa Cruz de Tenerife, 29 stycznia 1970.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W Nrze 12/267 *Kultury* autor „Rozmowy z młodymi” pisze że w polskich warunkach należy dążyć do uwłaszczenia robotników poprzez spółdzielnie.

Zagadnieniem uwłaszczenia robotników, czyli inaczej mówiąc wyzwoleniem pracy spod władzy kapitału, zajmowali się utopiści, zwłaszcza Robert Owen i Louis Blanc. Po utopistach zagadnienie to studiowali sejentyści jak Bernstein, Aftalion de Man i wielu innych.

Robotnicy, tak w Europie jak i w Ameryce, w ciągu XIX wieku organizowali spółdzielcze zakłady przemysłowe, by się wyzwolić spod władzy kapitalistów. Ich usiłowania kończyły się bankructwem. Ostatecznie zostały zaniechane.

Proudhon i Marx rozpoczęli w polityce szukanie rozwiązania problemu kapitał-praca a nie w przedsiębiorstwach jak ich poprzednicy. Ich teorie stały się zasadniczym czynnikiem w walkach politycznych.

Komuniści po dojściu do władzy w Rosji wzmocnili władzę kapitalisty nad pracownikiem, powierzając urzędnikowi państwowemu władzę kapitalisty nad robotnikiem.

Poszukiwania rozwiązania problemu kapitał-praca trwają nadal w wolnym świecie. Nawet rządy poszczególnych krajów biorą udział w tych poszukiwaniach.

Doniosłość rozwiązania tego problemu uwydatnił w parlamencie szwajcarskim przedstawiciel związków zawodowych, mówiąc że od rozwiązania problemu kapitał-praca zależy nie tylko los robotnika lecz nawet całej ludzkości.

Rozwiązania należałoby szukać w połączeniu spółdzielni z towarzystwem akcyjnym. Towarzystwa akcyjne rozwinęły się wspaniale i przyczyniły się do rozwoju przemysłu. Natomiast spółdzielnie, mimo opieki i pomocy rządów prawie w każdym kraju, nie wykazały takiegoż rozwoju i niewiele przyczyniły się do rozwoju przemysłu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

Dr Piotr MOHORYŃSKI

Paryż, 28 stycznia 1970.

Redakcja *Kultury*

W opublikowanym w Nrze 1-2 (1970) *Kultury* wspomnieniu pośmiertnym o adwokacie St. Hejmskim na str. 169 znajduje się pewna niedokładność, która dotyczy prawdziwe szczegółu drugoplanowego, ale która niemniej — wydaje się — zasługuje na sprostowanie w imię ścisłości historycznej.

Otóż w skład grupy obserwatorów zachodnich na procesie poznańskim w roku 1956 (zaproszonych formalnie przez Zrzeszenie Prawników Polskich) wchodził — obok p. Elwyny Jones'a (obecny General Attorney w Wielkiej Brytanii) i adwokata Jules Wolfa z Brukseli — prof. Alfred Légal (a nie Fernand jak mylnie podano), profesor prawa karnego na Wydziale Prawa w Montpellier (obecnie *en retraite*).

Za ścisłość tej informacji biorę pełną odpowiedzialność, gdyż miałem okazję zetknąć się wówczas z prof. Légałem w Poznaniu.

Stanisław ROGALSKI

Brooklyn, 12 grudnia 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Henryk Schoenfeld („Księżycowe obiter dicta”, *Kultura* nr 11/266) nazywa sam siebie północnoamerykańskim neofitą, chociaż i bez tego każdy czytelnik, który spędził w Stanach Zjednoczonych dobrych kilka lat, mógł ten jego neofityzm wyczuć po przeczytaniu kilku krótkich urywków. Neofici amerykańscy odznaczają się bowiem dziwnym poczuciem wyższości i równie dziwną skłonnością do krytykowania wszystkiego co widzą w „Nowym Świecie” na prawo i na lewo. Spotkałem tu pewną neofitkę, która nie mogła przeboleć że w Nowym Jorku nie ma tramwajów! Zapewne jeszcze do dnia dzisiejszego jest przekonana, że Amerykanie są daleko w tyle za Warszawą, która przecież już dawno przed wojną miała tramwaje, a Nowy Jork ich „jeszcze nie ma”.

Nie ulega wątpliwości, że nie każdy Amerykanin zna mitologię i wie, co to takiego Apollo, Gemini lub Saturn. Z tego jednak nie wynika, że twórcy technologii, która umożliwiła loty na księżyc, musieli się zniżać aż do poziomu dzieciarni znającej tylko słownictwo *comics*ów, tym bardziej że takie słowa jak *Columbia* lub *Mercury* są od dawna słowami zgola popularnymi, choćby dlatego, że stolica federalna mieści się w *District of Columbia*, a wielkich firm, filmowych i innych, o nazwie *Columbia* jest moc, choćby taka sieć radiowo-telewizyjna *Columbia Broadcasting System*. Co tu więc „poważnego, nadętego i bez humoru”, gdy kabinę Apollo 11 nazwano „*Columbia*”? Chłopcy zajmujący się zbieraniem znaczków i monet posługują się słowem „*Mercury*” codziennie, teraz może mniej, bo srebrne 10-ciocentówki z Merkurym już wychodzą z obiegu. Twierdzenie zaś, że „wykształcenie klasyczne jest minimalne, a znajomość mitologii nieistniejąca” jest trudne do przyjęcia w kraju, gdzie ostatecznie szkołę średnią kończy jakieś tam 80 % młodzieży i siłą faktu musi się o klasycyzm i mitologię przynajmniej na tyle otrzeć, żeby wiedzieć, kto to miał być Atlas.

Nie widzę też wiele słuszności w wielce sejentyficznym i semantycznym urywku, w którym Schoenfeld tak ostro krytykuje pierwsze słowa Armstronga na księżycu. Każdemu wolno użyć wyrażenia jakie mu przyjdą do głowy. Stanley spotkał człowieka którego szukał długi czas i nic dziwnego, że przemówił do niego po prostu „*Dr. Livingstone, I presume*”, pierwszy „kosmonauta” amerykański Shepard wykrzyknął po pierwszym, kilkunastominutowym locie spontanicznie „*what a ride*”, a bardziej „filozoficznie” usposobiony Armstrong miał prawo powiedzieć swoje dłuższe zdanie i miał prawo pomylić się w gramatyce opuszczając rodzajnik. Czepianie się takich szczegółów to typowe dla amerykańskich neofitów popisywanie się rzekomą europejską wyższością kulturalną.

Ralph Abernathy jest zdaniem Schoenfelda „księdzem”. Można się na to zgodzić, zwłaszcza w dzisiejszym okresie ekumenizmu. Nie chcę wznowiać przedwojennej polemiki krajowej, w każdym razie jest w tym nazwaniu

jedno niebezpieczeństwo. Niech ktoś przełoży polskie słowo *ksiądz* jako *priest*, a Ralph Abernathy na pewno zaprotestuje, bo jako Baptysta odrzuca *priesthood*. Czy nie lepiej użyć słowa *pastor*, *minister* lub *duchowny*?

Czy telewizyjny program „Bonanza”, w którym występuje „patriarcha z Ponderosa” jest aż tak zły, żeby go nazywać „szmirą”? Zachowajmy to określenie dla wielu programów na pewno o wiele, wiele gorszych niż Bonanza, za którą przepadają tele-widzowie w Kraju i która się utrzymuje już przez długie lata, choć nie schlebia ani cięgotkom seksualnym ani temu, co tu określamy słowem *violence*. Nawiasem mówiąc jest chyba różnica między podróżowaniem konno a „ujeżdżaniem koni”. Patriarcha z Ponderosa jest na pewno i jako aktor i jako „ojciec” synów w kwiecie wieku grubo za stary do „ujeżdżania koni”.

Schoenfeld ma niewątpliwie żylkę literacką, ale naprawdę zrobi dobrze, jeżeli się Ameryce jeszcze dużo, dużo lepiej przypatrzy. Przekona się się wtedy, że jest to mimo wszystko kraj, w którym nie wszyscy są *cowboyami*, bo spędzają długie (wiceprezydent Agnew mówi, że zbyt długie!) lata w szkole i że w tej szkole nie wszystek czas przeznaczają na demonstracje. Ukazuje się tu również mnóstwo książek z dziedziny humanistyki, a nie tylko technologii. Radzę przeczytać (po raz pierwszy lub ponownie!) piękny wstęp do książki Kazimierza Wierzyńskiego „Moja Prywatna Ameryka”, napisany po dwudziestu latach pobytu autora w Stanach Zjednoczonych.

Ks. Wojciech SOJKA

Londyn, 12 stycznia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Maria Danilewiczowa omówiła w *Kulturze* (nr 1/268-2/269) nowy tom wierszy znanego poety krajowego Jerzego Ficowskiego. Już przy tytule* doszła do dziwnego wniosku: ponieważ i Ficowski i Kazimierz Wierzyński często pisali o ptakach, więc poezja Ficowskiego „...beztrosko imituje Wierzyńskiego”.

Czytuję poezję. Znam twórczość obu tych poetów.

Nie znajduję żadnego potwierdzenia b. ryzykownych zarzutów Recenzentki. Jeśli wg jej sugestii słowa „Mam własny język którym milczę” (J. Ficowski) to plagiat słów „Sam się ubawię. Niech was nie widzę” (K. Wierzyński), to możemy szukać plagiatów jeszcze dalej: „Polacy nie gęsi, własny język mają” (Mikołaj Rej); a może Wierzyński był „imitatorem” Słowackiego („Smutno mi Boże”... żurawie!), albo Mickiewicza („Widziałem lotne w powietrzu bociany...”). Mówmy poważnie. Każdemu poecie wolno pisać o ptakach, stosować powtórzenia, itd. Natomiast nie jestem pewna czy wolno z tego wyciągać takie wnioski i tak je formułować.

Nie jestem przeciwna negatywnym recenzjom, np. na tej samej stronie p. Danilewiczowa trafnie rozprawia się z „pokraczną, pretensjonalną” (to Jej słowa) powieścią T. Konwickiego „Zwierzoczekoupiór”.

Istnieją jednak fakty obiektywne i... dobre obyczaje. J. Ficowski nie jest początkującym wierszokłętą, którego można tak — od niechcenia — zganić, odsądzić od czci i wiary; jest on wybitnym poetą o pozycji ustalonej chyba od 20 lat; jednym z niewielu pisarzy jednakowo szanowanych na Emigracji i w Kraju. Trudno, ale są w poezji krajowej pewne nazwiska twórców — np. Ficowski, Herbert, Białoszewski, Bryll, Harasymowicz, Grochowiak i inni — których nie można traktować jak hetkę-petelkę: Recenzentka powinna o tym wiedzieć, jeśli jej opinie mają mieć jakąkolwiek wartość. O twórczości

* „Ptak poza ptakiem”.

takich autorów można pisać pozytywnie lub negatywnie, proszę bardzo! — ale nie można pisać niedbale, obraźliwie, protekcyjnie. Kiedy p. Danilewiczowa sprowadza takiego twórcę do roli... jednego z plejady plagiatorów rzekomo „kopiujących” Wierzyńskiego, to — aby użyć jej własnych słów — „w tym właśnie jest coś wysoce niesmacznego”.

Jestem na Zachodzie dopiero od paru lat i wiem, jak uważnie czyta się w Kraju *Kulturę* paryską. Takie potknięcie nie przejdzie nie zauważone. Piętnujemy nieraz podobne wypowiedzi prasy krajowej, kiwając głową nad nieuczciwą informacją i upadkiem dobrych obyczajów. Wystrzegajmy się naśladowstwa!

Zasłałam serdeczne pozdrowienia,

Irena SOLARZ

Paryż, 30 stycznia 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

Zaskoczyła mnie niemiłe notka recenzyjna p. Marii Danilewiczowej w dziale „Krajowe nowości wydawnicze” (*Kultura* nr 1-2 1970) o ostatnim tomie poezji Jerzego Ficowskiego „Ptak poza ptakiem” (Warszawa, 1968, Czytelnik) pomawiająca cenionego ogólnie poetę o „beztroskie imitowanie” i „zręczne przenoszenie doświadczeń” K. Wierzyńskiego do swoich wierszy. Ten ciężki zarzut kopiowania cudzej tematyki i techniki poetyckiej nie tyle krzywdzi rzekomego plagiatora, który jakoby wykorzystuje sytuację obecną, „gdy oryginały znane są tylko drobnemu odłamowi czytelników”, ile dyskredytuje recenzentkę, dostrzegającą coś wysoce niesmacznego chociażby w fakcie, że u Ficowskiego, poza tytułem tomu, zbyt często pojawia się słowo „ptaki”, które było jednym ze „słów-kluczy” w poetyce Wierzyńskiego. Aktóż więc wzięnie w obronę Arystofanesa, Maeterlincka, Staffa czy nawet Alfreda Hitchcocka?

Zdumiewające, że p. Danilewiczowa zadała sobie trud wyszukiwania wątpliwych i spornych analogii, a nie dostrzegła tak śmiałych wierszy jak „Muranów góruje” czy też „Diagnozy”.

I jeszcze mogę zapewnić p. Danilewiczową, że Ficowski nie należy zgół do owego odłamu uprzywilejowanych w PRL, którzy przez częste wyjazdy za granicę mają możliwość zapoznać się z powojenną twórczością Wierzyńskiego. Jego odważny udział w organizowaniu pamiętnego Nadzwyczajnego Zebrania Warszawskiego Oddziału ZLP w lutym 1968 r., jego niezłomna postawa jako członka Sądu Koleżeńskiego w obronie Jasienicy, Kisielewskiego i Grzędzińskiego, jego stanowczy protest przeciw dyskryminacji Żydów w PRL, uniemożliwiły mu w roku ubiegłym wyjechać na umówione spotkanie z Marc Chagall'em w Paryżu. Jest więc również pozbawiony możliwości napisania listu do redakcji *Kultury* w swojej obronie. A ponieważ jego książki trafiają tylko do drobnego odłamu czytelników na Zachodzie, większość zaś jest zdana na opinię p. Danilewiczowej, jest coś wysoce niesmacznego, że użyje jej słów, w pochopnych zarzutach recenzentki.

Należy jeszcze podkreślić, że omawiany tom wyszedł za życia nieodżałowanej pamięci Kazimierza Wierzyńskiego, a poszczególne wiersze drukowane były w prasie literackiej w latach 1962-1968. Otóż w rozmowie ze mną w styczniu 1967 r. w Rzymie Wierzyński wysoko ocenił twórczość poetycką Ficowskiego, znał ją bowiem doskonale i nie doszukał się w niej śladów ni zażyteści, ni epigońskiego naśladowstwa.

Łączę wyrazy szacunku,

Ignacy SZENFELD

Melun, 15 stycznia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przed kilku dniami otrzymałem od Panów zamówioną książkę Franciszka Kalinowskiego „Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii”. Lektura tej książki nasuwa na nowo szereg uwag.

Lotnikiem nie jestem, i nie mam podstaw do wnikania w szczegóły książki. Gratuluję Panu Kalinowskiemu wielkiego wkładu pracy w warunkach emigracyjnych i jak mogę sądzić z ograniczonych komentarzy — właściwego obiektywizmu.

Skromnie pisze Pan Kalinowski, że „dla oddania sprawiedliwości wszystkim żołnierzom Lotnictwa... należałoby opracować obszerne wydawnictwo w formie właściwej historii lub monografii...”.

Oczywiście, że byłoby to miłe dla tych wszystkich, których nazwiska nie figurują w pracy pana Kalinowskiego. Czy z takiego wydawnictwa wiadano by coś więcej w świecie o Lotnictwie Polskim?

Sprawy nie badałem i nie wiem czy Francuzi mają swoją szczegółową historię? Mają za to wiele książek jak na przykład „Le Grand Cirque” Piotra Glostermanna. Jest wydawnictwo młodzieżowe tej książki i zrobiony był film „Wielki Cyrk”, który ostatnio na nowo był oglądany przez miliony ludzi w telewizji. Czy my mamy np. „Cyrk Skalskiego” (str. 109) dla naszej młodzieży? Ucieszę się jeśli się okaże, że jestem ignorantem w tej sprawie. *Kultura* mogłaby też od czasu do czasu, cytując nowe wydawnictwa, przypomnieć czym dobrym możemy dysponować dla młodzieży, która tego potrzebuje dla utrzymania języka.

Nasi lotnicy — a my wszyscy z nimi — największą mielibyśmy satysfakcję — gdyby w świecie więcej o nich wiadano. Słyszeliśmy nieraz zresztą od wodzów: „historia będzie o nas mówić”. Po 25-ciu latach jest czas postawić pytanie, jak to w praktyce wygląda?

Wracając do książki Pana F. Kalinowskiego, żałuję, że nie zawiera choć trochę ilustracji — można by bowiem i obcym pokazać, dorzucając ustne komentarze. Gdyby Stowarzyszenie Lotników mogło coś wydać — to raczej wydawnictwo popularne, w kilku językach, krótkie i dobrze ujęte statystyki, wykazy akcji, fotografie, kilka krótko i dobrze opisanych epizodów. Natomiast, by — jak pisze Pan Kalinowski — „oddac sprawiedliwość wszystkim żołnierzom lotnictwa” są ku temu inne drogi jak np. wyrównanie awansów.

Rozumiem trudności, które z tego tytułu istniały w czasie wojny ze względu na różnice zwyczajów polskich i brytyjskich. Ale czy nie było 20 lat czasu by to wyrównać, tym bardziej, że ma to tylko znaczenie symboliczne? Nie widzę uczciwego wytłumaczenia np. takiego wypadku: porucznik rez. 1939 z własnej inicjatywy przeprowadza cały oddział do Rumunii. Przez Wschód dociera do Francji, potem przez Hiszpanię przedziera się do Anglii. Cały czas w dywizjonie, na końcu w składach amunicji przy Anglikach, w stopniu F/L-kapitan, czy nawet S/L. — Do dziś dnia w polskiej kartotece jest nadal porucznikiem obserw. Według jakich to zasad taka służba wojenna się nie liczy? Gdyby z końcem wojny skończyło się nagle wszystko, można by rozumieć — ale władza była, pieniądze wydawała, do dziś dnia prosi na Skarb Narodowy i awanse daje. Powinien był porucznik się zadekować, lub pójść do niewoli a po wojnie zorganizować kuchnię kombatancką lub akademię trzecio-majowe i byłby najmniej dziś kapitanem.

Nie mam zamiaru być uszczypliwym w tym miejscu dla prawdziwych działaczy społeczno-kombatanckich, których pracę wysoko cenię znając ją sam z doświadczenia — tylko „gdzie Krym a gdzie Rzym”.

Widzę, że wielu lotnikom powiedziano — „murzyn swoje zrobił”, ale niech się pocieszą, że tym co nastawiali kark w Kraju, ale nie w szeregach

AK, po prostu powiedziano „murzyn może odejść”. Kto to powiedział? — Władza. — Jaka? — Nikt bliżej nie wie, bo na tym dowcip polega by nikt nie nie wiedział! Niezła władza, bo tytuł można mieć, a przed parlamentem i opinią publiczną nie potrzeba się tłumaczyć.

Jak wynika ze sprawozdań Pana Kalinowskiego, odznaczeń w samym lotnictwie nie żałowano, z tym zastrzeżeniem, że dotyczyły właściwie tylko pilotów. W tym stanie rzeczy można zrozumieć bardzo ograniczoną ilość odznaczeń od strony brytyjskiej.

Ciekawa jest wzmianka o „oszczędzaniu” ludzi z wyższym wykształceniem, co było dramatem dla wielu. O tym zapomniano jakoś w Warszawie, zresztą w Anglii nie przeszkadzało to do posłania takiego oficera do materiałów wybuchowych. Nie tylko, że znam taki konkretny przykład, ale na dodatek, kiedy całemu pociągowi z amunicją groziło wylecenie w powietrze, okoliczną ludność ewakuowano — polski oficer zgłosił się na ochotnika do rozbrojenia bomby, na miejsce wyznaczonego oficera zonatego. Anglicy podali do odznaczenia (zdaje się G.M.) i sprawa poszła w ręce władz polskich. To tyle co o swoim odznaczeniu słyszał, praca doktorska zaginęła przy wyjściu z Polski, a stopień pozostał z 1937 roku. Nie jestem lotnikiem bym cytował więcej.

Może praca Pana Kalinowskiego, podającego szczegóły i nazwiska natchnie jakiego literata. Od lat nie było nic w *Kulturze* na tematy lotnicze, czy w ogóle z ostatniej wojny. Walkuje się raczej ścisłość lub nieścisłość jakiejś informacji sprzed 50 lat, przy zawodzącej każdego pamięci.

Szereg czytelników zarzuca *Kulturze*, że jest zbyt polityczna. Jeśli taki cel Redakcja nadal podtrzymuje, to powinna choć raz na rok, podać reportaż z „Wysokiego Zamku” i innych Sztabów. Historia powojenna oczekuje nowego Al. Fredrę — ludzie lubią się śmiać — przynajmniej by znowu o emigracji mówiono.

Łączę wyrazy szacunku,

Władysław P. SZALAŁA

Normanhurst, Australia, grudzień 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nigdy nie pisałem do żadnych pism listów, dlatego nie wiem czy mój list nada się do druku. Chcę w ten sposób wyrazić moje oburzenie na te osoby które w „Smutnej Parafii” tyle złego zrobiły, tak dla Polskiej Sprawy, jak również nie dobrego dla Kościoła Katolickiego.

Jeżeli zmuszają Słowaków do modlenia się po polsku to dlaczego ich nie zmuszają po hebrajsku, przecież był to język Jezusa Chrystusa. Naprawdę nie mogę tego zrozumieć: gdy nas Polaków zmuszali po niemiecku tośmy robili krzyk na cały świat, listem Sienkiewicza itd.

Nie rozumiem biskupa Wojtyły — co za korzyść, tak dla Kościoła, jak również dla Polski.

Przecież my potrzebujemy przyjaciół a nie wrogów. Nie raz Kościół robił błędy na rozkaz Watykanu, kiedy traktaty pokojowe były zrywane w imię Boże — lecz wcale nie w interesie Polski. (Wojny Tureckie 1444 r. a również odsiecz Wiednia).

Chciałbym na tym skończyć i załączam wyrazy szacunku,

J. ZBROZEK

Messrs. Jeffreys & Ubysz, Accountants & Auditors w Londynie, przekazali nam sumę £.500.0.0 na cele wydawnicze *Kultury*. Suma ta stanowi darowiznę spadkobierców jednego z klientów wymienionej firmy, którzy prosili o nieujawnianie ich nazwisk.

Maria B. Łuk-Kozika, przekazała nam sumę \$A. 35,00 tj. F. 215,64, z której zamiast kwiatów na trumnę Jerzego Stempowskiego wpłacili pp. Dobrostańscy \$A. 5,00 a Andrzej Chciuk — \$A. 5,00 — pozostałość stanowi dochód z wieczoru dyskusyjnego w melbourneńskim „Twie Przyjaciół Paryskiej Kultury”.

DZIĘKUJEMY!

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA” W. GOMBROWICZA

Lista Nr 4

Mieczysław Bąkowski, Göteborg.
Dr J. J. Danek, New Hyde Park.
Zofia Drabkowska, Toronto.
Joseph Fine, Buffalo, N.Y.
Ewa i Stan. Gierat, Bethlehem.
Wojciech Godlewski, Norristown, Pa.
Mieczysław Grot-Zakrzewski, W. Simsbury, Conn.
Dr Jan K. Herman, Quebec.
Władysław Jarek, Toronto.
K. A. Jeleński, Paryż.
Mieczysław Kawka, Wallsend (Australia).
Edward Kulka, Göteborg.
Maria Kosińska, Edmonton, Alta.
Jan Lebenstein, Paryż.
Walter Liezner, Hockenheim/Baden.
Maria i dr Eugeniusz Łazowscy, Chicago.
W. Makowski, Montreal.
Marta Markiewicz-Zielińska, Glasgow.
Aleksander Moskala, Farsta.
Prof. Franciszek Olipra, Sundbyberg.
Yolanda Ostaszewska, Paryż.
W. Pajor, Don Mills, Ont.
Dr Z. Petryka, Minneapolis, Minn.
Irena Pleuss, Glen Oaks, N.Y.
Stanisław Radkowski, Travia, Cal.
Paweł Rawita-Gawroński, Zürich.
Tomasz J. Rostafiński, Rocky River, Ohio.
Prof. A. Schenker, Hamden, Conn.
Slav. Seminar. Univ. Marburg.
A. Smoliński, Monachium.
Franciszek Socha, Milwaukee, Wis.
Zygmunt Sowa, Detroit.
Univ. Michigan.
Uppsala Universitetsbiblioteket.
Jerzy Urbański, Stockholm.
Józef Wittlin, New York.
Czesław Wróblewski, Zürich.
Yale University Library, New Haven.
Aleksander C. Zaleski, Forest Hills, N.Y.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1970.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.

Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl.	280 szyl.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Cesky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	350,00 F. b.	600,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo, Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel.: 482-4673; B. Krasuski, 857 King St W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieleuk, 8 München 45, Gablonzstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wesung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7, Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor	30,00 Kor	58,00 Kor
U.S.A. : S. Dabczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarow-Osietynski, 1603 N. Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dzierzykowski, 2402 Chermova Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dzienanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopecki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book Co, 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posnyak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tel.: 75-67-241	750 L	3.800 L.	7.500 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-225-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »
TOM 182 — FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE WIW. BRYTANII (1940-1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940-1945, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain” — Pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk. Przypisy.

Str. 372 Cena egz. F. 36 (dol. 7,50; 60 sh.)

TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY”
WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń” systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.

Str. 128

Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

TOM 184 — SERIA „DOKUMENTY”

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej

(Antologia)

Str. 384

Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

TOM 185 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMNASTY

Zawiera m.in. Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa; St. Kirkora: „Korespondencje” J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: Sprawa Wilna w lipcu 1920; L. Mitkiewicza: Placówka „Star” oraz Relacje, Recenzje i Polemiki.

Str. 240

Cena F. 18,50 (dol. 4; 28 sh.)

Cena 6,00 F